

bezwierszówki

SDP

Stowarzyszenie
Dzielnikarzy
Polskich

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

nr 11 (149) listopad 2017

ISSN 1732-7237

Erwin Kruk Patronem szkoły



Ogólnopolska
konferencja
naukowa

„OBLICZA
POLSKIEGO
ANTYKOMUNIZMU
W XX WIEKU”

22-24 listopada 2017 r., Olsztyn



ORGANIZATOR KONFERENCJI: ODDZIAŁ IPN W BIAŁYMSTOKU - DELEGATURA IPN W OLSZTYNIE



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

PATRONAT MEDIALNY:



bezwierszówki
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CZYTELNI

10-026 Olsztyn

ul. Stare Miasto B

tel. 89 535 97 8

W NUMERZE

Aktualności z kraju i ze świata	6
Skowroński: Zjazd Delegatów	6
Truszczyński: Kto ma to zrobić?!	6
Karaś: Zawód dziennikarz	8
Wegner: Pierwsza po Bogu	10
Złakowski: Wielki człowiek z małej szkoły	13
Rozmowy Błażeja Torańskiego	14
Mika: Ogólnopolskie, regionalne, lokalne	16
Media w Polsce	17
Piórem Małgorzaty Todd	20
Kwiatek: Wolne niedziele?	21
Piórem felietonisty	22
Jachowicz: Coraz trudniejsze życie maistreamowych mediów	22
Orzechowski: PISF i Pis czyli...	23
Twarze mediów: Kinga Grabowska	24
Kramarzewski: Opuszczone miejsca	26
Widziane z Warszawy...	27
Okuniewski: Książki cyfrowe i audio-booki vs. książki tradycyjne	28
OZGraf – pełna satysfakcja	30
Goljat: Najmłodszy i najstarszy w historii	32
Paszkievicz-Jägers: <i>Wie ben je?</i>	35
Wyspa wolności W. Gadowskiego	37
Szóstka: Z Paryża na Wawel	38
Baliszewski: 90. rocznica powrotu Słowackiego	38
Ulewicz: Camino, Światło, Łąka...	40
Rok Tadeusza Nowakowskiego	44
Lisiewicz: Pisarze dzielcie się	44
Biernacki: Książka wielce osobliwa	48
Falkowski: Jagiełło w Olsztynie	50
Fundacja Dzieciom	51
Biernacki: <i>Via spei sine spe...</i>	54
Cortés: Maria Callas <i>in memoriam</i>	56
Róża „Król Stanisław Leszczyński”	61
Nowak: Życie w biegu	62
Mieszczanek: Powracanie ziemian - II	64
Bosak: Cmentarz Łyczakowski...	66
Miłkowski: Lech Ordon od aktorskich Perełek	68
Truszczyński: <i>Pro memoria...</i>	71
Malinowska: Maria Karłowicz	73
Lektury redaktora Wegnera	74
Palczewski: Tabu w mediach	75

NA OKŁADCE

I strona: „Elgnówko 2017”,
Fot. © Grzegorz Wadowski, 2017

IV strona: Bogdan Krawczyk,
„Warszawskie iluzje”, październik 2017

Od naczelnego

Ocalić od zapomnienia

FOT. © BARBARA DUKSZTA

Listopad. Miesiąc pamięci o tych, którzy odeszli. Stajemy obok ich grobów, zapalamy znicze, składamy kwiaty. Powracamy do wspomnień. Sięgamy do kart z ich życia; życia, z którym nasze było związane. Wspominamy wspólnie przeżyte radości i smutki, zabawy i troski, wzloty i upadki. Wspominamy z wdzięcznością...

Jak co roku, w tym listopadowym czasie, sekretarz generalny naszego Stowarzyszenia przypomina tych, którzy opuścili dziennikarską wspólnotę. „Odeszli. Tak to już jest – pisze red. Stefan Truszczyński. – Ale ci, którzy ich znali, pracowali razem, są strażnikami pamięci. Może i chwilowej. Warto jednak poświęcić trochę czasu, by przypominać kolegów. To chwilowe rozstanie. Odeszli trochę dalej...”

Oprócz wspomnień, przelanych na papier, pięknym przykładem dziennikarskiej pamięci jest inicjatywa, którą przed kilku laty podjęto w Rzeszowie. Również w tym roku, pod koniec października, koleżanki i koledzy z Podkarpacia, których wsparł zarówno rzeszowski IPN, jak i lokalne media, odwiedzili Cmentarz Łyczakowski. Stanęli z symbolicznym światłem pamięci przy grobach lwowskich dziennikarzy.

Nie przywołuję tego przykładu po to, aby przedstawiciele innych oddziałów hurmem ruszyli za graniczny kordon na nekropolie, gdzie spoczywają polscy dziennikarze, choć nie zaszkodziłoby, aby zwłaszcza cmentarze na Kresach zostały objęte taką troską. Myślę jednak, że warto popatrzeć bliżej. Na nekropolie obok nas. Ileż na nich dziennikarskich grobów...

Niektóre z nich wymagają opieki, naprawy. Często okazuje się, że nie ma już najbliższych, rodziny, która troszczyłaby się o grób swego przodka, albo wprawdzie jest, ale przebywa daleko, często za granicą. Zatem kto ma się zająć grobami, które niekiedy zagrożone są nawet likwidacją, jeśli nie my – często ich uczniowie w dziennikarskim fachu, ich następcy, nie tylko w sensie pokoleniowym, lecz także intelektualnym? I kiedy, jeśli nie teraz?

Pamięć o tych, którzy już odeszli – „są już po tamtej stronie” – troska o ich groby, troska o cmentarze, świadczy o nas i naszej kulturze. Chwalebne, że Zarząd Główny SDP z okazji każdego Zjazdu Delegatów przygotowuje listę dziennikarzy, których w minionej kadencji pożegnaliśmy. Niektóre oddziały, w tym również nasza redakcja, czynią to każdego roku. Chcemy im w ten sposób podziękować za to, że byli z nami. Pokazać, że pamiętamy!

Ostatni wielki poeta romantyzmu pisał onegdaj: „Na stoku cytadeli poniósł śmierć okrutną... / Nie ginie, kto za wiarę i wolność umiera; / A jednak grób zarasta, pamięć się zacierą – / To smutno! [...] Poskarżę się przed tobą, coś trwa do ostatka; / Upada Polska – z winy nie dzikich Moskali, / Nie chytrych Niemców... na własne dzieci się żali / Ta matka” (Kornel Ujejski, *Pamięci Traugutta*, 1872). Groby naszych przodków to pamięć i historia. Nie dajmy jej zaginać. Ocalmy ślady pamięci po tych, których już nie ma. Ocalmy od zapomnienia.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

DOFINANSOWANO
ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP



Protest przeciwko przedłużeniu aresztu dla red. Romana Suszczenki

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP stanowczo protestuje przeciwko przedłużeniu aresztu w Moskwie dziennikarza ukraińskiej agencji Ukrinform Romana Suszczenki o kolejne dwa miesiące pod zarzutem szpiegostwa oraz wzywa władze rosyjskie do oddalenia oskarżeń przeciwko dziennikarzowi i do jego natychmiastowego uwolnienia. Decyzję o przedłużeniu aresztu rosyjski sąd podjął 25 września br.

Roman Suszczenko, paryski korespondent ukraińskiej agencji prasowej Ukrinform, przebywa w rosyjskim areszcie od 30 września 2016 roku. Został aresztowany w Moskwie pod zarzutem szpiegostwa. Dziennikarz nie dostał pozwolenia na spotkanie z rodziną, ani na spotkanie z duchownym prawosławnym, utrudniane było także prowadzenie przez niego korespondencji z rodziną i przyjaciółmi. Roman Suszczenko stał się symbolem prześladowania ukraińskich dziennikarzy w Rosji i na terytoriach okupowanych przez FR albo prorośyjskich separatystów.

Według informacji Ukraińskiej Narodowej Agencji Informacyjnej UKRIFORM obecnie na Krymie toczy się także proces sądowy przeciwko innemu ukraińskiemu dziennikarzowi – Mykolajowi Semenie, a na Donbasie jest przetrzymywany dziennikarz Stanisław Asejew. Wszyscy trzej – Suszczenko, Semeni i Asejew są znani z tego, że aktywnie krytykowali obecną politykę Rosji, zwłaszcza wobec Ukrainy.

CMWP SDP apeluje do międzynarodowych organizacji dziennikarskich, by podjęły działania mające na celu uwolnienie Romana Suszczenki i innych ukraińskich dziennikarzy przetrzymywanych w Rosji i na terenach okupowanych przez FR.

Warszawa, 27 września 2017

Protest przeciwko blokowaniu dystrybucji filmu o Związku Polaków w Niemczech

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP wyraża oburzenie przeciwko uniemożliwieniu emisji czy innej formy dystrybucji dokumentalnego filmu o Związku Polaków w Niemczech nakręconego z okazji 95. rocznicy powstania Związku.

Według informacji polskich mediów (m. in. TVP Info, PAP i portalu niezalezna.pl) niemiecka instytucja, która współfinansowała produkcję filmu, ze względu na „odstępstwa od jego projektu” zażądała od producentów zmian w scenariuszu filmu oraz zwrotu dotacji, co praktycznie oznacza niemożność jakiegokolwiek dystrybucji

filmu na terenie Niemiec. Instytucja ta, czyli BKM – Beauftragte für Medien und Kultur – ma za zadanie wspieranie kultury mniejszości narodowych w Niemczech, dlatego poproszono tę instytucję o współpracę przy realizacji filmu. Według przedstawicieli Związku Polaków w Niemczech po zmontowaniu film został przez BKM uznany za „antyniemiecki i antyislamski”.

CMWP SDP apeluje o poszanowanie wolności wypowiedzenia się dokumentalistów i umożliwienie im publicznego prezentowania dzieła pokazującego ich wizję historii, do której jako dziennikarze mają prawo, jak w każdym demokratycznym państwie. Wycofywanie się instytucji kultury z wcześniej podjętych zobowiązań finansowych w przypadku takich projektów jak ukończony film dokumentalny jest swoistym przejawem ograniczania swobody wypowiedzi i naruszania fundamentalnej w demokracji zasady wolności słowa. CMWP SDP apeluje do BKM o polubowne rozwiązanie sporu z twórcami filmu i Związkiem Polaków w Niemczech oraz prosi instytucje mogące wesprzeć realizatorów filmu o pomoc w jego prezentacji opinii publicznej, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech.

Warszawa, 2 października 2017

Więcej o szczegółach sprawy – zob. s. 3

Konferencja w Lipsku

„W obronie zagrożonych dziennikarzy” pod takim tytułem 5 października br. w Lipsku odbyła się konferencja Europejskiego Centrum Wolności Prasy i Mediów (ECPMF). Uczestniczyło w niej ponad 80 prelegentów z całej Europy. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich reprezentowały: dr Jolanta Hajdasz, dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy, oraz red. Aleksandra Tabaczyńska z Wielkopolskiego Oddziału SDP. Były one jedynymi reprezentantkami z Polski na tej konferencji.

Uczestników spotkania powitał Lutz Kinkel, szef ECPMF, który zapowiedział, szczegółową tematykę czterech sesji wykładowych: (1) Współczesne zagrożenia dziennikarzy, (2) Zmiany w ochronie prawnej informatorów, (3) Ochrona dziennikarza w praktyce, (4) Inicjatywy polityczne mające na celu ochronę dziennikarzy.

Obrady zainaugurowało odtworzenie wypowiedzi, nieobecnego Harlema Desira, który od 18 czerwca br. pełni funkcję Specjalnego Sprawozdawcy OBWE ds. Wolności Mediów (OSCE). Opowiedział o zadaniach jakie stoją przed organizacją. Są to: zapewnienie bezpieczeństwa dziennikarzy, walka z mową nienawiści oraz plagą fake newsów przy jednoczesnym zachowaniu wolności słowa. W skład OSCE wchodzi

57 państw z Europy, Azji i Ameryki Północnej, w tym USA. To organizacja działająca na rzecz pokoju, stabilności i demokracji. Obecnie rotacyjne przewodnictwo sprawuje w niej Austria, a w 2018 roku przejmą je Włochy. Na konferencji w Lipsku OSCE reprezentował Frane Maroevic.

Podczas II sesji poświęconej proponowanym zmianom prawnym, głos zabrała Jolanta Hajdasz, która przypomniała zebranym o proteście CMWP SDP w sprawie zmiany statusu Polski z „kraj o mediach wolnych” – na „kraj o mediach częściowo wolnych”. Uchwałę w tej sprawie podjęła międzynarodowa organizacja Freedom House w oparciu o tezy zawarte w opracowaniu pt. „*Pluralism Under Attack: The Assault on Press Freedom in Poland*” („Atak na pluralizm: szturm na wolność prasy w Polsce”) autorstwa Annabelle Chapman, opublikowanym 29 czerwca br.

CMWP SDP zakwestionowało raport Chapman, który nie spełnia wymogów zarówno opracowania naukowego, jak i rzetelnego artykułu dziennikarskiego. Raport stał się jednak przyczyną zmiany statusu i źródłem mylnych ocen realnej sytuacji na rynku mediów w Polsce dla wszystkich jego odbiorców. Pismo przypominające o tej sprawie Jolanta Hajdasz przekazała na ręce Lutz Kinkela oraz Mogensa Blicher Bjerregarda, przewodniczącego Europejskiej Federacji Dziennikarzy (EFJ). W swoim wystąpieniu Jolanta Hajdasz apelowała do międzynarodowych organizacji dziennikarskich o pomoc w cofnięciu tej decyzji i powrót Polski do grupy krajów o statusie „wolnych mediów”.

W drugiej części konferencji, poza sesjami tematycznymi, wykład wygłosiła prof. dr Katharine Sarikakis z Uniwersytetu Wiedeńskiego. Prelekcja poświęcona była zabójstwom dziennikarzy w świecie, których – według zebranych przez nią danych – zginęło w latach 2000-2016 blisko 2 300 osób. Wykład zobrazowała mapa świata z naniesionymi miejscami mordów, z której wynika, że najwięcej dziennikarzy ginie w Południowej i Środkowej Ameryce, na Bliskim Wschodzie i w Rosji. Prof. Sarikakis zwróciła jednak uwagę, że liczby te są mocno niedoszacowane. Statystykę bowiem tworzą wyłącznie w pełni udokumentowane przypadki i nie zawsze obejmują dziennikarzy freelancerów, pracujących niezależnie i bez formalnych związków z konkretną redakcją. Polska na tej mapie jest białą kartą.

Konferencja miała charakter poznawczy, nie głosowano na niej ani nie przyjęto żadnych uchwał, czy wspólnych stanowisk.

Jolanta Hajdasz, dyrektor CMWP SDP

Warszawa, 24 października 2017

W Niemczech nie wolno pokazać filmu o Polakach... którzy mieszkają w Niemczech

Rozmowa z Anną Wawrzyszko, wiceprezes Związku Polaków w Niemczech.

„Film dokumentalny o Związku Polaków w Niemczech nie zostanie pokazany nigdzie na terenie Niemiec. Został zablokowany przez ministerstwo zajmujące się mediami i kulturą – stwierdza Anna Wawrzyszko ze Związku Polaków w Niemczech. – Film został opisany jako antyniemiecki, antyislamski”.

TVP Info: Związek Polaków w Niemczech ma problem z emisją filmu nakręconego z okazji 95. rocznicy powstania Związku. O co chodzi?

Anna Wawrzyszko: Nie ma problemu z emisją. Ten film dokumentalny nie zostanie pokazany nigdzie na terenie Niemiec. Został zablokowany przez ministerstwo zajmujące się mediami i kulturą. I nie ma szans, by ktokolwiek go wyemitował.

O czym jest ten dokument?

Film zostało nakręcony, aby pokazać, że Związek Polaków w Niemczech spod Znak Rodła to nie tylko historia, ale i również terażniejszość i przyszłość. Zrobiliśmy film o Polakach mieszkających w Niemczech. Większość z nas ma obywatelstwo niemieckie; polskość jest zachowana poprzez język, kulturę, pamięć o historii i naszych korzeniach. To bardzo się nie spodobało. Ten film pokazuje jedno: nie przyjechalśmy tu wczoraj i przedwczoraj, jak próbuje się nas stygmatyzować. Jesteśmy związani z tą ziemią, chociażby Zagłębia Ruhry, od końca XVII wieku. Problemem okazało się, że pokazaliśmy prawdziwy status Polaków.

Jakie są zarzuty?

Zarzuca nam się, że reżyser odstąpił w dużej części od zaplanowanego scenariusza. Zmienił tytuł, pojawiły się elementy rzekomo krytyczne wobec islamu. Wytknięto nam sceny, które mówią o Polakach mieszkających w Niemczech, o ich egzystencji. Został poruszony problem prawa do restytucji mienia Związku Polaków w Niemczech. A przecież mówimy o filmie dokumentalnym, gdzie jest żywa relacja i przekaz dokumentalny. Nie będziemy wycinać fragmentów czy pisać dialogów bohaterom.



Przed Domem Polskim w Bochum. FOT. © BOCHUM.COOL

Kto zapłacił za produkcję?

Film powstawał przy współpracy z BKM – Beauftragte für Medien und Kultur – instytucją, która ma za zadanie wspieranie kultury mniejszości w Niemczech. W kosztach partycypował także polski MSZ, pokrywając koszty podróży. Najpierw zażądano od nas zwrotu całego wkładu z ich strony, czyli 8 tys. euro. Strona niemiecka dopatrzyła się też błędów w rozliczeniu z MSZ i nałożyła na Związek kary, uważając, że stawka polska nie jest tożsama z tą stosowaną w Niemczech.

Co najbardziej nie spodobało się stronie niemieckiej?

Pokazaliśmy w tym reportażu Dom Polski w Bochum, który miał być wyremontowany przez Niemców, do czego zobowiązuje ich polsko-niemiecki traktat. Okazuje się, że nie nic zrobili. Jest też mowa o tym, że mamy podstawę do restytucji mienia Związku Polaków w Niemczech. Jest także scena, w której profesor Wojciech Roszkowski mówi na

temat islamu. Tam nie było krytyki islamu. Chodziło o porównanie dotyczące mniejszości i miało pokazać wspólne cechy polskiej i niemieckiej kultury na tle innych nacji zamieszkałych w Niemczech.

Czy film był już gdzieś pokazywany?

Reportaż pokazano w kilku mniejszych ośrodkach związanych z Polonią. Strona niemiecka miała wspomóc nas w dystrybucji. Jednak, kiedy zapoznaliśmy się z filmem, zażądaliśmy zwrotu środków, twierdząc, że reportaż jest niezgodny z tym, co było napisane w projekcie. Ale my się z nimi na nic nie umawialiśmy. To jest dokument.

Jak się bronicie?

Powiedziano nam, że już nigdy nie dostaniemy pieniędzy na żadne przedsięwzięcie. Film został opisany jako antyniemiecki, antyislamski. Naszym zdaniem

nie ma w nim żadnych naruszeń. Oni chcieli film o polskich Niemcach. Ten film nie może być pokazany w Niemczech, bo pokazuje, jak niemieckie państwo oszukuje opinię publiczną, jeśli chodzi o stosunki polsko-niemieckie. Na poziomie społecznym nie są złe – to państwo niemieckie tworzy takie relacje i stygmatyzuje nas przez cały czas.

TVP INFO



Związek Polaków w Niemczech
Bund der Polen in Deutschland e.V.
 UNION OF POLES IN GERMANY L'UNION DES POLONAIS EN ALLEMAGNE UNIONE DEI POLLACCHI IN GERMANIA

SDP Lublin Delegaci na Zjazd

Na Walnym Zebraniu Oddziału, 31 lipca, wyłoniono delegatów na listopadowy Zjazd Delegatów SDP. Żur-

nalistów z Lubelszczyzny będą reprezentować: Lech L. Przychodzki, Bogusław Sarat i Andrzej Sikora oraz z ustępujących

władz Wojciech Pokora (członek Komisji Interwencyjnej SDP kadencji 2014-2017).

JACEK PRZESMYCKI

SDP Poznań Laureaci konkursu dziennikarskiego

5 września jury konkursu o Nagrody Dziennikarskie Wielkopolskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ogłosiło laureatów za rok 2016.

Nagrodę Główną przyznano Stanisławowi Zasadzie, autorowi reportaży: *To nie jest wasza rodzina, Wczoraj mieliśmy Sajgon i Czy jeśli kogoś znasz będziesz do niego strzelał*. Nagrodę „Virtuti Civili” – Andrzejowi Biernackiemu, autorowi tekstów krytycznych, opublikowanych w magazynie o sztuce „Arteon”. Nagrodę

im. Wojciecha Dolaty – Jackowi Kosiakowi, autorowi reportażu radiowego pt. „Czarna wstążka”.

Nagrodę dla Młodych Dziennikarzy – Dawidowi Jungowi, autorowi felietonów, opublikowanych na portalu internetowym: *ilok@lne Gniezno*. Ponadto jury postanowiło wyróżnić: reportaż Łukasza Kaźmierczaka pt. „Miasto z macew”, publikacje Karola Pospiecha z „Życia Rawicza” oraz film dokumentalny Jerzego Janasa pt. „Olimpijczycy”.

Na konkurs nadesłano w tym roku kilkadziesiąt prac, opublikowanych w regionalnych mediach (prasa, radio, TV, Internet) w 2016 roku, które oceniali jury w składzie: prof. dr hab. Wiesław Ratajczak – przewodniczący, Wiesław Kot – dziennikarz, krytyk oraz Barbara Miczko-Malcher – prezes i Eugeniusz Jarosik – sekretarz Zarządu Wielkopolskiego Oddziału SDP.

BARBARA MICZKO-MALCHER

SDP Olsztyn

Integracyjne spotkanie w Krynicy Morskiej

Weekend, 22-24 września, malownicza Krynica Morska gościła dziennikarzy z Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP. To kolejne z integracyjnych spotkań żurnalistów, perfekcyjnie zorganizowane przez wiceprezesa Oddziału Grzegorza Radzickiego.

Pogoda dopisała, a ośrodek wypoczynkowy Bursztyn, prowadzony przez Księżę

Werbistów, okazał się bardzo przyjazny, zadbany i przepięknie położony nieopodal latarni morskiej. Już samo chodzenie korytarzami ośrodka było niezwykle pouczające, bo na każdym kroku znajdowały się pamiątki z licznych wyjazdów werbistów na misje. Był czas na odpoczynek, spacer po plaży,

wycieczkę po Krynicy oraz wyprawę na Wielbłądzi Garb – najwyższą wydmy stałą w Europie. A skoro pobyt nad morzem, to nie mogło zabraknąć i degustacji świeżutkich ryb. Możemy tylko napisać: kto nie był, niech żałuje.

Do zobaczenia za rok!

ANETA MARKOWSKA

Nowa doktor w SDP

Martyna Seroka z olsztyńskiego SDP i pracownik naukowy UWM, otrzymała stopień naukowy doktora nauk prawnych na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Obrona pracy doktorskiej pt. „Bigamia w prawie polskim i w prawie kanonicznym”, napisanej pod kierunkiem ks. prof. zw. dr. hab. Floriana Lempy,

odbyła się 15 września. Recenzentami pracy były: prof. zw. dr hab. Teresa Mróz (UwB) i dr hab. Joanna Banach-Gutierrez (UWM).

W pracy przedstawiono zjawisko bigamii od początków państwa polskiego po współczesność, częstotliwość i przebieg postępowań sądowych z tytułu przeszkody węzła małżeńskiego w polskich kościelnych

trybunałach metropolitalnych oraz częstotliwość występowania postępowań dotyczących unieważnienia małżeństwa z tytułu przeszkody węzła małżeńskiego w latach 2011-2015 w sądach okręgowych w Polsce. Ponadto autorka ustaliła podobieństwa i różnice w zakresie bigamii w obu reżimach prawnych oraz zbadała wzajemny wpływ obu porządków prawnych.

Współpracownik „Bez Wierszówki” prezesem

Henryk Falkowski, znany olsztyński nauczyciel oraz autor tekstów na łamach naszego czasopisma, wybranym został prezesem Okręgu Warmińsko-Mazurskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Do nowego Zarządu, wybranego 19 października, weszli też m. in. Dariusz Jaro-

siński, dziennikarz „Nowego Państwa”, były redaktor naczelny „Debaty” i dr Paweł Warot, historyk i publicysta, członek SDP. Jak zapewnia nowy prezes SZŻAK, obecnie Związek skupi się na wspieraniu kombatanów, przygotowaniach do obchodzonej w przyszłym roku wielkiej, 100. rocznicy odzyskania przez Polskę

niepodległości, bliskiej współpracy z instytucjami odpowiedzialnymi na realizację polskiej polityki historycznej, w tym szczególnie z Instytutem Pamięci Narodowej, a także na współpracy ze szkołami i młodzieżą, gdzie – jak zapowiedział H. Falkowski – ma zamiar wspierać powstawanie Klubów Armii Krajowej.

Pani Doktor i Panu Prezesowi – gratulujemy!

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Rezygnacja z członkostwa w SDP – oświadczenie

Niniejszym ogłaszamy rezygnację z członkostwa w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Powodem naszej decyzji jest brak adekwatnej reakcji Stowarzyszenia na praktyki dokonujące się w polskich mediach, zwłaszcza w Telewizji Polskiej S.A., od czasu ich politycznego przejścia przez rząd na przełomie 2015 i 2016 roku.

Obowiązkiem związku dziennikarskiego jest obrona standardów naszego zawodu. Ich przestrzeganie zawsze napotyka trudności. Także po 1989 roku sytuacja nie była pod tym względem bez zarzutu. Jednak skokowa zmiana na gorsze nastąpiła wówczas, gdy rząd Prawa i Sprawiedliwości zamiast zapowiadanej wcześniej kompleksowej ustawy o radiofonii i telewizji przeforsował w parlamencie ustawę, której sens ograniczał się do wymiany władz publicznego radia i telewizji – przy czym decyzje personalne podejmowała *de facto* partia rządząca. Skutki tej zmiany nie dały na siebie długo czekać: wkrótce doszło do drastycznego upolitycznienia i upartyjnienia programów Polskiego Radia S.A. i Telewizji

Polskiej S.A., tak że anteny te stały się tubą propagandową partii rządzącej.

Treść i styl tej propagandy osiągnęły niebawem poziom przypominający nam praktyki z czasów „dekady dynamicznego rozwoju” lat 1970-1980. Dostrzegamy dziś podobną napastliwość wobec myślących inaczej niż rząd i partia rządząca, podobne pomijanie (lub minimalizowanie) faktów niewygodnych dla kreowanego obrazu rzeczywistości, podobne nachalne poszukiwanie wrogów dla „jedynie słusznej” linii partii i rządu... Media zwane dawniej publicznymi, a obecnie narodowymi, tworzą obraz rzeczywistości drastycznie nieadekwatny do faktów. Kreują pewnego rodzaju „niereczywistość” – zjawisko, którego powrotu w suwerennej Polsce nie oczekiwaliśmy w najczarniejszych snach.

Wobec tak drastycznego łamania dziennikarskich standardów Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich powinno w sposób jednoznaczny dać wyraz przywiązania do wartości ważnych dla utrzymania ładu

medialnego opartego na wolności słowa. Tak się jednak nie stało i wciąż tak się nie dzieje. Wątle i rzadkie reakcje SDP na wspomniane nadużycia, najczęściej jednak milczenie i bierność, oznaczają w naszej ocenie abdykację z podstawowej powinności związku dziennikarskiego. Nie wypełniając tej powinności, SDP stawia pod znakiem zapytania sens swego dalszego istnienia.

Wobec naszego przywiązania do wspomnianych wyżej wartości czujemy się wyobcowani w Stowarzyszeniu, które od tych wartości *de facto* odstępkuje. Wyciągamy stąd jedyny w tej sytuacji możliwy wniosek: rezygnujemy z członkostwa.

Zarazem dziękujemy Koleżankom i Kolegom z SDP za wszelkie dobro, jakich od nich doświadczyliśmy.

Roman Graczyk
członek Oddziału Krakowskiego
i Naczelnego Sądu Dziennikarskiego SDP
Janusz Poniewierski
członek Oddziału Krakowskiego SDP
Kraków, 3 października 2017

Szok i niedowierzanie – odpowiedź wiceprezesa SDP

Oświadczenie Romana Graczyka i Janusza Poniewierskiego o rezygnacji z członkostwa w SDP martwi i dziwi zarazem. Martwi, bo znam i cenię obu Kolegów. Dziwi, bo trudno zrozumieć ten gest. Nie przekonują mnie zawarte w obszernym oświadczeniu jego motywy, wręcz zdumiewające, biorąc pod uwagę, że Autorzy doskonale znają specyfikę Stowarzyszenia, którego szeregi właśnie opuścili.

SDP jest organizacją liczącą około 3 tys. członków, Zarząd Główny wyłaniany przez Zjazd w efekcie wielu tur głosowań liczy 12 osób, do tego dochodzą władze 16 oddziałów, prowadzących mniej lub bardziej ożywioną działalność w swoich środowiskach. SDP tworzą dziennikarze i twórcy o różnych poglądach, cały czas mocno się spierający w wielu sprawach. Oczywiście od kilku już lat część mediów konsekwentnie opisuje SDP jako wątlą przybudówkę PiS, ale członkowie stowarzyszenia biorący udział w jego działalności (nawet średnio aktywnie) doskonale wiedzą, jaka jest prawda.

Mieliśmy w stowarzyszeniu swoją wizję reformy mediów publicznych. Powstała ona w efekcie prac Nadzwyczajnego Zjazdu (2015), była wielokrotnie prezentowana. Także z udziałem polityków PiS, członków KRRiT i Rady Mediów Narodowych. Łatwo sprawdzić w dokumentach, że jest to koncepcja funkcjonowania mediów publicznych odmienna od tej, ostatecznie przyjętej przez parlament. Warto przypomnieć też burzliwe dyskusje jakie cały czas toczą się na temat TVP i PR

w naszych mediach. Nie wiem na ile Roman i Janusz je śledzili, nie podejrzewam jednak, by oceniali przejawy żywotności SDP jedynie po oświadczeniach Zarządu Głównego.

To prawda, że Zarząd Główny nie zajmuje się regularnym recenzowaniem treści kolejnych wydań „Wiadomości”. Wyręczają nas w tym dwa największe branżowe portale, zamieniając się w codzienny serwis informacyjny pt. „Co słycać w TVP”. I całkowicie ignorując fakt, że kilka milionów Polaków czerpie informacje z dwóch telewizji komercyjnych, których kontent też wart byłby analizy. Bo generalny problem jaki dziś mamy z mediami w Polsce polega na zaniku rzetelnej, bezstronnej informacji na rzecz perswazji. Tyle, że nie jest to jedynie problem mediów publicznych. Obraz odmalowany w najnowszym numerze „Newsweeka” przez Dominikę Wielowieyską, Andrzeja Morozowskiego i Jacka Żakowskiego jest modelowym przykładem niereczywistości (by pozostać w poetyce „Oświadczenia” Kolegów) i to na granicy surrealizmu.

Roman Graczyk i Janusz Poniewierski mają oczywiście prawo w podobny sposób postrzegać zagrożenia z jakimi dziś mamy do czynienia w Polsce, choć nie sądzę, by uważali iż poziom wolności mediów i swobody wypowiedzi był dziś niższy niż przed kilku laty. Muszę pozostać w sferze domysłów, bo faktycznie nie mieliśmy okazji porozmawiać podczas walnego zgromadzenia Krakowskiego Oddziału SDP. Nie pospiaramy się i za miesiąc podczas Zjazdu. A szkoda.

I tu mam zarzut główny i podstawowy. Dlaczego akurat teraz dostajemy – *via* portal „Rzeczpospolitej” – ów publiczny akt apostazji? Dlaczego Roman, człowiek odważny i bezkompromisowy, czego wiele razy dowiódł, zdezerterował tuż przed spotkaniem, które zadecyduje o przyszłym kierunku działań SDP, wybierze nowe władze, oceni działalność obecnego zarządu? Czemu choć sam przez ostatnie lata był członkiem władz statutowych nie przyjedzie 17 listopada do Kazimierza by – na przykład – zgłosić projekt uchwały w duchu swojego oświadczenia? Dlaczego gdy wybieraliśmy delegatów nie przyszedł do krakowskiego Klubu pod Gruszką, by nas postawić do pionu? Dlaczego przez ostatnie miesiące nie wyraził swojego zaniepokojenia „brakiem adekwatnej reakcji władz SDP” na naszym portalu, nie przysłał polemiki do „Forum Dziennikarzy”?

To nie są pytania retoryczne. Uważam, że Janusz i Roman swoim oświadczeniem wyrządzili krzywdę członkom Stowarzyszenia, od których – jak piszą – doświadczyli też „wszelkiego dobra”. Rezygnacja jest czymś całkowicie zrozumiałym, skoro nie mieli woli i determinacji by w SDP nadal działać, wpływając na jego kształt i politykę. Krzywda polega na tym, że pisząc to, co napisali, upowszechniają nieprawdziwy obraz stowarzyszenia, które przecież współtworzyli.

Piotr Legutko
wiceprezes SDP i redaktor naczelny
„Forum Dziennikarzy”
Kraków, 5 października 2017

Zjazd Delegatów 2017

Uprzejmie informujemy, że Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich odbędzie się w dniach 18-19 listopada 2017 roku (sobota, niedziela) w Domu Pracy Twórczej SDP w Kazimierzu Dolnym, ul. Małachowskiego 17.

Rozpoczęcie Zjazdu nastąpi w pierwszym terminie o godz. 10.00, w drugim terminie o godz. 10.30. Początek obrad w drugim dniu Zjazdu o godz. 10.00.

Do dokonania rejestracji oraz otrzymania mandatu potrzebna będzie legitymacja członkowska SDP z aktualnym wpisem jej ważności.



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Informujemy, że zapewniamy elektroniczny system głosowania, co z pewnością przyczyni się do sprawnego przebiegu Zjazdu.

Jak mówi Statut SDP (§ 29 ust. 3) – „Każdy członek Stowarzyszenia może zgłaszać wnioski na piśmie do Komisji Zjazdowej przynajmniej na 15 dni przed Zjazdem. Wnioski zgłoszone po tym terminie zostaną rozpatrzone na Zjeździe Delegatów w trybie wolnych wniosków”.

Serdecznie zapraszamy na Zjazd i liczymy na Państwa przybycie.

Z wyrazami szacunku

KRZYSZTOF SKOWROŃSKI

Przewodniczący Komisji Zjazdowej

Warszawa, 10 października 2017

Cd. dyskusji przedjazdowej – red. Stefan Truszczyński

Przed kilkoma tygodniami na portalu sdp.pl i w periodyku „Bez Wierszówki” – napisałem co trzeba zrobić w SDP, ujmując to w formie 10 przykazań (*Czym SDP mógłby być...*, „Bez Wierszówki” nr 9-10/2017, s. 8-9).

A teraz moim zdaniem...

Kto ma to zrobić?!

Moja propozycja stawia na „nowych”. Pragnę zasugerować, aby do trzynastoosobowego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wybrano...

Prezes – **Marzena Paczuska**. To duże doświadczenie dziennikarskie i menedżerskie. Potrafi rządzić i egzekwować. Teraz, gdy niespodziewanie zabrano jej „Wiadomości” ma sporo czasu. Chyba już ochłonęła i wyłóściła się po krzywdzie, która ją spotkała. Przecież tak bardzo się starała. Może nawet za bardzo. A władza? Władza, tak jak zawsze..., wie lepiej.

SDP-owi potrzebne jest – jak nigdy – porządzenie twardą ręką, inaczej straci to, co ma (już władza zaczęła bezmyślnie wydawać nasze wspólne pieniądze) i samo wyeliminuje się jako reprezentant dziennikarzy. Większości organizacji terenowych praktycznie nie ma. Również największy – Warszawski Oddział – od wielu miesięcy praktycznie nic nie robi.

Oj, przyda się nam Paczuska. Zawsze przypominała mi „komisarza ludowego” – rewolucji lub wojennego stanu. Jej ostry język to najlepsze remedium na powszechne gładzenie i samochwalstwo. Teraz – zimą – Marzena będzie chodzić w kozaczkach. Ciekawe, czy znajdzie się „kozak”, który jej podskoczy. P.P. – czyli prezes Paczuska – to brzmi nieźle. Myślę, że wystarczy energicznej koleżance miesiąc, a SDP ruszy z kopyta (jak będzie chciała to jej pomożę!).

Wiceprezesami powinni zostać – **Marek Palczewski** z Łodzi i **Elżbieta Królikowska-Avis** – trochę z Wielkiej Brytanii.

Palczewski, bo mu się jeszcze chce i właśnie dlatego, mimo iż reprezentuje dość odległy punkt widzenia od mojego i niż „prawicowa większość SDP”. Jemu też należy powierzyć prowadzenie portalu, który w końcu właśnie on kiedyś wymyślił i który to portal nie został udoskonalony. Portal musi robić dziennikarz. To, że z Palczewskim różnimy się poglądami – wielu z nas nawet znacznie – jest nam potrzebne, by SDP nie było tylko służą jedną partii. Mamy teraz chyba ostatnią szansę wyzbycia się bierności i poddaństwa.

Redaktor Elżbieta Królikowska-Avis odpowiadałaby również za sprawy zagraniczne, zna języki. Jest osobą zasłużoną dla Polski w walce o niepodległość – tak tak! Chętnie pisze i ma kwalifikacje by reprezentować naszą organizację, a nawet nasz kraj zagranicą. Królikowska – jeśli dostanie ten kawałek podłogi – będzie działać energicznie i dużo. Dotychczasowa nasza działalność w sprawach zagranicznych to ogólnie troska o Ukraińców i załatwianie łatwych pieniędzy kolesiom spoza SDP-u. Sprawy *foreign* to przecież bardzo ważna dziedzina i znakomita arena dla młodych, którzy teraz mówią już językami obcymi.

Dużo obiecywałbym sobie po redaktorze **Andrzeju Kaczmarczyku**. Wszy-

scy wiedzą, że z Krakowa. Jestem o tym przekonany, po czytaniu jego tekstów na naszym portalu. To jest rzeczywiście dziennikarz niezależny. Głosowałbym za panem Andrzejem nie tylko dlatego, że podoba mi się jego kapelusz (jest na zdjęciu przy felietonach), ale przede wszystkim to, co ma pod nim. Przeczytajcie to się ze mną zgodzicie. I koniecznie głosujcie na redaktora A.K., który walczy konsekwentnie z reklamą w TVP, a także przeciwko głupkom, obojętnie jakiej maści. Wypowiada się odważnie i jednoznacznie, wali prosto z mostu. Bardzo potrzebny jest we władzach SDP.

A jeśli już o Krakowie mowa, to jeszcze niedawno rozważałbym podanie kandydatury do władz w osobie redaktora Graczyka. Ułatwił mi jednak decyzję, bo się zbyt mocno i zbyt szybko zdenerwował. No, ale tak Bogiem a prawdą sporo racji on ma.

Mamy permanentny kłopot ze skarbnikiem. Nie ma również chętnych na to stanowisko. Dobry był onegdaj **Andrzej Tomczak** z Bydgoszczy. Ale jest pewien kłopot z uwagi na dojazdy. Skarbnik dojeżdżający kosztuje nas bardzo drogo. Andrzej podobno ma jednak przeprowadzić się do Warszawy. Gdy skarbnikiem był, bardzo dobrze wywiązywał się z przyjętych obowiązków i wiedzieliśmy wszyscy ile naprawdę mamy pieniędzy w kasie. Andrzej dbał o nasze interesy i nie naciągał SDP na zbędne koszty.

Liczy się też to, że Tomczak prowadzi własną działalność gospodarczą i zna się na rachunkach. Jest też dobrym dziennikarzem – co roku nagradzany jest za to i wyróżniany nagrodami dla żurnalistów.

Zalóżmy więc, że Andrzej Tomczak to byłby już warszawiak, i wówczas jako reprezentantkę Bydgoszczy należy namówić do pracy w Zarządzie Głównym panią redaktor **Ewę Starostę**. To naprawdę niezwykła osoba. Bardzo dzielna kobieta, która odważyła się w trzech obszernych książkach pod tytułem *Ośmiornica* opisać bydgoską mafię. I to nie jakichś tam drobnych złodziejasków, ale najgroźniejszych bandytów, którzy latami grasowali (a może jeszcze grasują) po kujawsko-pomorskim. Ewa, na oko, to bardzo spokojna osoba. Prowadzi teraz najlepszy w mieście portal społecznościowy, który jest bardzo popularny.

Tak jak ks. **Ireneusza St. Bruskiego** i w ogóle całą SDP-owską organizację na Warmii i Mazurach, mało kogo należy pochwalić i pogratulować sukcesów. Książd wybrany na prezesa uratował naszą olsztyńską SDP. Na wniosek przedstawicieli z Warszawy wystartował w wyborach i bezapelacyjnie je wygrał. Przekształcił też lokalne nasze pismo „Bez Wierszówki” we wspaniałą periodyk dokumentujący po wsze czasy bieżące stowarzyszeniowe działania. „Forum Dziennikarzy” tego nie robi. Weźcie do ręki „Bez Wierszówki” i przeczytajcie. A potem łatwo już przyjdzie dokonać właściwego wyboru. W imię Boże, proszę księdza-redaktora.

Od lat obserwuję dzielne i waleczne przebijanie się szefa Śląskiej Telewizji Miejskiej **Grzegorza Miki**. To prawdziwy *self made men*. Niestety nikt mu nie pomaga. Nawet SDP. Choć robi na Śląsku bardzo dobrą robotę. Ponieważ jest krytyczny wobec władz w Świętochłowicach oraz okolicy, wielu przeszkadza mu i to bardzo. Ale Śląska Telewizja Miejska trwa. Mimo, że zabierano jej lokale, podpalano.

W Świętochłowicach dokonała się prawie zagłada przemysłu – kopalń, zakładów produkujących wspaniałe silniki okrętowe, wielu innych. Tylko ludzie jeszcze ta zagłada nie pokonała. Ciągłe wierzą oni, że nadejdą lepsze czasy. Okazuje się jednak, że wskutek złej polityki i poprzez działalność małych ludzi wydzierających duże pieniądze, musimy nagle importować węgiel. Nie pomogła szarża Radia Wnet i Krzysztofa Skowrońskiego w obronie Kopalni Krupiński, a przecież są tam wielkie ilości najlepszego węgla. Grzegorz ma własną telewizję, tak jak Krzysztof radio. Walczą o Polskę w jednym szeregu. Rejestrują na co dzień. Na pewno te zapiski to wielka wartość. Grzegorz Mika to wspaniały człowiek. Przyda się bardzo w Zarządzie Głównym SDP.

W lubelskim pracuje świetny dziennikarz **Tomasz Nieśpiał**. Jemu sprawy dzienni-

karskie są drogie i ważne. To wynika z tekstów które na co dzień na portal pisze. Jego głos z „terenu” – w pogotowiu reporterskim – jest bardzo ważny. Oczywiście, na pewno czytaliście i zgadzacie się ze mną. Więc teraz głosujcie na Tomka. Będzie przyjeżdżał do stolicy – to z Lublina niedaleko. Będzie nas wzbogacał o wiedzę bezcenną o tym, co się dzieje w Polsce. Tomasz Nieśpiał to na pewno ważny i dobry wybór.

W Zarządzie Głównym powinien być koniecznie reprezentowany Poznań, tym bardziej, że szefowa oddziału redaktor **Barbara Miczko-Malcher** to doświadczona i bardzo dobra dziennikarka radiowa. Solidna, jak tradycyjnie Wielkopolska. Osoba niezależna, odnosząca się z sympatią do ludzi. Warto z nią rozmawiać. Ma ogromną wiedzę. Taka rozmowa to lekcja dla każdego dziennikarza. Teraz, gdy nie ma praktycznie w kraju wiadomości o tym, co się dzieje na terenie Polski, gdy TVP lekceważy sobie ten obowiązek – dobrzy dziennikarze z terenu to intelektualny zysk dla wszystkich. Oczywiście wtedy, gdy produkcja jest wolna od nudy i obłudy. Pani Barbara we władzach głównych SDP to ważny pomocnik.

Z Wrocławia przydałby się nam bardzo **Tomasz Orlicz**. To znakomity znawca Dolnego Śląska. Autor filmów dokumentalnych, nagradzanych, które na pewno przetrwają w archiwach. Mądry człowiek – bardzo dzielny, gdy trzeba było stanąć przeciwko zomowskim pałom, internowany po 13 grudnia. Nie słychać jednak od niego, by żył z nienawiścią do kogokolwiek. Orlicz to człowiek głęboko humanitarny – potrafił poświęcić się i pomagać komuś, kto – był skazany i siedział przez wiele lat w więzieniu. Tomek nie pytał, czy ów człowiek był winny. O tym decydował sąd. Tomek zajął się losem człowieka. A przecież nigdy nie wiadomo, co komu jest pisane i kto może gdzie trafić.

Na koniec chciałbym jeszcze gorąco polecić dwóch „towarzyszy” walki o nieuzyskaną dotychczas SDP-owską niezależność. To

Zbigniew Rytel z Warszawy i **Tadeusz Woźniak** z Gdańska. Mamy w ten sposób całą obsadę do Zarządu Głównego SDP. Zbyszek to wielki *fighter*, prawdomówny i bezkompromisowy. To wielki sportowiec, były reprezentant Polski w biegu na 400 metrów. Teraz źli ludzie utrudniają mu robienie filmów dokumentalnych. Te, które zrobił, są znakomite i nagradzane. Jest jeszcze szansa, by na rocznicę zrealizował swój wspaniały pomysł o 100-leciu sportu w naszym kraju. Koniecznie wybierzmy go do Zarządu Głównego. W zasadzie na każdą funkcję się nadaje, zna się bowiem bardzo dobrze na rachunkach i gospodarzeniu.

A teraz Tadeusz Woźniak. To prawdziwy gigant z Wybrzeża. Myślę, że do Zarządu Głównego dostanie się na pewno. To kolega powszechnie lubiany, sprawiedliwy, spokojny, konsyliacyjny, ale i pryncypialny gdy trzeba. Przeciwwstawił się ostatnio złym decyzjom finansowym. Nie wstydził się być fizycznym w okresie stanu wojennego. Nie pracował wówczas w dziennikarstwie reżimowym, bo wtedy tego robić po prostu nawet nie wypadało. Jest jak hodowane przez niego gołębie – potrafi gnać szybko, nawet 100 kilometrów na godzinę i to tuż nad ziemią. Choć to niebezpieczne, ale wtedy lepiej widać. Tadeuszu – *welcome*.

I jeszcze jedna prośba. Bez podania kandydata. Rozważcie sami i dobrze wybierzcie – kto, co dotychczas zrobił dla SDP.

Niech się nam wszystkim darzy jak dobrej gospodyni – na przykład ciasto w rękach. Niech żyją nam Tadeusz Woźniak, Zbigniew Rytel, Tomasz Orlicz, Barbara Miczko-Malcher, Tomasz Nieśpiał, Grzegorz Mika, Ireneusz St. Bruski, Ewa Starosta, Andrzej Tomczak, Andrzej Kaczmarczyk, Elżbieta Królikowska-Avis, Marek Palczewski i Marzena Paczuszka. Zróbcie tak, by właśnie ci ludzie zostali wybrani – ku chwale SDP i Ojczyzny.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI





Zjazd w Kazimierzu FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Zawód dziennikarz

Rozpoczynamy wielką grę. Stawka dziesięć tysięcy złotych.

Proszę powiedzieć: kto zacz ów protoplasta polskiej publicystyki,

Pisarz czasów, kiedy nie było jeszcze prasy, a on głosił,

Co po dziś dzień winno być dewizą zawodu,

Tych, co władają piórem na co dzień:

„Język mądrze mowny jest dar od Boga nad wszystkie dary”.

Przybliżmy nieco bardziej tegoż pisarza: „Ten język ludzi w jedną społeczność zgromadził, rzeczo-spolite postawił, prawa ludziom dał”. Co, nikt z państwa nie wie? Oto jeszcze inny passus: „ten język niecnotę w ludziach gasi, cnotę mnoży, złe ludzi tępi, dobre wielbi”. Och, więcej nie możemy państwu

zdradzić. Czyżby nikt nie odgadł, kto zacz ten mistrz słowa?

Pracują słowem, a zapomnieli, co im dane: na początku było słowo. Słowo niewiele dla nich znaczy. Dziś napiszą, jutro zapomną. Mają swój imperatyw – pośpiech. Wygrać, tylko wygrać, zdobyć news. Trzeba karmy dla zbiorowej wyobraźni, trzeba niby-słów. Słowo jest zbyt cenne. Najlepsza jest gotowa papka z niemieckich gazet w polskim wydaniu.

Stary Fredro pisał dobrotliwie: „Jak kominiarza / Zawód dziennikarza / Diable trudny / Czyści – a sam brudny”. Ale to były małe grzechy, niewinne igraszki.

Węszą. Byle kogo dopaść.

Żerują na skandalach i nieszcześciach.

Obca im zasada: *Audiatu et altera pars*. Burzyłaby im wizję oskarżenia.

A tak wszystko jest oczywiste. Da się opisywanego postawić pod pręgierz.

Ktoś wymyślił termin: dziennikarstwo śledcze.

A to przecież tylko dostęp do poufnych informacji.

Zwykle przez kogoś udostępnianych,

Często interesownie, zwykle za duże pieniądze.

Jak to wszystko ma się do słów Stanisława Orzechowskiego: „Język mądrze mowny jest dar od Boga nad wszystkie dary”. Kto dziś pamięta o Promieniu Żeromskiego, pierwszej powieści o polskim dziennikarstwie, walce o prawdę redaktora prowincjonalnej gazety. To wszystko przeszłość z czasów, gdy prasą rządził Gutenberg. Dziś mamy dziennikarstwo skomputeryzowane, wyzbyto się ducha, serce nie jest w modzie. Sumienie poszło w niepamięć.

ROMUALD KARAŚ

SDP

Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony,
opinie, analizy, blogi dziennikarzy...
na stronie internetowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl
zapraszamy

Pamięci bohaterских Kobiet

24 października na warszawskiej Pradze, przy ul. Floriańskiej 12, przy licznych udziale mieszkańców, młodzieży szkolnej, przedstawicieli Bractwa Kurkowego, harcerzy i władz, odsłonięto tablice upamiętniające kobiety – żołnierzy Armii Krajowej: Janinę Englert, Zofię Brzostowską i Zenię Olejnik.

Podczas niemieckiej okupacji w mieszkaniu Janiny Englert przy ul. Floriańskiej 12, mieścił się punkt pomocy żołnierzom AK. Stamtąd 2 sierpnia 1944 wyruszyły dwie łączniczki. Dostały się pod ostrzał niemieckiego snajpera. 19-letnia Zenia Olejnik zginęła na miejscu. Była jedyną osobą ocalałą z rzezi rodziny na Wołyniu. Natomiast 23-letnia Zofia Brzostowska została ciężko ranna. W walkach na Pradze poległo ponad 300 powstańców. Upamiętnia to jedna z tablic, drugą poświęcono harcerce, żołnierzowi AK Janinie Englert pseudonim „Klima” – legendarnej praskiej bibliotekarce, twórczyni pierwszej w Warszawie dzielnicowej czytelnicy naukowej, założonej w 1935 roku, i pierwszej dyrektor sieci bibliotek na Pradze Północ.

Jak wspomina Hanna Budzisz, wnuczka Janiny Englert: „Babcia zawsze była w czymś pierwsza. Była w pierwszej polskiej szkole w Kijowie, gdzie uczono polskiego i wychowywano na patriotów. Zanim została dyrektorką pierwszej sieci bibliotek na Pradze Północ, stworzyła pierwszą w Warszawie dzielnicową Czytelnię Naukową. I to, co do dzisiaj obowiązuje w takich czytelnich, babcia wprowadziła np. spotkania z ciekawymi ludźmi oraz lekcje biblioteczne dla uczniów. Kiedy Niemcy zamknęli biblioteki i wiadomo było, że będą rabować nasze książki, sfingowała włamanie i ukryła zbiory. Kiedy Powstanie na drugim brzegu upadło,



FOT. © JACEK HEROK

23 listopada – dwa miesiące po zajęciu Pragi przez kościuszkowców i Armię Czerwoną, znów otworzyła czytelnię, przyszedł tłum. Opowiadała, że siedzieli przy lampach karbidowych i zachłannie czytali. Potem jako dyrektor sieci bibliotek jako pierwsza wprowadziła wolny dostęp do półek”.

„Jej zasługi dla społeczności lokalnej Pragi i Targówka są nieocenione i godne upamiętnienia – napisano w biografii J. Englert, wydanej w zbiorze *Żyją w naszej pamięci*. – Miała przemożny wpływ na formowanie się nowych kadr bibliotekarskich. Nie szczędziła czasu na życzliwą rozmowę, dzieliła się doświadczeniami, zachęcała młodzież do kształcenia się i realizowania ambicji zawodowych. Przez całe swoje życie zawodowe, zarówno w latach

międzywojennych, w czasie wojny i okupacji oraz w trudnych czasach władzy ludowej prezentowała postawę etyczną, mogąca być wzorem uczciwości i godności”.

Uroczystego odsłonięcia pamiątkowych tablic dokonali: przewodnicząca Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Elżbieta Stefańczyk, burmistrz Pragi Północ Wojciech Zabłocki i inicjatorka upamiętnienia – Hanna Budzisz, natomiast poświęcił je bp Marek Solarczyk. Specjalny list, nadesłany przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego, odczytał poseł Paweł Lisiecki. Liczne delegacje, m. in. stowarzyszeń: Pamięci Powstania Warszawskiego 1944, Kocham Pragę, Bibliotekarzy Polskich czy SDP, złożyły wieńce i kwiaty.

BARTŁOMIEJ BINDER-FRYCZ



FOT. © JACEK HEROK





Pierwsza po Bogu

Pisałem już na tych łamach o genezie pojęcia Rzeczypospolitej akcentując, że Andrzej Frycz Modrzewski, ubogi szlachcic, wójt z Wolborza, scalił je od razu z wartościami moralnymi i politycznymi, zespolił znaczenia wspólnoty, uczciwości, pożyteczności.

Wspólne jest bowiem – wywołał – to publiczne, przeto Rzeczypospolita wydaje się być „nie czym innym, jeno wspólną wszystkich uczciwością i pożytkiem”. Tak zatem owa „wspólnota” Modrzewskiego, „własność publiczna” emanowała uczciwością; została bowiem wywiedziona z aksjologii chrześcijańskiej, zwłaszcza siódmego przykazania. Ono już od 2. połowy następnego stulecia było lekceważone, a dziś jest w kręgach półczy ówierc elity permanentnie i bezczelnie łamane, jakby dzisiejsi zwyrodniali Polacy zapominali, na jakich fundamentach Rzeczypospolita została zbudowana.

Owe więc przymioty: „wspólnotowość”, „własność publiczna” sformułowane po łacinie przez Modrzewskiego zostały zastąpione jednym słowem polskim: „pospolita”, które wtedy, w XVI wieku, znaczyło właśnie to samo, co wspólna, publiczna, powszechna, wszystkich – uczciwa i pożyteczna. Współczesny Modrzewskiemu Jan Krasiński

w łacińskiej rozprawie *Polonia* dostrzegł w młodej Rzeczypospolitej „mądrość, która tym się wyraża, że [...] jest ustanowione rządzenie według prawa [...] król sam bez zgody rady senatu i zgody szlachty nie ustanawia praw, lecz prawom podlegać ma nakazane” (przycyżam za: Waclaw Uruszczyk, *Tradycja państwa prawa w I Rzeczypospolitej. 500-lecie Statutu Łaskiego z 1506 roku*). Zważmy: królowi jest nakazane! Oto werbalny prapoczątek nowoczesnych ustrojów parlamentarno-demokratycznych.

Szlachta uważała swą Rzeczypospolitą za wartość najpiękniejszą ze wszystkich ziemskich. Nazywała ją matką, a o królowach mawiała, że są małżonkami Rzeczypospolitej i strażnikami jej praw i ona powinna mieć nad nimi władzę, tak jak kobieta zawsze w kulturze polskiej ma władzę duchową nad mężczyzną. Wartość Rzeczypospolitej-Matki wskrzesił Henryk Sienkiewicz, gdyż była ona wówczas niezbędna do życia duchowego Polaków:

w słynnym politycznym dyskursie powieściowym Skrzetuskiego z Chmielnickim ataman tłumaczy, że nie podniósł ręki na króla, tylko na „królewietę” panoszące się na Rusi. Skrzetuski ripostuje, że tym samym zabija Matkę, Rzeczypospolitą. Po wieku z dużym okładem Jan Paweł II podczas jednej ze swych pielgrzymek do Ojczyzny dobitnie, podniesionym głosem – widocznie znów zdenerwowała go jakaś wypowiedź zdraycy reprezentującego z nadania rosyjsko-sowieckiego ówczesną władzę – wołał, że tu jest Jego Matka, a słuchający go ludzie to bracia i siostry, i dlatego nigdy nie przestanie troszczyć się o jej i ich losy.

Trzeba więc przyznać, że etos Rzeczypospolitej-Matki ma długi żywot. Właściwie powinienem napisać: m i a ł, przecież dzisiaj nikt już tak o Polsce nie myśli, ba – nawet słowo „ojczyzna” zniknęło z leksyki mowy publicznej, bo wywoływałoby inwektywy w rodzaju: szowinizm, fundamentalizm,

Jan Matejko, „Unia Lubelska”, 1869
Wszystko na tym obrazie ma znaczenie – nie tylko postaci, ale też ich gesty, miny, nawet miejsca w których stoją... Ubrana na czarno brodata postać to Andrzej Frycz Modrzewski, autor dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej*. Modrzewski na obrazie obejmuje postać chłopca, co symbolizuje głoszoną przezeń ideę zrównania w prawach chłopstwa z mieszczaństwem i szlachtą.

FOT. © MUZEUM LUBELSKIE W LUBLINIE

ksenofobia, oszołomstwo. Natomiast znowu, od 1989 roku, wkraczają na arenę, i to w liczbie niemałej, politycy podobni – wypisz, wymaluj – do tych antenatów, którzy za zdrady i donosicielstwa brali srebrniki od Niemców i Rosjan; zmienili się tylko ci, którzy płacą, niekoniecznie gotówką, a z powszechnej europejskiej kasy synekur. Zresztą po 1945 roku nasz naród bez przerwy hojnie dostarcza wrogim siłom wszelkiego rodzaju delatorów i pracowników Imperium Zła.

Panowie bracia – wedle wyrażenia Andrzeja Moskorzowskiego na przedsejmowym sejmiku w Opatowie w roku 1627 (odwołuję się do: Edward Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587-1652*) – nazywali siebie „synami Rzeczypospolitej”. Bynajmniej nie oznaczało to, że król-małżonek był ich ojcem, traktowali go raczej jako ojczyma, który powinien im być wdzięczny za powołanie do godności „małżonka”, a skoro tak, to oni, „synowie Rzeczypospolitej-Matki”, byli wobec niego władzą nadrzędną i rozliczali go z tego, co czynił. Stąd bierze się skomplikowany stosunek wyborców-szlachty do króla, którego trzeba szanować, całować w rękę, ponieważ jest mandatariuszem Majestatu Rzeczypospolitej-Matki. Ale nie należy wznosić go na najwyższe piedestały, nie budować mu kapliczek, natomiast można się sprzeciwić, mieć inne zdanie niż on, w końcu nawet wymówić posłuszeństwo (*de non praestanda oboedientia* z „Artykułów henrykowskich”), ale nie wolno zabić, byłaby to zbrodnia nie do wybaczenia przez „synów” Rzeczypospolitej-Matki. Natomiast już od lat sześćdziesiątych XVII wieku szlachta z magnatami zaczęła... handlować ziemiami swej Matki, po wieku skuszona przez oligarchów rozszabrowała ją, doprowadziła do śmierci.

Jan Chryzostom Pasek, uzdolniony pisarsko bigot i warchoł, a szczerzy patriota, napisał w odniesieniu do rokoszu Lubomirskiego (1666), wymierzonego przeciw zamysłom Jana Kazimierza, „żeby Francuza wprowadzić na królestwo, na co już i sam król pozwala [...], ale Rzeczypospolita poczuwała się i starała, żeby z tego nie

nie było [...] i Pan Bóg po staremu [...] sprawił, że Francuz nie został wybrany”. Autor wznosił tedy Rzeczpospolitą do wyżyn Transcendencji, niejako zrównał ją ze Stwórcą. Nie ma chyba w literaturze ojczyściej większej apoteozy Rzeczypospolitej.

Nieco później Stanisław Leszczyński, niefortunny król Polski, dobry zaś gospodarz pod obcym berłem, wywiódł już bez emfazy i pokrętności składniowej: „Królowie są śmiertelni, lecz Rzeczypospolita nigdy nie umiera”. Bo jest wiecznym narzędziem Boga we władaniu historią i państwami, w hierarchii wartości zaraz po Nim – pierwsza po Bogu, tak jak dla normalnego człowieka matka ma identyczne miejsce w tej hierarchii.

Mocodawcą zaś praw, których strażnikami są królowie-małżonkowie nieśmiertelnej Rzeczypospolitej, jest sejm – najwyższa materializacja Rzeczypospolitej – stworzony przez jej „synów”, a zatem również szanowany, albowiem każdy człowiek, abstrahując od dewiantów polityczny przepelniających nasze życie polityczne, szanuje to, co stworzył w dobrej wierze. Owi „synowie” nie uświadamiali sobie jednak, że ich wytwór, z którego byli bardzo dumni, wymagał – wedle Hanny Malewskiej, dwudziestowiecznej publicystki katolickiej o której też już swego czasu pisałem, autorki m. in. *Listów staropolskich z epoki Wazów* – „mądrości i wielkiego ducha, ciągłej naprawy, a tych zabraknie już w drugiej połowie XVII wieku”, gdyż „ustrój Rzeczypospolitej był dla aniołów, nie dla ludzi” – konkluduje Malewska. A więc „przerobienie zjadaczy chleba w aniołów” jest możliwie jedynie w wizji poetyckiej wieszczka. W praktyce dziejowej, w feudalizmie, nie dało się

„anielstwa” udźwignąć, w żadnym chyba ustroju nie można go utrzymać, ponieważ przerastając kreatorów, doprowadza do ich demoralizacji, czego najlepszym przykładem jest dzisiejsze skarlenie Stanów Zjednoczonych i w ogóle kultury Zachodu...

Stefania Skwarczyńska, historyk i teoretyk literatury 2. połowy minionego wieku, napisała w rozprawie publicystycznej o Weselu Stanisława Wyspiańskiego, że Rzeczypospolita była „wspaniałą gwiazdą strąconą z firmamentu europejskiego”. Władysław Konopczyński, dwudziestowieczny wybitny historyk, określił zaś Rzeczpospolitą jako „całość moralną [...], gdzie indziej władza wiązała podwładnych, tutaj obywatele wiązali się sami w państwo” (w: *O wartości naszej spuścizny dziejowej*. Wybór pism, Ośrodek Myśli Politycznej, 2009).

Czy rzeczywiście „pierwsza po Bogu”, „anielska”, „gwiazda wspaniała”, „całość moralna”?

W każdym razie jej smutny historyczny koniec niech wciąż będzie dla nas przestrogą.

Czy wszelako nie da się stworzyć nowej Rzeczypospolitej, chociaż od poprzednich odmiennej terytorialnie i ustrojowo, lecz takiej, która by przechowywała, a może i rozwijała, co w Pierwszej, Drugiej (krótkotrwałej) i dzisiejszej było, jest – czy raczej miałoby być w intencji jej twórców – WIELKIE? Żebyśmy w naszym systemie ziemskich wartości znowu odczuwali Ją jak Matkę, pierwszą po Bogu...

JACEK WEGNER

Juliusz Kossak, „Jan Chryzostom Pasek pod Lachowiczami”, akwarela, 1898

FOT. © MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE W BYTOMU





FOT. © KONRAD WOJCIK

**SZKOŁA PODSTAWOWA
im. ERWINA KRUKA
w Elgnówku**



Wielki człowiek z małej szkoły

Szkola w Elgnówku tuż po wojnie była bardzo mała. Teraz jest już nowy, większy budynek, ale nadal jest mała, gdyż i uczniów jest niewiele, około pół setki. Zaraz po wojnie do tej szkoły uczęszczał Erwin Kruk, wraz ze swoim starszym bratem Ryszardem. Wcześniej musieli opuścić swoją rodzinną miejscowość, Gutfeld, dziś jest to Dobrzyń koło Nidzicy, gdyż w 1945 roku po wejściu na te tereny Armii Czerwonej stracili rodziców i wówczas przyczerpnęła ich babcia Augusta Stach właśnie z Elgnówka. W 1955 roku Erwin jako siódmoklasista kończył tu szkołę podstawową, a wraz z nim tylko siedmiu uczniów. Tyłu liczyła klasa.

7 października br. w tej małej miejscowości koło Olsztynka odbyła się wielka uroczystość nadania Szkole Podstawowej imienia Erwina Kruka, byłego ucznia tej szkoły. Decyzję o tym podjęli uczniowie, grono pedagogiczne, komitet rodzicielski, zatwierdziło ją Kuratorium, zaś stosowną uchwałę podjęła Rada Gminy Olsztynek.

Uroczystość była wielka, gdyż oprócz społeczności szkolnej i mieszkańców Elgnówka przybyło mnóstwo zaproszonych gości, w tym przedstawiciele władz wojewódzkich, powiatowych, gminnych, a także organizacji społecznych i kulturalnych, dziennikarze i literaci, a nawet motocykliści. Oczywiście była obecna najbliższa rodzina Erwina: brat Ryszard, żona Świętłana oraz dzieci: Tomasz i Eliza. W szkole nie było tak wielkiej sali, aby pomieścić gości, uroczystość odbyła się więc na zewnątrz budynku.

O motywach twórczości literackiej Erwina Kruka mówił prof. Zbigniew Chojnowski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Dla Kruka liczył się przede wszystkim człowiek – starał się poznać dzieje ludzi, którzy żyli na tej ziemi, ich myśli i odczucia. Wyróżniała go ciekawość świata i pamięć o kulturze mazurskiej, która była inspiracją dla jego twórczości. Twierdził, iż jest przedstawicielem ostatniego pokolenia, który dźwiga garb mazurski.

Organizatorzy tej uroczystości: pani dyrektor Bogusława Wilk i pan Krzysztof Koczyński poprosili mnie wcześniej abym podzielił się swymi wspomnieniami o bliskim koledze, którego znalazłem od czasu studiów w Toruniu. Mówiłem więc o jego zaangażowaniu w ruch społeczny i zwią-

kowy jakim była „Solidarność”, powstała jesienią 1980 roku. Widział w niej szansę na przemiany demokratyczne w kraju. Wkrótce został wybrany w skład Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ „Solidarność”. Podczas strajku w OZGranie, w sierpniu 1981 roku, kiedy to załoga protestowała w imię wolności prasy i wiarygodności słowa, w biuletynie strajkowym ukazał się piękny wiersz Erwina Kruka „List” o pragnieniu wolności i prawdy. Pod koniec lat 80. był on jednym z założycieli, opozycyjnego wobec władzy komunistycznej Olsztyńskiego Klubu Obywatelskiego. Erwin Kruk jako Mazur, literat, autorytet społeczny i moralny w dniu 4 czerwca 1989 roku startował w wyborach z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” i został senatorem. W następnych wyborach już nie startował – poświęcił się całkowicie pracy pisarskiej.

O patronie szkoły mówił też warmińsko-mazurski kurator oświaty Krzysztof Marek Nowacki, podkreślając, że Erwin Kruk jest godzien, aby być wzorem dla innych. Aktywnymi bohaterami tej uroczystości byli też uczniowie. Na scenie przepytawali dokładnie trójkę absolwentów szkoły podstawowej, którzy uczyli się razem z Erwinem Krukiem. Byli to: brat Erwina – Ryszard Kruk oraz Krystyna Butkiewicz i Roman Wańkowicz. Z tego wywiadu dowiedzieliśmy się, że Erwin był „kolegą małomównym i skrytym, ale uczynnym i miał dobrze ułożone w gło-

wie”. Pan Roman pamięta, że „zawsze coś notował, chociaż nie pokazywał tego nikomu”. Pani Krystyna stwierdziła, że „był dobry z języka polskiego i pisał piękne wypracowania”. Brat Ryszard opowiadał, że Erwin lubił czytać. Chodził pieszo do pobliskiego Olsztynka i tam wykupywał wszystkie gazety, jakie były w kiosku. Już wtedy przejawiał wielką ciekawość świata.

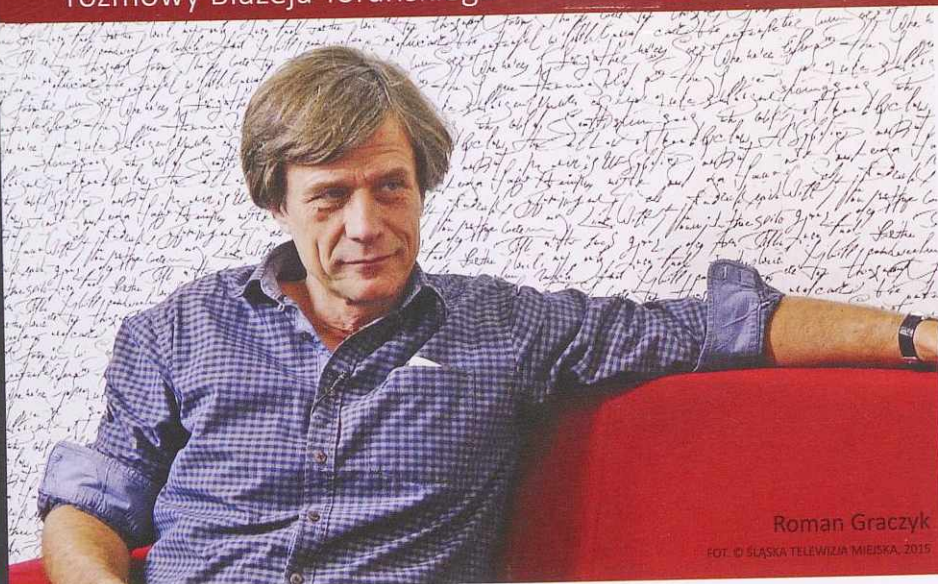
Tuż przed odsłonięciem tablicy pamiątkowej zabrał głos biskup diecezji mazurskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, który podkreślił, że Erwin Kruk był strażnikiem mazurskiego dziedzictwa kulturowego i zarazem mazurskim sumieniem. Opisywał trudny czas, gdy po II wojnie światowej dokonywała się wielka tragedia Mazurów. – Cała jego twórczość nasiąknięta jest dziedzictwem Biblii – podkreślił bp Rudolf Bażanowski. Obecny podczas uroczystości abp Józef Górczyński z Kościoła katolickiego wskazał na bogatą osobowość Erwina Kruka, która ma duże walory wychowawcze.

Odsłonięcia tablicy pamiątkowej dokonali przyjaciele pisarza z ławy szkolnej: Krystyna Butkiewicz i Roman Wańkowicz. Na tablicy wypisano, iż dnia „7 października 2017 roku Szkole Podstawowej w Elgnówku nadano imię Erwina Kruka”. Pomyślałem sobie, że to imię na pewno nobilituje tę małą szkołę, do której niegdyś uczęszczał Erwin, co więcej, że w przyszłości będzie ją również chronić.

ZENON ZŁAKOWSKI

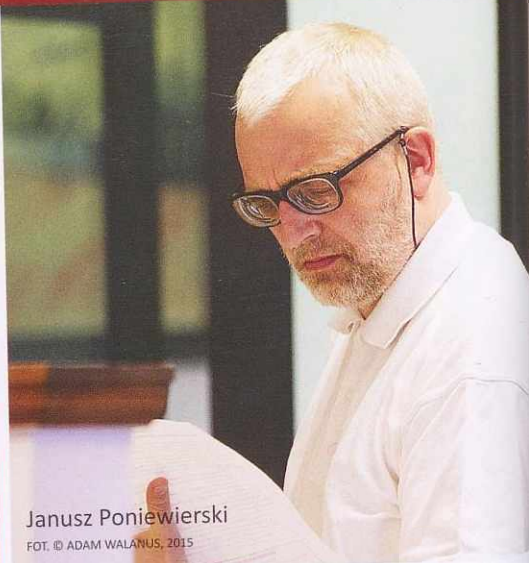


FOT. © KONRAD WÓJCIK



Roman Graczyk

FOT. © ŚLĄSKA TELEWIZJA MIEJSKA, 2015



Janusz Poniewierski

FOT. © ADAM WALANUS, 2015

W imię standardów

Z Romanem Graczykiem i Januszem Poniewierskim o tym, dlaczego wystąpili ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich rozmawia Błażej Torański.

Błażej Torański: Dlaczego rejterujecie z SDP?

Janusz Poniewierski: Nie rejterujemy. Wychodzimy, ponieważ – naszym zdaniem – SDP nie spełnia swego podstawowego obowiązku: nie występuje przeciwko ewidentnemu łamaniu standardów dziennikarskich w mediach publicznych.

A w mediach komercyjnych standardy nie są łamane? Nad rzetelną, bezstronną informacją nie dominuje perswazja? Nie zauważacie propagandy w TVN, Polsacie czy „Gazecie Wyborczej”? Zapomnieliście o jazgocie, miłośkości, walce kogutów w Telewizji Polskiej rządzonej przez Juliusza Brauna? Propagandzie Tomasza Lisa, Beaty Tadli czy Piotra Kraśki?

Roman Graczyk: Nie zapomnieliśmy, ale to jest fałszywe stawianie sprawy: skoro wtedy łamane były standardy (albo są one łamane dziś w mediach prywatnych), to nie powinniśmy się domagać od Stowarzyszenia jednoznacznego dawania wyrazu przywiązania do wartości ważnych dla utrzymania ładu medialnego opartego na wolności słowa. Niezależnie od tego, jak było wcześniej, interesuje nas, jak jest teraz. Jak jest za tej władzy. A kadencja władzy politycznej jest ustrojowo zespolona z władzą mediów publicznych. Jest to skandaliczne samo

w sobie. A na dodatek bardzo wyraźnie przekłada się na treści. Podobnie, gdy chodzi o media niepubliczne dziś. Niezależnie od tego, jak źle było w mediach publicznych przed 2015 rokiem i niezależnie od zjawiska dziennikarstwa w stylu Tomasza Lisa obecnie w mediach nie-publicznych, nas interesuje sytuacja w mediach publicznych dziś. Tamte odniesienia nie są częścią naszej analizy, bo to nie jest konieczne, ale gdy nas o to pytasz, to odpowiadamy: 1) w mediach publicznych jest gorzej niż w prywatnych; 2) teraz w PR i TVP jest gorzej niż przed 2015 rokiem.

JP: Zgadzam się z tą diagnozą. I – mimo dość krytycznego spojrzenia na telewizję publiczną przed rokiem 2015 – o wiele wyżej cenię pracę przywołanych przez pana osób od tego, co robią dziś dziennikarze „Wiadomości”, na przykład Ewa Bugała czy Bartłomiej Graczyk.

Kadencje – na przykład prezesa Polskiego Radia – z władzą PiS się nie pokrywają. Ale: serio uważacie, że poziom wolności mediów i swobody wypowiedzi jest gorszy aniżeli przed kilku laty?

JP: Nie powiedziałbym, że poziom wolności i swobody jest niższy, wciąż przecież działają media prywatne i nie istnieje cenzura, jednak standardy rzetelności w mediach publicznych są, naszym zdaniem, dużo gorsze.

RG: Nasze oświadczenie dotyczyło tego, co się dzieje w mediach publicznych i braku reakcji władz SDP. Są tacy, którzy twierdzą, że za poprzedniej władzy nakładały się skrzywienia TVN, Polsatu i mediów publicznych. To prawda. Teraz te wektory działają w odwrotnych kierunkach. Nas jednak interesuje łamanie standardów w mediach publicznych, bo one są ważniejsze: za publiczne pieniądze powinny

realizować misję. Zabolalo nas, że SDP na to nie reagowało.

Cenzura jest zjawiskiem, nie tylko instytucją, jak w PRL. Istnieje we wszystkich mediach. Jest gigantyczna, choć nie-pochwytna. Zgadzacie się z poglądami Dominiki Wielowieyskiej, Andrzeja Morozowskiego i Jacka Żakowskiego, wyrażonymi niedawno w „Newsweeku”? Twierdzą, że PiS dokona zamachu na wolne media. Zniszczy te „liberalne, uczciwe”.

RG: Z wieloma poglądami wymienionych osób nie utożsamiam się od wielu lat. Ale to też jest fałszywe postawienie sprawy, że skoro nie zgadzamy się z TVP, to zgadzamy się automatycznie z „Gazetą Wyborczą”. My szukamy rozsądnego środka.

Nie twierdzą, że działa taki automatyzm.

JP: Nie czytałem tego numeru „Newsweeka”, trudno mi zatem wypowiadać się o szczegółach. Ale to, co Pan o tym tekście mówi, jest mi dość bliskie. Rzeczywiście, obawiam się zamachu na wolne media. Nie ufam pod tym względem PiS-owi i w znacznym stopniu przyczyniła się do tego telewizja publiczna. Od kilkunastu miesięcy staram się regularnie oglądać „Wiadomości” TVP i, jak na dłoni, widzę uprawianą tam manipulację, szerzenie kłamstwa. Nie mogę zaufać władzy, która nie waha się – w sposób tak bezczelny – łamać VIII przykazania Dekalogu.

Ma Pan poczucie déjà vu, jakby Pan oglądał peerelowski Dziennik Telewizyjny?

JP: Dokładnie tak. Napisaaliśmy, że to nam przywodzi na myśl programy informacyjne z czasów Gierka. Mnie przypomina to nawet telewizję Urbana.

To mocny pogląd, gdyż to była załgana telewizja. Nie uważacie jednak, że

propaganda jest immanentną cechą telewizji publicznej?

RG: Da się to oddzielić, ale w Polsce po 1989 roku nigdy tego dobrze nie zrobiono. Zawsze to szwankowało, tyle że za poprzednich rządów nie było prostego przełożenia politycznego. Namiastka pluralizmu w KRRiTV wykraczała poza układ rządzący. Teraz na poziomie strukturalnym wystąpił regres. W rezultacie mamy PiS w rządzie i w Telewizji Polskiej, i w Polskim Radiu. Ponadto personalne czyszczenie i dyscyplinowanie w mediach publicznych, szczególnie przez pana prezesa Jacka Kurskiego dowodzi podległości TVP partii rządzącej, jakiego nie znaleźliśmy po upadku komuny. We flagowych programach informacyjnych i publicystycznych zredukowano niezależność dziennikarską niemal do zera. Jeśli ktoś próbował mówić własnym głosem, to go wyrzucano. Tak źle nie było nigdy od ustanowienia mediów publicznych w 1994 roku.

„Rola mediów, zwłaszcza sekcji informacyjnej jest relacjonowanie, a natrętna propaganda przeistacza się w autoparodię”. Wicie kto to napisał?

JP: Oczywiście. To zdanie Bronisława Wildsteina.

On napisał to w maju tego roku na portalu wPolityce.pl. Tytuł: „Jak za Gierka”. Wasze poglądy nie są więc odosobnione. Nigdy jednak nie zabraliście głosu w tej sprawie w mediach SDP.

RG: To prawda, że w mediach SDP nie wypowiadaliśmy się. Ale w sierpniu 2016 roku opublikowałem duży tekst w „Do Rzeczy”, gdzie krytycznie oceniłem rządy PiS-u i propagandę w mediach publicznych. Brzmiało to niemal dokładnie tak, jak nasze oświadczenie o wystąpieniu z SDP. Milczałem natomiast wewnątrz Stowarzyszenia, bo oceniałem, że byłoby to waleniem głową o ścianę. We władzach SDP jest bowiem wyraźna przewaga dziennikarzy, którzy popierają ten kierunek rządów i nie przeciwstawiają się tej dewiacji w mediach publicznych.

JP: Przynajmniej publicznie przeciwko temu nie protestowałem. Także dlatego, że – jako dziennikarz – zajmuję się raczej pisaniem o Kościele aniżeli o mediach. Nie ukrywam jednak, że i ja – podobnie jak Roman – miałem poczucie, iż taka inicjatywa niczego by nie zmieniła. W styczniu tego roku, w czasie oplatkowego spotkania z dziennikarzami zorganizowanego przez kard. Nycza, wystąpił wybitny etyk ks. prof. Andrzej Szostek, który bardzo ostro ocenił media publiczne. Nie przypominam sobie, żeby te słowa wzbudziły w Stowarzyszeniu jakąkolwiek reakcję.

Czytacie w ogóle media SDP? Na naszych łamach i na portalu ciągle toczą się zażarte dyskusje.

JP: Gratuluję. Cieszę się, że taka debata trwa. Szkoda tylko, że ma ona charakter czysto wewnętrzny.

RG: Wiem, że ta debata się toczy i dobrze, ale to jest mało. Przypomina mi to dyskusję w Biurze Politycznym KC PZPR za Gierka, gdzie padały głosy: „Przecież o wszystkim mówimy, wiemy, że gwoździ i sznurka brakuje”. Ale co z tego? Stowarzyszenie musi w sprawach najważniejszych zabierać głos, a ponieważ nie zabiera, to było milczenie wymowne.

Zabiera. W sprawie wolności słowa zabiera. Jolanta Hajdasz, szefowa Centrum Monitoringu Wolności Prasy, wcześniej Wiktor Świątlik, działa dynamicznie.

Zgoda, że propagandy władze SDP nie krytykują tak silnie, jak za rządów PO-PSL. O to chodzi?

RG: Co do CMWP to zgoda, ale Centrum nie jest organem władzy w Stowarzyszeniu. Za rządów PO-PSL Stowarzyszenie krytykowało sytuację w mediach publicznych, teraz milczy w tej sprawie.

JP: Tu nie chodzi jedynie o „propagandę sukcesu”. W „Wiadomościach” TVP mamy nierzadko do czynienia z nagonką na określone środowiska (np. fundacje) i na konkretnych ludzi. W moim przekonaniu Stowarzyszenie powinno te praktyki nazwać po imieniu i je publicznie napiętnować.

Piotr Legutko, wiceprezes SDP, pisze w felietonie, że trudno zrozumieć Wasz gest (zob. s. 5). Także go nie rozumiem, bo jednak słabo znacie dyskusje wewnętrzne. Może doszłicie do wniosku, jak byli członkowie PZPR, że nie da się tej organizacji zmienić od środka?

RG: To jest prawidłowa interpretacja. Ale dlaczego wystąpiliście z SDP na miesiąc przed zjazdem, gdzie będzie można te tematy przedyskutować? Moglibyście złożyć stosowną uchwałę. Co takiego się teraz wydarzyło, że przelało czarę goryczy?

RG: Z takim zamiarem nosiliśmy się od kilku miesięcy. Jeśli chodzi o mnie, dodatkowym impulsem była okoliczność przypadkowa, ktoś może powiedzieć, że anegdotyczna. Ale w tym wypadku przypadek wskazał na ogrom problemu. Tak się złożyło, że na wakacjach miałem dostęp tylko do telewizji publicznej i oglądając ją przeżywałem tortury. Zmusiłem się jednak do tego, aby przez dwa tygodnie ją oglądać. To mi uświadomiło skalę problemu. A że zbliża się Zjazd... Ocenilem, że moja krytyka tego stanu rzeczy na Zjeździe nie będzie miała żadnego wpływu na kierunek, w jakim pójdzie SDP. Dlatego zdecydowałem się na gest, który – wydaje mi się – jest społecznie użyteczny.

JP: Cóż, każdy moment jest dobry na to, by odpowiedzieć na głos sumienia. A jeśli

chodzi o Zjazd? Nie byłem delegatem, więc nie bardzo wiem, jak miałbym wpływać na jego obrady. Ale to chyba dobrze, że ogłosiliśmy to nasze oświadczenie przed Zjazdem SDP? Może ono uruchomi tam jakąś dyskusję? Może wyzwoli w ludziach wściekłość?

Przyjmuję, że to był przypadek. Nie sądzisz jednak, Romanie, że Twój kolega Piotr Legutko miał prawo pomyśleć: „I ty, Brutusie?”

RG: Zapewne Piotr tak pomyślał, tego dowodzi jego felieton (zob. s. 4). Ale nie sądzę, iżby Piotr powinien uskarżać się na to, że jest w SDP osamotniony. To raczej nasze stanowisko jest tam osamotnione.

JP: Trudno mi zgodzić się z tezą Piotra Legutki, że wyrządzamy krzywdę członkom Stowarzyszenia. Postanowiliśmy pójść swoją drogą – to wszystko.

Rozmawiał BŁAŻEJ TORAŃSKI

Roman Graczyk – rocznik 1958, absolwent dziennikarstwa i nauk politycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dziennikarz. Debiutował w bezdebiutowym studenckim piśmie „Aplauz” w roku 1981, po stanie wojennym pisywał dla emigracyjnego „Kontakt” i podziemnego „Bez Dekretu”. W latach 1984-1991 pracował w „Tygodniku Powszechnym”, od 1991 do 1993 w Radiu Kraków, od 1993 do 2005 w „Gazecie Wyborczej”. Od 2006 roku pracuje w Biurze Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Współpracuje z „Interią” i „Rzeczpospolitą”. Wydał siedem książek: *Konstytucja dla Polski* (1997), *Polski Kościół – polska demokracja* (1999), *Bo jestem z Wilna* (wywiad-rzeka z Józefą Hennełową, 2001), *Tropem SB. Jak czytać teczek* (Znak, 2006), *Cena przetrwania? SB wobec „Tygodnika Powszechnego”* (2011), *Chrzanowski* (2013), *Od uwikłania do autentyczności. Biografia polityczna Tadeusza Mazowieckiego* (2015).

Janusz Poniewierski – rocznik 1958, studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1985-1998 pracował w „Tygodniku Powszechnym” (m. in. jako kierownik działu religijnego), od roku 1998 do dzisiaj redaktor miesięcznika „Znak”. W latach 90. współpracował z Sekcją Polską BBC i Radiem Wolna Europa; pracował również w KAI. Redaktor kilkudziesięciu książek; wydał m. in. monografię o Janie Pawle II *Pontyfikat. 1978-2005* (2005); współautor książki *Na początku był Chrystus* (rozmowa z biskupami trzech wyznań chrześcijańskich, 2016).




Ogólnopolskie, regionalne, lokalne

FOT. © WWW.TVSTM.PL

Wszędzie słychać, od dłuższego czasu, że najlepsze to lokalne. Najlepiej jeść lokalne produkty, bo wiadomo kto je wyhodował, najlepiej zamawiać usługi u lokalnych przedsiębiorców, bo znasz ich lub twój znajomy ich zna itd., itd. I rzeczywiście ludzie, coraz bardziej, wchodzą w ten trend i są zadowoleni.

Czy tak też jest z lokalnymi mediami?

Lokalnych mediów jest więcej niż ogólnopolskich i regionalnych razem wziętych. Ilość papieru, portali, tysiące godzin materiałów filmowych i megabajtów użytej pamięci to morze, w którym można utopić całe media ogólnopolskie i regionalne.

Zapotrzebowanie na lokalność jest wielkie. Bo ludzie są znużeni nieustanną siecią informacyjną w ogólnodostępnych mediach, gdzie raczej pokazuje się kroniki policyjne i polityczny dżihad między zwalczającymi się ugrupowaniami, do tego często podane nie jako informacja tylko komentarz, który z razu ma ustawić odbiorcę na konkretny tor. Czego szary człowiek może dowiedzieć się o swoim „podwórku” w mediach ogólnopolskich? Niczego, chyba, że ktoś zabił, coś ukradł, coś się spaliło, ewentualnie biją rekord Guinnessa.

Czy to jest wszystko, co składa się na codzienność szarego obywatela?

Prawdziwa opowieść o życiu zwykłych ludzi zaczyna się na „provincji”, można powiedzieć lokalnie. To tam można znaleźć najwięcej informacji. Tych dobrych i oczywiście tych złych. To tam jest największa wiedza o tym, jak funkcjonuje

państwo, samorząd, urzędy i wszystkie utrudnienia z tym związane. Tam też wywala się największa inicjatywa, w praktycznie każdej dziedzinie życia. Inicjatywa, która integruje, pomaga, widzi drugiego człowieka. Bez potężnych nakładów finansowych, bez rozgłosu. Te rzeczy dzieją się na co dzień. Tylko kto je chce zauważyć? Zapewne nie media ogólnopolskie czy regionalne. Bo co jest w tym takiego, żeby widza przykuć do telewizora czy czytelnika do szpalty. Przecież nie ma tam krwi, przemocy, a opowieść jest raczej szara – tak jak codzienność. I tak, można powiedzieć, są to właśnie tematy dla mediów lokalnych.

Jakie są media lokalne? Kto je najczęściej tworzy?

W obecnym czasie media lokalne tworzą wszelkiej maści urzędnicy. Bo mają dostęp do środków finansowych. Ale, przede wszystkim, umożliwia im to prawo. Jak tak może być, żeby ustawowo nie zabronić wydawania gazet, tworzenia portali, telewizji internetowych, a nawet koncesjonowanych z publicznych pieniędzy? My sami dajemy kasę na to, żeby wiejski, miejski czy powiatowy „książe” mógł promować swoją facjatę i wciskać „kit”, jaki on to jest wspaniały. A jak z nimi ma konkurować medium, które chce być niezależne, które chce uprawiać prawdziwe dziennikarstwo?

Najczęściej nie ma takiej możliwości, bo, albo zostaje odcięte od środków, nawet prywatnych, albo zaszcute przez lokalny, urzędniczy układ. Znam dziesiątki portali, portalików, gazet, gazetek, telewizji i telewizyjek, które, aby się utrzymać, najczęściej, wchodzą w układ z lokalną władzą i już jako, rzekomo niezależni dziennikarze,

uprawiają propagandę niszcząc przy tym i lokalną społeczność, jak i szeroko pojęty zawód dziennikarza. Dlatego ci, którzy nie dali się złamać, czy nie poszli na układ z miejscową władzą liczyli, m. in. na nowo powstałą Radę Mediów Narodowych, która w końcu poukłada cały rynek medialny w taki sposób, by lokalni dziennikarze również znaleźli swoje miejsce. I nie chodzi tutaj tylko o dostęp do środków finansowych, ale przede wszystkim o ochronę przed wszechmogącymi, lokalnymi kacykami. Tak, jak na razie, nie stało się.

Czy zostało tylko SDP?

Chyba tak. Tylko, że samo SDP musi zrozumieć i rozróżnić, że oprócz mediów ogólnopolskich i regionalnych są też lokalne. Powinno znaleźć się miejsce dla „lokalnych”, ale rzeczywistych dziennikarzy, a nie tych, którzy się za takich uważają. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich musi, z całą stanowczością doprowadzić do tego, by w Polsce uchwalono prawo, które:

1. Zabroni wydawania gazet, tworzenia portali, telewizji i innych mediów przez samorządy;
2. Zabroni posiadania udziałów przez samorządy w spółkach medialnych i domach mediowych;
3. Zdefiniuje słowo „dziennikarz”;
4. Weźmie w rzeczywistą obronę tych dziennikarzy, którzy – choć bez znanych nazwisk – chcą wypełniać swoją misję.

I tyle by wystarczyło, jedynie dodając to, iż ci, którzy sprawują wysokie funkcje w mediach publicznych i w aparacie państwowym winni honorowo zawiesić swój udział we władzach SDP.

A napisał to, z autopsji...

GRZEGORZ MIKA

O telewizji publicznej, abonamencie i telemetrii

„TVP stała się przeciwwagą dla TVN i Polsatu, które zajmują się zwalczaniem obozu rządzącego. Telewizja publiczna musi to równoważyć. Dlatego pluralizm nie powinien być rozliczany na poziomie TVP, tylko w bilansie wszystkich wiodących mediów elektronicznych w Polsce” – przekonuje Marcina Piaseckiego prezes TVP Jacek Kurski.

Niejszym prezentujemy obszernie fragmenty wywiadu, który ukazał się na łamach „Rzeczpospolitej” 19 października br. (Jacek Kurski, *Obiektywizm mediów jest nieosiągalny*, nr 244, s. A12-13).

Rzeczpospolita: Nie wydaje się panu, że zaangażowanie telewizji publicznej po jednej stronie sceny politycznej jest przesadne?

Jacek Kurski: Oczywiście, że telewizja publiczna jest dużo bardziej państwowa, ma zadanie i misję publiczną, czyli więcej informuje o działaniach rządu i władzy publicznej niż telewizje komercyjne. Ale to nieuchronna konsekwencja reakcji na wcześniejszy obraz, który nie był obiektywny, tylko bardzo przechylony w stronę środowisk dzisiejszej opozycji. TVP po prostu stała się przeciwwagą dla TVN i Polsatu, które prawie już nie informują o pracach państwa i rządu, tylko zajmują się metodycznym zwalczaniem obozu rządzącego. Telewizja publiczna musi to równoważyć. Dlatego wyważenie i pluralizm nie powinny być rozliczane na poziomie TVP, tylko w bilansie wszystkich wiodących mediów elektronicznych w Polsce. Marzę o telewizji wyważonej i tym samym jeszcze bardziej obiektywnej, ale musielibyśmy mieć obiektywne TVN i Polsat, a wtedy TVP w oczywisty sposób też nie tylko chciałaby, ale wręcz musiałaby być bardziej wyważona. A w stacjach komercyjnych czasem mamy wręcz nieinformowanie albo informowanie z kontekstem, z tezą i z przekazem negatywnym.

Nieinformowanie o czym?

Na przykład 17 marca 2016 roku żadna telewizja komercyjna nie pokazała – ani TVN, ani Polsat – odsłonięcia przez prezydenta Andrzeja Dudę muzeum Ulmów, Polaków ratujących Żydów. Po prostu coś takiego, że Polacy ratowali Żydów i płacili za to życiem, czyli przełamywanie zohydzającego Polskę i Polaków fałszywego, szkodliwego stereotypu nie interesowało żadnej telewizji komercyjnej. Żadna telewizja komercyjna nie

zrobiła relacji o tym, że papież Franciszek po powrocie ze Światowych Dni Młodzieży w publicznym wystąpieniu dziękował Polakom i podał Polskę jako wzór dla chrześcijańskiej tożsamości i systemu wartości do naśladowania dla innych. Gdyby nie TVP Info, Polacy zapewne nie wiedzieliby, że działa komisja śledcza ds. Amber Gold, bo inne kanały informacyjne ignorują większość ważnych przesłuchań, a jeśli jakieś transmitują to dlatego, że muszą, bo robi to TVP Info. Telewizje komercyjne potrafią się nie zająknąć o ważnych wydarzeniach państwowych czy tożsamościowych.

Ale czy to powoduje prorządowe nastawienie TVP?

TVP jest elementem tego całego krajobrazu i to oczywiste, że u nas przewagę ma komunikacja rządu, państwa, prezydenta. Trudno, żeby było inaczej. Spora część anteny musi być przeznaczona do komunikowania, że coś się wydarzyło, że coś się wydarzy, coś jest planowane, do wyjaśniania sensu i kształtu wprowadzanych zmian. Trudno, by czyniła to opozycja. Jeżeli gościem „Wiadomości” jest ważny minister rządu PiS, to przecież na ogół nie zajmuje się on atakowaniem opozycji, tylko przedstawieniem swoich planów, propozycji ustawowych, mówi o sprawach ważnych dla milionów Polaków, istotnych z punktu widzenia społecznego. Dlatego nie można tego czasu liczyć jako ekspozycji i czas antenowy Prawa i Sprawiedliwości. Natomiast pozostała część czasu antenowego powinna być dzielona między ugrupowania popierające władzę oraz opozycję, na spieranie się na temat tego, co było w pierwszej części.

Czyli mniej więcej trzy czwarte czasu dla rządzących, jedna czwarta dla opozycji.

Odrzucam myślenie i postulat, że telewizja publiczna powinna być po połowie rządowa i opozycyjna. Ona powinna być w lwiej części w ogóle do komunikacji, do mówienia o tym, co się dzieje. Przecież gdzieś to trzeba zakomunikować. W pozostałej zaś do sporu politycznego. Można mieć – i słusznie – wrażenie, że wizualnie i liczebnie jest przewaga obozu rządzącego,

ale na poziomie sporu politycznego panuje względna równowaga, szczególnie w studyjnych programach wielopartyjnych w TVP Info.

Tylko przed publicystyką w Info są „Wiadomości”, a tam niektóre chwytły przypominają telewizję z czasów PRL. Czy tak musi być?

Trzeba dążyć do ideału. *Nobody's perfect.*

Co to znaczy?

Zobowiązuję swoich dziennikarzy, żeby starali się robić informację maksymalnie rzetelną i obiektywną. Nie zawsze wszystko wychodzi, natomiast zdecydowanie odradzam dziennikarzom TVP, zwłaszcza tym, którzy mogliby mieć takie inklinacje, robienia propagandy. Bo propaganda, która żywi się fikcją, jest oderwana od faktów, prawdy i realiów staje się kontrskuteczną antypropagandą. Nie sądzę, żeby większość naszych odbiorców miała takie poczucie. Wyniki badań sondażowych pokazują, że odbiorcy nie uznają tego za propagandę, tylko za dawkę informacji, która jest komponentem pluralizmu. Dzisiaj ludzie mają wybór. Nie ma żadnego obiektywnego medium. Nie jest obiektywna telewizja Polsat, nie jest obiektywna w szczególności telewizja TVN, nie jest też w pełni obiektywna telewizja publiczna. Obiektywizm powstaje na nieskrępowanym zderzeniu tych propozycji i tych ofert. Całość tworzy balans, w miarę spluralizowaną ofertę. Ludzie muszą tylko dokonywać wyboru. Ideał BBC z lat 60., że jakieś medium może być idealnie obiektywne, w czasach gwałtownych konfliktów politycznych, tożsamościowych, kulturowych, ideowych i cywilizacyjnych jest po prostu nierealny i już nieosiągalny. Ludzie – i to pokazują różne badania – chcą wyboru spośród wyrazistych tożsamości.

Walki?

Raczej konkurencji pewnych realnych emocji, realnych sporów. I mają ją w Polsce dzięki telewizji publicznej, która stanowi przeciwwagę dla tamtych dwóch stacji.

Ciąg dalszy na s. 18 →

→ Ciąg dalszy ze s. 17

Zgadzam się, TVP jest przechylona w kierunku relacjonowania spraw państwowych z pozycji władzy, ale to wynika z kontekstu, jaki wytwarzają telewizje komercyjne. To one tak zbudowały, tak zdefiniowały pluralizm. Żeby on w ogóle istniał, musi być przeciwwaga.

Różnica polega na tym, że telewizje komercyjne nie są zasilane ze środków publicznych. Pana firma jest.

W znikomym stopniu. Telewizja publiczna powinna mieć 2 mld 400 mln z abonamentu. Ma 360 milionów. Czyli TVP ma 15 proc. tego, co powinna, więc możemy mówić o zasilaniu publicznym w minimalnym stopniu. Poza tym pieniądź publiczny z abonamentu jest kontrolowany przez niezależnego regulatora, jakim jest KRRiT, umocowanego w konstytucji, więc nie jest to pieniądź budżetowy zależny od jakiegokolwiek ministra oczekującego w zamian np. pochwał na naszych antenach.

[...]

A jak Pan sobie wyobraża rozwiązanie kwestii dotyczących abonamentu?

Jako prezes spółki prawa handlowego jestem ostatnim upoważnionym do wyrażania się na temat abonamentu. Jednak oczywiście we wszystkich szanujących się krajach Europy takie finansowanie istnieje. W Wielkiej Brytanii czy w Niemczech nikt z tym nie dyskutuje, po prostu płaci się za potencjalność. Za to, że masz prawo korzystania z telewizji publicznych, a nie za to, że korzystasz. Jestem za tym, żeby te rozwiązania były jak najmniej inwazyjne i dawały opozycji jak najmniej okazji do tworzenia jakiegokolwiek frontu przeciwko rządzącym. Są propozycje rozwiązań powiązane z PIT, z CIT, które zdejmują z oczu ludzi tę daninę i zaszywiają ją w rozliczeniach podatkowych. *Out of eye, out of heart*. Jednak moją ambicją jest takie rozwinięcie oferty programowej TVP, aby abonament był przyjmowany jako atrakcyjny ekwiwalent za dostęp do doskonałej telewizji.

A czy nie obawia się Pan, że ludzie rzeczywiście będą zmuszeni do płacenia za samą możliwość oglądania telewizji publicznej, ale nie będą tego robili?

Widownia TVP topnieje. Tutaj dotykamy problemu teleturii. To jest sfera zaprogramowanego zaniedbania. Z powodu tak, a nie inaczej, wyglądającej teleturii setki milionów złotych rocznie transferuje się na zasadzie korzyści nieosiągniętych przez TVP do kieszeni telewizji komercyjnych. Mamy tutaj do czynienia z połączeniem karuzeli VAT-owskiej i rubla transferowego. Karuzela VAT-owska polegała na tym, że przez lata płacono prawdziwe pieniądze z odpisów VAT za fikcyjne transakcje. Tutaj rynek płaci gigantyczne prawdziwe pieniądze od fikcyjnej



FOT. © ISB

oglądalności, zawyżonej w przypadku jednych, zaniżonej w przypadku telewizji publicznej. Do tego dzieje się to za pomocą czegoś, co można przyrównać śmiało do rubla transferowego, czyli fikcyjnej waluty, która oznacza ograbianie jednych i promowanie drugich. Tą walutą jest grupa komercyjna 16-49.

Jak Pan to rozumie?

Grupa komercyjna 16-49 to absurd pod względem logicznym, pod względem ekonomicznym i jest czymś niegodziwym z punktu widzenia moralnego. Dlatego, że cena reklam wyświetlanych i oglądanych przez widzów telewizji publicznej, których olbrzymia większość ma 50 i więcej lat, jest wyceniana na podstawie grupy, która nie ogląda telewizji, czyli 16-49. Krótko mówiąc, ceny reklam dla milionów widzów telewizji publicznej, wyceniane są na podstawie grupki, która telewizji praktycznie w ogóle nie ogląda. Skutek jest taki, że my za tę samą oglądalność tych samych filmów co Polsat czy TVN dostajemy kilkukrotnie mniejsze pieniądze. To oczywiście w połowie jest związane z tym, że nie możemy przerywać filmów reklamami, ale w połowie z wyświęceniem grupy komercyjnej do waluty rozliczeniowej.

Dlaczego jest to nieekonomiczne?

Siła nabywcza, czyli kryterium, które powinno być rozstrzygające, jest w grupie 50+ o wiele większa niż w 16-49. Po pierwsze, przecież to grupa, która dochodzi do szczytów w drabince zawodowej i osiąga najwyższe dochody. Po drugie, dzieci już wówczas są odchowane, zobowiązania popłacone. Po trzecie, wtedy w największym stopniu dokonuje się zakupu dóbr konsumpcyjnych. Po czwarte, transfery socjalne rządu Prawa i Sprawiedliwości, takie jak 500+, uwolniły bardzo dużą część dochodów seniorów, którzy do tej pory wspomagali swoje dzieci, łącząc na wnuki. I argument najbardziej oczy-

wisty – 18 proc. wolumenu reklam stanowią medykamenty, suplementy oraz lekarstwa, którymi przede wszystkim są zainteresowane osoby starsze. Krótko mówiąc, my dostarczamy gigantyczną oglądalność dla producentów medykamentów i dostajemy za to ochłapy, kilka razy mniej niż powinniśmy.

Jaka jest Pana teoria – dlaczego tak się dzieje? Spisek?

To wynika ze zorganizowanego dyktatu domów mediowych i telewizji komercyjnych. Utrzymują monopol badań Nielsena i doprowadzają do systematycznego ograbiania TVP.

Zresztą odbywa się to też kosztem reklamodawców. Ale nawet w badaniach Nielsena TVP średniorocznie zdobywa 30 proc. oglądalności, telewizja Polsat – niecałe 25 proc., TVN – 23 proc. Krótko mówiąc, jest logiczne, że powinniśmy prowadzić, być na czele przychodów reklamowych. Jest dokładnie odwrotnie – jesteśmy na szarym końcu i zarabiamy z reklam komercyjnych połowę tego, co słabsze od nas telewizje.

Jakie Pana zdaniem błędy merytoryczne robi jedna z największych firm badawczych na świecie?

Po pierwsze – oczywiście zbyt mały panel. Jak podaje Nielsen, obejmuje on 2 tys. gospodarstw domowych w Polsce. Z tego nadające się do analizy dane spływają dziennie z około 1 800 gospodarstw, czyli mamy kolejne kilkanaście procent mniej realnych oglądających. To oznacza, że podział 4 mld tortu reklamowego przy 250 polskojęzycznych kanałach, dla znacznej części kanałów telewizyjnych odbywa się na podstawie deklaracji spływających z kilku do kilkunastu gospodarstw domowych. Po drugie, błąd wskazań Nielsena wynika z zastosowania metody substytucyjnej. Czyli firma w jakimś stopniu zrezygnowała z paneli w całym kraju – spodziewam się, że olbrzymia większość panelistów żyje w wielkich miastach, głównie w Warszawie, oraz na ich obrzeżach. Problem polega na tym, że substytucja cech obiektywnych, takich jak wiek czy wykształcenie, może się udać, ale nie pokrywa się z substytucją cech kulturowo-tożsamościowych. Małżeństwa emerytów z Piaseczna nie można zastąpić małżeństwem emerytów ze Świdnika. W Polsce podział polityczny przekłada się na jeszcze silniejszy podział medialny. Metoda substytucyjna i brak cech korelujących z sympatiami politycznymi są głównym źródłem naszego nieporozumienia. Ona się może sprawdzać w wielu spokojniejszych państwach, ale nigdy w krajach o tak silnym podziale plemiennym, jak w Polsce. Nie da się zrobić uczciwej teleturii bez pełnej dyspersji geograficznej panelu.

Narzeką Pan na teleturę od dawna, tylko że jakoś niewiele to zmieniło.

W zeszłym roku zażądaliśmy ujawnienia nam kodów pocztowych panelistów,

nie było żadnego zagrożenia dla ich anonimowości. Odmówiono nam. Przypuszczam, że tych kodów, zamiast 1 500 byłoby ze 150, góra 200. Więc nie ujawniono nam żadnego panelisty, natomiast jeden panelista ujawnił się sam. Swoją setkę dla „Wiadomości” nagrał uczestnik demonstracji Komitetu Obrony Demokracji, „ja jestem od dawna posiadaczem panelu Nielsena i od lutego 2016 specjalnie nie oglądam telewizji publicznej. Specjalnie nie oglądam, tylko jakiś sport, którego nie ma gdzie indziej, to wtedy być może” [prezes Kurski z triumfującą miną odtwarza nagranie – red.]. Czyli człowiek, jedyny do tej pory znany panelista Nielsena, okazał się skrajnym manipulatorem wypaczającym wyniki badania widowni w Polsce. Kolejna sprawa – proszę zerknąć na pierwszą stronę raportu Nielsena: na przykład badanie z 1 863 gospodarstw domowych objęło aż 4 945 widzów, a więc średnio 2,7 osoby na gospodarstwo domowe. Czyli jedna osoba odpowiada średnio za około 7 tys. oglądających telewizję w Polsce. Wystarczy zatem osiem gospodarstw domowych z takimi „aktywistami”, aby zaniżyć oglądalność o około 150 tys. widzów. Mamy do czynienia z czymś skrajnie nieprofesjonalnym. W 2017 roku powinno być stać Polskę na badanie z prawdziwego zdarzenia.

Ale czy są jakieś konkretne plany tego badania z prawdziwego zdarzenia? Żeby tak, jak Pan chce, pokazać prawdziwą siłę TVP?

Z radością odbieram sygnały płynące z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, która z tego, co słyszę, zamierza skorzystać ze swoich prerogatyw dotyczących badania treści i odbioru treści audycji audiowizualnej. Krótko mówiąc, Rada, podobnie jak jej odpowiedniki w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Niemczech czy we Włoszech, powinna być organem koordynującym, autoryzującym i przeprowadzającym autoryzowane przez państwo badanie telemetryczne. Bardzo mnie cieszy, że Rada przymierza się do tej roli. Oczywiście Nielsen może wygrać przetarg na takie badanie, tak jak jakkolwiek inny podmiot, ale byłoby to według nadzoru i pod kuratelą organu, który bierze za to odpowiedzialność. Co do panelu – nie ma bardziej wiarygodnego podmiotu niż Główny Urząd Statystyczny. GUS ma idealną dyspersję geograficzną, po prostu Polskę w pigułce. Nie ma nic prostszego, niż skorzystać z autoryzacji innego organu państwowego, którego apolityczności nikt nie kwestionuje. Wtedy dostaniemy najbardziej prawdziwy obraz oglądalności telewizji w Polsce.

Pełna wersja wywiadu:

www.rp.pl/rozmowyczwartkowe

© Rzeczpospolita

Obiektywizm w wersji TVP

Komentarz Marka Palczewskiego

Długo się zastanawiałem, czy wracać do wywiadu z 19 października i odgrzewać stare kotlety. Wszak o wywiadzie z Jackiem Kurskim, prezesem naszej czcigodnej telewizji publicznej (?) dawno zapomniano. Przeszedł on bez wielkiego echa. A przecież zasługuje na uwagę, bo Jacek Kurski tworzy w nim nowe kanony dziennikarskie. I nie warto ich lekceważyć, bo ciemny dziennikarski lud może je kupić. Nie mówiąc już o publiczności...

Kanon pierwszy. TVP ma prawo być nieobiektywna, bo nieobiektywne są telewizje komercyjne: Polsat i TVN. To taki sam argument, jakby powiedzieć, że można kraść, bo inni kradną. Zresztą, najpierw należałoby udowodnić tezę, że oni kradną.

Kanon drugi. Wyważenie (balans/równowaga) i pluralizm nie powinny być rozliczane na poziomie TVP, „tylko w bilansie wszystkich wiodących mediów elektronicznych w Polsce”. Znowu: jeżeli inni twierdzą, że jest bardzo źle, to ja dla równowagi będę twierdził, że jest bardzo dobrze, i vice versa. Zawsze inaczej niż tamci, bo tamci nie są po naszej stronie. Czy prawda przestaje się liczyć, a liczy się negacja obrazu tworzonego przez stacje komercyjne?

Kanon trzeci. W stacjach komercyjnych mamy do czynienia z nieinformowaniem albo z informowaniem z kontekstem, tezę i z przekazem negatywnym. Oczywiście, „oni” informują w ten sposób o rządzie i PiS. Bo „my” w TVP o opozycji informujemy, oczywiście, bez tezy, bez kontekstu i z przekazem pozytywnym.

Kanon czwarty. TVP pokazuje głównie rządzących, bo przecież rządzący rządzą, a telewizja rządowa jest od tego, żeby pokazywać, jak rządzą. „Dlatego nie można tego czasu liczyć jako ekspozycję i czas antenowy Prawa i Sprawiedliwości”.

Kanon piąty. Wypływa z czterech poprzednich i brzmi: obiektywizm mediów jest nieosiągalny. Zatem, jeśli jest nieosiągalny, to TVP może być (i jest) nieobiektywna. Bo nieobiektywne są inne telewizje, itd. itp. I tak w koło...

W medioznawstwie zasada pełnego obiektywizmu została odrzucona co najmniej 20 lat temu. Nikt już na se-

rio nie mówi o pełnym obiektywizmie i to pojęcie zastępowane jest przez takie pojęcia i zasady, jak: rzetelność, dokładność, uczciwość, kompletność, pluralizm opinii, oddzielenie w informacji faktów od komentarzy, neutralność, a przede wszystkim przez pojęcie bezstronności. A tego przede wszystkim w rządowej telewizji brakuje. Nowa formuła obiektywizmu nie oznacza jednak jego całkowitego odrzucenia, a raczej chodzi w niej o to, by rzetelnie relacjonować rzeczywistość i unikać jednostronności w jej przedstawianiu. Bo rzeczywistość w swej istocie nigdy nie jest jednostronna, lecz jest złożona, skomplikowana, wieloaspektowa i wszechstronna.

Artykuł 21.1. Ustawy o radiofonii i telewizji w punkcie 1. mówi o tym, że „Publiczna radiofonia i telewizja realizuje misję publiczną, oferując, na zasadach określonych w ustawie, całemu społeczeństwu i poszczególnym jego częściom, zróżnicowane programy i inne usługi w zakresie informacji, publicystyki, kultury, rozrywki, edukacji i sportu, cechujące się pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością oraz innowacyjnością, wysoką jakością i integralnością przekazu”. W „Zasadach etyki dziennikarskiej TVP S.A.” czytamy m. in., że „dziennikarz wykazuje należyta dbałość o wyraźne oddzielenie informacji od komentarza i opinii”. Zatem ów pluralizm i obiektywizm, o którym mówi Jacek Kurski ma mieć charakter „wewnętrzny” a nie zewnętrzny, i powinien być realizowany w programach TVP, a zwłaszcza w programach informacyjnych.

Warto jednak wsłuchać się w to, co mówi Jacek Kurski, bo wyznacza on nowe standardy etyczne dla dziennikarzy TVP. Na szczęście, nie muszą się z nim zgadzać i mogą choćby myślą wracać do tych wspólnych, a nie tak odległych czasów, gdy obiektywizm dziennikarski był wartością, której nikt nie negował, choć już wtedy zdawano sobie sprawę, że jest bardziej ideałem niż praktyką. A dziś? Dziś o etyce dziennikarskiej decydują politycy, więc etykę mamy tylko teoretyczną...

MARK PALCZEWSKI

27 października 2017



Piórem Małgorzaty Todd Uzdrawienie służby zdrowia

Patrząc na pracę pewnej młodej lekarki, wpadłam na genialnie prosty sposób uzdrowienia służby zdrowia. Otóż ta młoda lekarka przyjmując chorych, ani razu nie spojrziała nawet na pacjenta, bo i po co? Wszystko, czego potrzebowała, miała przecież na ekranie komputera. Przepisała lekarstwa wcześniej stosowane, nie pytając o ich skuteczność. Wiadomo przecież, że to najważniejsze, na obniżenie cholesterolu jest nieodzowne.

Nie muszę dodawać, że żeby się dostać do tej, albo jakiegokolwiek innej lekarki, trzeba swoje odstać w kolejce. A więc do

rzeczy. Proponuję NFZ wejść w układ z jakąś dużą korporacją farmaceutyczną, dla której będzie to zapewne złoty interes. Trzeba opracować program internetowy, w którym pacjent będzie mógł sam się obsłużyć medycznie. Po odpowiedzeniu na kilka podstawowych pytań, komputer postawi diagnozę i przedstawi receptę, którą wystarczy wydrukować i zrealizować w najbliższej aptece. Pacjent bardziej wymagający może przejść do dalszego etapu. Tam poda wyniki analiz i dostanie lekarstwo o zupełnie innej nazwie. W ten sposób znikną kolejki i młode

lekarki będą mogły wyjechać na zachód, gdzie na pewno znajdą zatrudnienie jako pielęgniarki, pielęgniarki jako salowe i wszyscy będą zadowoleni. Zwłaszcza firmy farmaceutyczne będą tak szczęśliwe, że nawet nie będą musiały angażować Ministra Zdrowia i Marszałka Senatu, żeby się w telewizji szczepili tymi szczepionkami, które jeszcze nie są obowiązkowe.

Miliony uzbierane z comiesięcznego haraczu, jaki wszyscy płacimy, będzie można wydać na jakikolwiek inny zbożny cel. Jaki? Oczekuję propozycji.

Błąd Ropespierre'a

Czy warto jaszczce zastanawiać się, dlaczego zginął dawno temu (28 lipca 1794) jakiś Francuz? Warto, bo z tego samego powodu, 217 lat później (5 sierpnia 2011), zginął Andrzej Lepper. Obaj popełnili ten sam błąd taktyczny. Publicznie oświadczyli, że znają nazwiska łotrów i nie zawahają się ich ujawnić. Łotrów było wielu i nie wiedzieli, o kogo konkretnie chodzi, nie mieli więc innego wyjścia, jak tylko zamordować śmiałka, zanim ten urzeczywistni groźbę. Fakt, że Robespierre sam był łotrem, czego nie można powiedzieć

o Lepperze, nie ma znaczenia. Łajdacy nie znają solidarności.

A propos „Solidarności”, to Kiszczak z Jaruzelskim posłużyli się tą właśnie zasadą psychologiczną w stanie wojennym. Rozpuścili plotkę, że „Solidarność” planuje powieszać wszystkich komunistycznych aparatczyków. To miało mobilizować towarzyszy do walki z kontrewolucją.

Schetyna nie połapał się na czym rzecz polega i usiłuje nastraszyć PiS, że po dojściu do władzy, jego środowisko postawi przed sądem wszystkich obecnie sprawujących władzę. Biedaczek nie ma pojęcia, że to działa i jest skuteczne tylko na łajdaków.

Wniosek stąd taki, że zabójczą wiedzę nie należy się chwalić, tylko ją ujawniać wprost bez zapowiedzi i ogródek. Tu nasuwa się przykład Wojciecha Sumlińskiego, który oskarżył Bronisława Komorowskiego publicznie o wyjątkowe łotrństwo, a ten nabrał wody w usta. Cóż miał „biedny” zrobić? Wolał nie ryzykować procesu, bo a nuż trafiłby na uczciwego sędziego, albo „sędzia na telefon” nie sprostałby zadaniu? Im ciszej, tym dla złoczyńcy lepiej. Zamilczano już niejedno i niejednego.

Dlatego zamiast grozić, lepiej działać szybko i skutecznie. Łapać, mądrze sądzić i surowo karać przestępców wszelkiej maści.

Powieść roku 2018

Prawdziwe malarstwo skończyło się w 1. połowie XX wieku, chociaż jeszcze kilku ładnie maluje, teatr na Mroźku, chociaż jeszcze kilku próbuje coś ciekawego stworzyć, a literatura piękna, chociaż coraz szpetniejsza, ciągle jednak jakaś dziwnie żywa. Na razie nawet Internet jej nie zmógł. Nic zatem dziwnego, że monopol położył na niej twardą łapę.

Empik, bo o nim tu mowa, rozrasta się jak grzyb atomowy po deszczu. Właśnie wymościł sobie nową siedzibę w Arkadii i zaprasza autorów na promocje jedynie słusznych książek. Znalazłam się tam przez

przypadek i przysiadłam, żeby posłuchać, co autor tomiku opowiadań ma do powiedzenia. Był wygadany i wytatuowany. Tatu- aże świadczą oczywiście o nowoczesności, ale czy to jedyny powód wystarczający, żeby być promowanym przez Empik?

Opowiadania dotyczyły USA. W stanie wojennym też wydano wspomnienia pewnej aktorki o tym, jak to się jej Stany Zjednoczone nie podobały. Jasne, gdyby się podobały, to książka by się nigdy nie ukazała. Obecny autor chwalił Amerykanów. Zastanawiałam się, co jest grane? Okazało się, że to była tylko taka przygrywka, żeby rozprawić się z tymi paskudnymi, białymi chrześcijanami,

k którzy „biją murzynów”. I wszystko stało się jasne. Taka powtórka z rozrywki. Nie od dziś wiadomo, że lewactwo obsiadło też kulturę i decyduje o tym, co ma się nam podobać, a co nie.

Czas na dobrą zmianę również w kulturze. Proponuję zacząć od poważnego konkursu na dobrą powieść. Mamy mnóstwo utalentowanych pisarzy. Wiem co mówię, bo organizowałam konkurs na opowiadanie kryminalne. Zaczniemy wreszcie wydawać i promować wartościowe powieści polskich autorów dlatego, że są dobre, a nie dlatego, że opisują słodkie związki normalnych podobno zбочeńców. Napiszcie, co sądzicie o takim konkursie.

Wywiady z Panem X O zamianie ról

Meg: Powiadają, że za darmo piszą tylko grafomani.

Pan X: Odłożyłbym takie stwierdzenie do lamusa.

Meg: Dlaczego?

Pan X: Zna pani takie powiedzenie: wszyscy mówią i nikt nie słucha?

Meg: Stara prawda.

Pan X: A czy wie pani kto dokonał tego wiekopomnego odkrycia?

Meg: Jakiś polityk? Dziennikarz?

Pan X: Autor jednej z pierwszych książek o alkoholizmie jako przejawie arcyzmu.

Meg: Zacytowane przez pana stwierdzenie nie jest pozbawione sensu.

Pan X: Więcej, nabiera ekspansji. W do-

bie Internetu wszyscy piszą i nikt nie czyta. Wszyscy próbują coś sprzedać i nikt niczego nie chce kupić.

Meg: A jak to się ma do poglądu, że za darmo piszą tylko grafomani?

Pan X: Nadchodzi era, kiedy to czytelnikowi trzeba będzie zapłacić, żeby zechciał coś przeczytać.

MAŁGORZATA TODD

Wolne niedziele? Wolne żarty!

Co chwila powraca na społeczną wokandę sprawa handlu w niedziele. Angażuje się w to „Solidarność”, coś tam czasem bąknie Kościół, część prawicowych polityków też dołoży swoje, powołując się na rodzinę, prawo do wypoczynku, czasem na „święcenie dnia świętego”, czyli na trzecie przykazanie.

Każdy, kto odwiedzi choćby raz wielkie centrum komercji w Dzień Pański, musi uczciwie przyznać, że tam właśnie w weekendy, a szczególnie w niedziele, tłumy są nieprzebrane.

To złośliwość? Religijne zaprzaństwo? A może tzw. owczy pęd, czyli w większości zwykła głupota?

Nie wydaje się, by te odpowiedzi wy-czerpywały sprawę. Przyczyny są złożone.

Polacy podobno pracują najdłużej w Europie. Kiedyś więc muszą uzupełnić zapasy w lodówkach, łazienkach, barkach, bielizniarkach. Ale i to nie wydaje się przyczyną najważniejszą masowych inwazji na różne hipermarkety i wielkie centra handlowe, choć zupełnie odrzucić tego nie sposób. Stokroć ważniejsze są przyczyny natury socjologiczno-kulturowej. Gdy się człowiek powłóczy trochę po tych gigantycznych eleganckich przestrzeniach, musi zauważyć, że zapełniający je ludzie są uśmiechnięci, szczęśliwi, zadowoleni. Oni tu są, bo lubią!

A dlaczego lubią?

Bo tam znajdują wszystko, co im w danej chwili potrzebne jest do szczęścia. I by te potrzeby zaspokoić, mają właśnie czas... w niedzielę.

To powód jeden. Ale są i inne.

Polska to kraj, który od 1945 roku tkwił przez pół wieku w socjalistycznym dziadostwie. Dziadowskie były sklepy, dziadowskie wnętrza, dziadowskie zaopatrzenie, dziadowska obsługa i oferta, dziadowskie wreszcie były... zarobki. O tym ostatnim za chwilę, tymczasem pomówmy o owym dziadostwie. Przygęci do ziemi przyzwyczailiśmy się, że prawdopodobnie tak będzie zawsze (Polska Gomułkowska), chwile poprawy (Polska Gierkowska) były krótkie, po nich spadało się na jeszcze głębsze dno (Polska Jaruzelska).

I oto stał się cud! Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nowoczesne, piękne, klimatyzowane i napchane wszelkimi luksusowymi dobrami świątynie Jej Wysokości Komercji. Kogóż w tym momencie obchodziło, że to kolonizacja, że to kapitali-

styczni cwaniacy zwąchali dobre interesy (sami wcześniej przygotowując pod nie grunt polityczny!) i teraz rujną rodzimy handel, rodzimą przedsiębiorczość, rodzimą wytwórczość... Polak bardzo chętnie uczestniczy w marszach patriotycznych, w wiecach, czyli we wszystkim, co nie wymaga ani większego osobistego zaangażowania, ani głębszego pomyślniku. Polak jest patriotą głównie w gębie i dopiero jak mu rzeczywiste zagrożenie zajrzy w oczy – idzie na barykady. To znaczy kiedyś szedł – bo dziś idzie... do Carrefoura, Auchana, Lidla etc. Blisko 30 lat „demokracji” à la „Gazeta Wyborcza” wychowało nowego Polaka, właśnie takiego, dla którego interes wspólny to hipostaza, liczy się to, co moje. Dzień święty? No... Wigilia... Wielkanoc... święconka, Pasterka, kolędy... Ale żeby niedziela?! W kościele byłem, dług Zbawicielowi spłaciłem, obowiązek wypełniłem – to reszta należy do mnie!

I jest też sprawa prestiżu. Rodzinka wali do hipermarketu, napakuje wózek albo dwa dobrami wszelakimi i dumna jak paw kroczy przez przestronne, oświetlone i klimatyzowane korytarze na podziemny parking albo do jakiegoś państwa. Gdzie oferta kulinarna z całego świata. Co – nie stać nas?

Instalatorzy tej wyzyskiwawczej infrastruktury handlowo-usługowej głupi nie są i wiedzą, czego człowiekowi potrzeba. Mamy więc w hipermarketach i knajpy, i puby, i kafejki; jest gdzie odpocząć po wysiłku zapełniania wózków, jest gdzie się posilić, spotkać ze znajomymi. Tym bardziej, że normalne barki, kafejki i knajpki pozniwały z pejzażu naszych miast, wyparte przez jakieś upiorne coffee-pointy, coffee-haeveny, biura maklerskie, banki, kebabiarnie, subwaye etc. etc.

I wreszcie pieniądze... W socjalizmie jeżeli nawet ktoś je miał, nie bardzo miał co z nimi zrobić. Dla grubszych portfeli był oczywiście PEWEX, była Baltona i drogie knajpy kilku doprawdy luksusowych hoteli. Tzw. Polak-szarak jeżeli nawet coś tam uciułał, nie bardzo wiedział, na co te uciułane grosze wydać. Najprościej było je po prostu przepić, bo inwestować nie było w co, o jakichś dobrach luksusowych można było pomarzyć.

A dziś – proszę bardzo! Kupuj, Polaku, czego dusza zapagnie! I Polak poczuł siłę własnych pieniędzy. Rośnie więc kon-

sumpcja, ludy i półki „markietów” pełne są dóbr niewyobrażalnych – lososi, krewetki, ośmiorniczki, whisky najwyższej klasy, cygar, serów prosto z Francji czy Szwajcarii, markowych win z całego świata... O galanterii i kosmetykach renomowanych marek nawet mówić nie warto – wystarczy przekroczyć „bramki” byle centrum handlowego.

Więc Polak czuje się nareszcie wolny! Pani Komercja sprawiła, że wolność ma nareszcie smak nie sloganów propagandowych, a realnej codzienności.

I teraz tę wolność ktoś chce Polakowi zabrać? O nie! W życiu!

Lepiej więc, żeby naiwniacy dali sobie spokój z zamykaniem Świątyni Komercji. Może z tego być jedynie zadyma. A PiS ma takie fajne wyniki w sondażach...

Czy to znaczy, że należy się na to go-dzić? W żadnym wypadku. Ale trzeba to robić mądrze.

Najważniejsza jest rola Kościoła. On musi porzucić asekuranckie siedzenie cichutko i wypuszczanie od czasu do czasu jakiegoś apelu, listu czy komunikatu. Potrzebna jest dobrze przygotowana akcja ewangelizacyjna, wyjaśniająca, co to znaczy: „święcić dzień święty”. Trzeba wskazać najgłębszy sens słów Stworzyciela o tym, co to znaczy niedziela, czyli dzień wypoczynku.

Niemalą rolę mają w tej sprawie do spełnienia media, oczywiście tylko „nasze”, na wsparcie mediów „okupacyjnych” nie ma co liczyć. Te media muszą w atrakcyjny sposób pokazywać alternatywę dla niedzieli w hipermarkecie. Zaś samorządy i instytucje kultury *sensu largo* powinny się w te działania włączyć z atrakcyjnymi ofertami.

Nie ma co ludzię nadziejami na szybki sukces ani podejmować gwałtownych ruchów, co nie znaczy, by polityka i legislacja pozostawały bierne. Ale to powinno się dokonywać metodą może nie drobnych, ale małych kroków. Ot, na przykład wszystko jest pozamykane w pierwszą (czy ostatnią – do wyboru) niedzielę. Potem postępuje się powoli naprzód. Na Zachodzie, w głównych krajach, w niedzielę nie ma handlu. Ale to inne społeczeństwa, inni ludzie, inne warunki i możliwości. My może też do tego dojdziemy. Ale pomału, bo Polak nie lubi, jak mu się odbiera wolność, choćby ta wolność była tylko gębą wolności prawdziwej.

WOJCIECH P. KWIATEK

Piórem Jerzego Jachowicza Coraz trudniejsze życie mainstreamowych mediów



Od dawna jestem przeciwnikiem zapraszania do mediów, a głównie do telewizji, ekspertów i fachowców z różnych specjalizacji i branż – ekonomicznej, finansowej, ochrony zdrowia, edukacji, dbania o przyrodę, hodowli zwierząt, fryzjerstwa damskiego i męskiego, rybołówstwa morskiego itd., itd. Jak wiemy, telewizja ma największą siłę oddziaływania na odbiorców. Rzecz polega na tym, że jeśli na antenie telewizyjnej czy radiowej ktoś bliżej interesujący się jakąś dziedziną, ale amatorsko, wypowiada swoje opinie, dziennikarz ma o wiele większe pole manewru. Może podjąć rzuconą rękawicę. Zacząć polemizować z błędnymi ocenami swoich gości, prostować je. W przypadku oczywistych bredni, nawet lekko, ale z elegancją i zgodnie z dobrym smakiem, wykpiwać. O wiele trudniej przeciwstawić się ekspertowi. Skąd jednak ich zagrożenie, o którym wspominałem. Bo ludzie im ślepo wierzą. To raz. A dwa, że oni sami są niereformowalni. To nie mój język, żeby mówić „zakute pały”. Wolę raczej – dogmaty. Co

najwyżej – zaślepieni. Faktem jednak jest, że jak sobie wbijają coś do głowy, odrzucają wszelkie rozsądne argumenty, które mogą podważyć ich przekonania.

Nie ma więc z nich żadnego pożytku. Blokują poglądy, jakie zamierza propagować dziennikarz, upowszechniać je. Nie po to pracuje w mediach, żeby w sposób mechaniczny powielać to, co każdy widzi. Rola dziennikarza polega na twórczym kształtowaniu opinii publicznej zgodnej z wytycznymi, jakie dostaje od swoich przełożonych. Nie przesadzajmy, że musi je otrzymywać wykaligrafowane na kredowym papierze, albo e-mailową pocztą. Inteligencja użytkownika dziennikarza wychwytuje intencje swoich przełożonych. Nikt nie musi wyklądać mu linii politycznej redakcji czy też opowiadać o sympatiach politycznych jej kierownictwa. Dziennikarz chwytta takie rzeczy nozdrzami. I stara się rzetelnie robić to, za co bierze pieniądze. Lekko duchy, poszukujący prawdy winni szukać sobie miejsca w innych zawodach.

Nie dawno widziałem rasowego, zaangażowanego dziennikarza w akcji w roz-

mowie z wybitnym specjalistą zoologii, profesorem jednego z uniwersytetów. Typowym doktrynerem.

– Czy zauważył pan, że nasze krowy są jakieś mniejsze i dają coraz mniej mleka – rzucił dziennikarz.

– Nie sądzę. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z procesem odwrotnym. Polskie krowy przybierają wielkość kanadyjskich olbrzymów. Dlatego właśnie nasze krowy zaczynają być towarem eksportowym do innych krajów w Europie.

– No, ale kozy. Jakież takie rachityczne...

– Gdzie pan takie widział? Jest akurat przeciwnie. Chcę powiedzieć, że wieś Kozy na Śląsku jest najbardziej rozwijającą się gminą w Polsce. A w ogóle Polska przoduje w hodowli kóz.

– No dobrze, ale podobno ten rząd może doprowadzić do upadku pastwisk dla kóz... – nie dawał za wygraną dziennikarz.

– Panie Jarku, niech pan będzie spokojny. Nie zabraknie dla pana mleka, masła i serów. Mamy jeszcze owce. A pan je pominął. Czyżby pan o nich zapomniał?

Czasami arogancja zaproszonych ekspertów jest niesmaczna.



Piórem Stefana Truszczyńskiego ...najpierw na szczurach

Już Marksowi i Engelsowi wypomniano: czemuście najpierw nie eksperymentowali na szczurach. Nasi mądrale mogliby spróbować przynajmniej na myszach. Balcerowicz i spółka zniszczyli prawie sześć tysięcy zakładów przemysłowych i zmusili do emigracji za chlebem trzy (albo i więcej) miliony ludzi. „Ekonomistom” i decyzyjnym kalejdoskopowym rządów nie nikt za to nie zrobił. Eksperymentowanie na żywym ciele społeczeństwa trwa nadal.

Wśród wymedalowanych są i naukowcy. Bardzo narzekają na swój los. Nie ma wysypu naukowych ocen tego, co się stało, choć to już ćwierć wieku minęło. Bardzo nieliczni odważają się porwać na większe syntezę. Utytułowani wolą pisać drobniejsze – analizy, porady.

Słyszę teraz, że i dziennikarzom chcą doradzać. W ciągu wieloletniej działalności w SDP kilkakrotnie zetknąłem się już z podobnymi ofertami. Niestety nawet Stowarzyszenie poddawało się tym pokusom i wywalowało w błoto spore pieniądze. Pamiętam sprawę przygotowywania projektu Prawa prasowego. Jeden z tuzów naukowych w tym temacie zażądał 60 tysięcy. W końcu powierzyliśmy (za 1,5 tys. złotych) zadanie „młodej sile”. Projekt jest moim zdaniem dobry i aktualny. Mógłby zostać ponownie rozpatrzone.

Teraz. Bo przed 10. laty uznany został za zbyt radykalny. Może teraz SDP-owska społeczność inaczej na to spojrzy.

Istniała też przez lata – i obumarła naturalną śmiercią – doradcza rada naukowo-polityczna przy Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Było jak było. Myślę, że wystarczy gdy przytoczę nazwiska tych, którzy tam działali. Otóż m. in. byli to panie i panowie – Julia Pitera, Iwona Śledzińska-Katarasińska, Andrzej Rzepliński, Henryk Wujec... Wielu z doradzających nam już nie żyje. I jako – świętej pamięci, niemogących odpowiedzieć na krytykę – nie będę ich tu wymieniał. Tak czy owak była to działalność służąca jedynie popularyzacji uczestników comiesięcznych spotkań na Foksal. Zresztą, jak się okazało, niektórym to najwyraźniej pomogło w karierze.

Teraz znowu słyszę o zakusach na przyciągnięcie (oczywiście za pieniądze nasze i to nie małe) naukowców. Wara. Mamy obowiązek zajmować się sprawami dziennikarzy i wolności prasy. Dobrze, wiadomo jak to trzeba robić. I róbmy to sami – mozołnie i na co dzień kontrolując i wydając niezależne polityczne opinie. Najważniejsze jest by była wola walczenia o wolność prasy, czyli możliwość wyrażania niezależnych opinii w mediach pub-

licznych. Nie mogą one być państwowe, rozumiane jako rządowe. Przeciwstawianie ich tendencyjnym mediom prywatnym jest nieuprawnione. Ponieważ media prywatne występują zarówno po lewej, „liberalnej” (czy jak tam ich jednostronnej polityki programowej nie określać), jak i po prawej stronie (niech Pan Bóg ma ich w opiece) – mogą mieć własne oceny rzeczywistości. Oczywiście one również łączyć w żywe oczy nie powinny.

Naukowcy są nam tak samo potrzebni jak drugi kutas u szlacheckiej szabli. Liczni zasłużeni i bardzo dobrzy zawodowo dziennikarze żyją dziś w nędzy. Wielu młodych bardzo chce, widać że potrafi, pracować w wymarzonej i wyuczonym zawodzie – a są niestety skandalicznie wykorzystywani przez pracodawców: „nie podoba się – to won”. Jest więc na kogo wydawać pieniądze. Jeśli chodzi o naukowe ambicje – należy zaspokajać je na uczelni. Namnożyło się ich sporo. Podobnie jak i ministrów tego resortu, nad którego losem od kilku już lat można tylko *lać słozę*.

Społeczne pieniądze wydaje się łatwo. Niektórzy dziennikarze też wrzeszczą na to z oburzeniem. Ważne, by sami tego nie czynili. W każdym razie – my w SDP – możemy u nas temu zapobiec.

PISF i PiS czyli Dyrektor i Minister

Magdalena Sroka, była już dyrektorem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, w informacji umieszczonej na jednym z portali społecznościowych tak m. in. pisze o swoim odwołaniu: „Zawłaszczanie przez polityków niezależnych instytucji kultury, które zapewniają twórcom pluralizm i wolność wypowiedzi, może w mojej ocenie prowadzić do ograniczania swobód obywatelskich”.

Na stronach internetowych PISF, w dziale „Instytut” – „Informacje Prawne”, można znaleźć link do ustawy sejmowej dotyczącej m. in. PISF pt. Ustawa z dnia 30 czerwca 2005 r. o kinematografii. W rozdziale 2 wspomnianej Ustawy wymienione są zadania i obowiązki Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, np. w artykule 10 stwierdza się w punkcie 1: „Nadzór nad działalnością Instytutu sprawuje minister”, a w punkcie 2 artykułu 8: „Instytut, w zakresie realizacji zadań, o których mowa w ust. 1, współpracuje z organami administracji rządowej i jednostkami samorządu terytorialnego”. Magdalena Sroka pisze coś o „zawłaszczaniu przez polityków” PISF, w sytuacji kiedy jak widać Polski Instytut Sztuki Filmowej został utworzony uchwałą Sejmową – czyli przez wspomnianych „polityków”; ma w swoich zadaniach współpracę z rządem i samorządami – czyli znowu „politykami”; a nadzór nad działalnością Instytutu ustawowo sprawuje minister kultury – czyli ponownie „polityk”. Można by w takim razie zapytać, czy była dyrektor Sroka nie wiedziała, w jakiej instytucji pracuje?

Tym bardziej, że w punkcie 1 art. 8 Ustawy, dotyczącej Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, wyraźnie zostały opisane zadania PISF: „Instytut realizuje zadania z zakresu polityki państwa w dziedzinie kinematografii”. Także środki na działalność PISF nie pochodziły z prywatnej kieszeni pani Sroki, tylko z wymienionych ww. Ustawie środków państwowo-publicznych, m. in. z przymusowego opłaty-podatku, ściągane od dystrybutorów kinowych i nadawców medialnych – czyli ponownie, bezpośrednio przez budżet lub pośrednio przez regulacje prawne, środków pochodzących od wspomnianych „polityków”.

Dalej Magdalena Sroka opisuje okoliczności swojego odwołania: „Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego twierdzi, że odwołuje mnie z powodu listu do senatora Christophera J. Dodda. Pod listem w istocie widnieje mój podpis, a zatem wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność zarówno za jego treść, jak i fakt doręczenia do adresata. Jednak list został wysłany w maju, był skierowany wyłącznie do senatora, który kilka dni po jego otrzymaniu otrzymał ode mnie przeprosiny wraz z informacją, że zawarte w liście treści nie są oficjalnym stanowiskiem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, uzupełnioną o opis sytuacji, w jakiej doszło do przesłania mu takiej korespondencji”.

Tutaj znowu warto zajrzeć do artykułu 14 Ustawy o kinematografii, gdzie opisana jest procedura ewentualnego odwołania dyrektora PISF przez nadzorującego prace Instytutu ministra kultury: „Minister może odwołać Dyrektora, po zasięgnięciu opinii Rady, przed upływem kadencji w przypadku: 1) działania z naruszeniem prawa”.

We wspomnianym liście do Christophera J. Dodda – liście napisanym do tego koślawym i niegramatycznym angielskim, ale to już osobny przyczynek do rzekomej „europejskości” i „postępowości” naszych liberalnych „elit intelektualnych” – są odniesienia do obecnej sytuacji w Polsce w rodzaju przestróg przed rzekomym „kse-nofobicznym nacjonalizmem schowanym w cieniu posągu Chrystusa”, czy też – jak przyznał Jacek Bromski, szef Rady Programowej PISF – „zawarto tam również aluzje do cenzury w Polsce”. Stąd tłumaczenia M. Sroki o „przeprosinach” wysłanych do Christophera J. Dodda za wspomniany list, który jest de facto donosem na Polskę, są absurdalne, gdyż przeprosiny za ten rodzaj kuriozalnego donosu powinny być skierowane do nas, Polaków, i do naszego kraju – Polski.

Minister kultury, odwołując dyrektora PISF, wykonuje swoje ustawowe obowiąz-

ki, gdyż według Ustawy o kinematografii, reprezentuje nas i nasze państwo: „Państwo sprawuje mecenat nad działalnością w dziedzinie kinematografii, jako części kultury narodowej, polegający w szczególności na wspieraniu produkcji i promocji filmu, upowszechnianiu kultury filmowej oraz ochronie dziedzictwa kulturalnego w dziedzinie filmu” (art. 3.1.).

Czy znaczy to, że Magdalena Sroka nie znała podstawowego prawa – Ustawy o kinematografii, i wynikających z niego obowiązków i zadań instytucji, na czele której stała: instytucji państwowej, utworzonej z publicznych środków i mającej służyć nam wszystkim? Czy też może sądziła, że dostała w wyłączne posiadanie jakieś prywatne latyfundium, osobne królestwo, gdzie może robić wszystko, co jej się podoba? I czy rzeczywiście, jak pisze, PISF „uczył różnorodności i tolerancji”, czy też raczej nietolerancyjnie, niedemokratycznie i stronnico promował swoimi decyzjami finansowymi i administracyjnymi tylko jedną, liberalną stronę polskiego dyskursu publicznego, społecznego i politycznego, blokując inne środowiska i opcje światopoglądowe czy polityczne?

Sądzę, że to temat na osobną analizę, a może i na szerszą publiczną debatę.

MICHAŁ ORZECHOWSKI

Dyrektor Magdalena Sroka (druga z prawej) podczas gali wręczenia 10. Nagród PISF w ramach 42. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, 19 IX 2017 FOT. © MARGIN KULAKOWSKI / PISF





FOT. ©ŁUKASZ SADLAK / PRO

Kinga Grabowska – nie boję się pytać

Andrzej Zb. Brzozowski: Czy lubisz dostawać nagrody za swoją pracę?

Kinga Grabowska: (śmiech) Chyba każdy cieszy się jak jest nagradzany. Nie wykonuję jednak swojej pracy po to, żeby zdobywać nagrody. Robię to dla własnej satysfakcji, żeby pomagać innym, mówić o ich problemach, starać się im pomóc. Takimi sprawami najczęściej się zajmuję. Uwielbiam rozmowy z ludźmi. Kiedy słyszę od swojego rozmówcy, że dobrze się ze mną rozmawia, że była to miła a nawet fascynująca rozmowa (bo z takimi komentarzami też się spotkałam), to już jest dla mnie wystarczająca nagroda.

Wyróżnienie w Konkursie im. Seweryna Piętnego to Twoja pierwsza nagroda?

Tak, to moja pierwsza nagroda za dokonania dziennikarskie. Było to dla mnie bardzo duże zaskoczenie, chociaż to nie było wyróżnienie tylko dla mnie. Dostali-

śmy je razem z moim redakcyjnym kolegą Wojtkiem Chromym. Nagroda cieszy tym bardziej, że przyznali ją fachowcy, koledzy dziennikarze. To bardzo miłe, kiedy docenia takie grono.

Lepiej Ci się pracuje solo, w duecie, jakiejś większej grupie, czy nie ma to dla Ciebie żadnego znaczenia?

Pracę radiowca wyróżnia to, że jest to najczęściej praca w pojedynkę. Wymyśla się tematy, wyjeżdża w teren, samemu buduje historię, montuje i na końcu jest odbiorca. Lubię pracować sama, ale współpracę z Wojtkiem cenię szczególnie. Zwłaszcza w cyklu „Śliska sprawa”. Kiedy zajmujemy się trudnymi tematami, spotykamy się z ludźmi, jesteśmy inaczej odbierani, jako załoga. Co ważne pracując w duecie uzupełniamy się z Wojtkiem w pewnych elementach, co powoduje, że cenimy sobie tę współpracę. Liczę, że ta będzie jeszcze trwała przez wiele lat.

Dlaczego ludzie otwierają się przed dziennikarzami i zwierają ze swoich osobistych problemów wiedząc, że to będzie udostępnione publicznie?

Tu nie ma jednoznacznej odpowiedzi. To kwestia poruszanych tematów, wybadania rozmówcy, wrażliwości i profesjonalizmu dziennikarza. Trzeba umiejętnie wprowadzić odpowiednią atmosferę, zdobyć zaufanie tych osób.

W swojej poniedziałkowej audycji „Porozmawiajmy o życiu” (nadawanej po godzinie 22) poruszam tematy dotyczące właśnie trudów życia, patologii, wykluczeń, przemocy w rodzinie, czyli rozmawiam o tym wszystkim co boli. Ludzie chcą o tym mówić, ale bardzo często nie mają komu się zwierzyć i wyzalić. Nie są to typowe wywiady, tylko luźna rozmowa. Bez stworzenia odpowiedniego klimatu rozmowy by się to nie udało. Nikt nikogo nie ciągnie za język.

Audycja na antenie Radia Olsztyn emitowana jest od kilku miesięcy, ale już teraz śmiało mogę powiedzieć, że przez jej realizację pomagamy innym, nie tylko tym, którzy mają kłopoty, ale też uczulamy społeczeństwo na problemy innych. Otwieramy niektórym oczy na to, co się wokół nas dzieje.

Czym są dla Ciebie trudne tematy?

Trudnym tematem może dziś być wszystko. Według mnie trudnym tematem jest to, o czym się niewiele mówi w ciągu dnia. Dlatego między innymi w mojej audycji rozmawiamy o tym po godzinie 22. Trudne tematy dotyczą ludzkiego życia. Często nie chcemy dzielić się tym, co nas bezpośrednio dotyczy. Słyszymy płacz za ścianą, czy krzyki po sąsiedztwie, ale na klatce schodowej nie zapytamy się sąsiadki, czy coś się dzieje. Nikogo nie interesuje geneza takiego zjawiska. Dlaczego matka nie zgłasza przemoc na policji, dlaczego oddaje swoje dziecko. Uważamy to właśnie za trudny temat, z którym nie chcemy mieć nic wspólnego. Najłatwiej jest oceniać, przyklejać łatki. Staram się przełamywać takie podejście. Chcę uczulać ludzi, że na każdy temat warto rozmawiać. Jeżeli nie zaczniemy rozmowy, to nie znajdziemy rozwiązania problemu. A jest tego wokół nas bardzo dużo.

Jak była najtrudniejsza sprawa, dziennikarska interwencja, którą udało Ci się pozytywnie załatwić i uważasz to za swój dziennikarski sukces?

Wiele było takich spraw. W pamięci mam ostatnią, z pozytywnym zakończeniem. Robiliśmy kiedyś z Wojtkiem Chromym taki materiał o wielodzietnej rodzinie koło Korsza. Trójka dzieci, w tym jedno niepełnosprawne. Mieszkanie zagrzybione, mała kłitka, bez łazienki. Przez kilka lat ludzie walczyli o to, aby burmistrz dał im jakiś nowy lokal. W odpowiedzi słyszeli, że mogą iść na stację. Lokalne władze nie widziały takich potrzeb.

Byliśmy tam z Wojtkiem kilka razy, monitorując samorząd i różne instytucje. Niedawno dostaliśmy informację, że ta rodzina dostała wreszcie lokal nadający się do mieszkania. Temat trudny, bo nie jest łatwo wymusić na samorządzie konkretnych działań. Poprzez liczne rozmowy udało nam się jednak złamać urzędnicze, szablonowe podejście. Kiedy teraz dzwonił do burmistrza w innych sprawach, zaczyna rozmowę od tego, że ten temat jest już załatwiony.

Nie zabierasz problemów swoich rozmówców do domu?

Staram się tego nie robić. Choć nie jest to łatwa sprawa. Nasza praca wyma-

ga od nas ciągłego szukania tematów, pilotowania spraw, które podjęliśmy. Trudno jest w ten sposób działać. Staram się jednak oddzielać pracę zawodową od życia rodzinnego. To, co się dzieje w moim życiu zawodowym, zostawiam na Radiowej (nazwa ulicy, przy której mieści się olsztyńska rozgłośnia). Mam trójkę dzieci, męża, psa, chomika i nie mam czasu na zabieranie problemów ludzi ze sobą. W domu mam czas dla rodziny. To, co dzieje się w pracy – zostawiam w pracy, a to, co się dzieje w domu – zostaje w domu. Nie łączę tych dwóch światów. To są dwie różne Kingi Grabowskie.

Kiedy odkryłaś w sobie dziennikarską żyłkę?

Zawsze byłem osobą, która lubiła dużo mówić i lubiłam słuchać. Nie wyobrażałam sobie na początku, dziennikarstwa w takiej formie, jak dzisiaj funkcjonuję w tym zawodzie. Dla młodej osoby, dziennikarz bardziej kojarzył się z celebrytą, gwiazdą telewizyjną. Kiedy dostałam się już do radia i przechodziłam kolejne szczeble zawodowego wtajemniczenia, zdobywania warsztatu, przekonałam się, że to jest to, co lubię robić.

Czy zdarzyły się takie sytuacje, że marzyłaś o innym zawodzie?

Ja cały czas marzę o innym zawodzie (śmiech). Bardzo lubię gotować. Czy gotuję dobrze? Trudno jest mi samej to ocenić. Przy każdej nadarzającej się okazji (imieniny, urodziny, święta itp.) siedzę w garach. Sprawia mi to dużą przyjemność. Mam gdzieś w głowie taką myśl, że może kiedyś w przyszłości zajęłabym się tym profesjonalnie, ale dzisiaj radio jest moim życiem i daje mi bardzo dużo siły wewnętrznej.

Co jest najbardziej interesującego w zawodzie dziennikarza radiowca?

To, że my pracujemy głosem. To jest podobne do teatru, ale przed mikrofonem nikt nas nie widzi. W telewizji jest tak, że ktoś cię zobaczy i wizualnie może cię zaakceptować. Tutaj ktoś cię słyszy i albo ten głos mu pasuje, albo nie. Trzeba tak pracować głosem, żeby to całe nasze działanie było skuteczne. Myślę, że to mi się udaje, ale ocenę pozostawiam naszym słuchaczom.

Gdybyś miała jednym zdaniem określić zawód dziennikarza, to jak by ono brzmiało?

To tak się nie da w jednym zdaniu. Dziennikarz jest to osoba, która wykonuje ogromną, trudną, skomplikowaną i odpowiedzialną pracę, z której niektórzy ludzie nie zdają sobie sprawy. Kiedyś próbowałam swoim dzieciom (2, 6 i 8 lat)

wytłumaczyć, czym zajmuje się ich mama. Powiedziałam im, że mama jest od tego, żeby informować, żeby ostrzec ludzi przed niebezpieczeństwem. Zapytały mnie wtedy, a gdyby stało się coś strasznego, np. wojna, pożar i gdybym tam poszła, to mogłoby mi się coś złego przydarzyć. Powiedziałam im oczywiście, że mi nigdy nic złego się nie stanie, ale taka jest specyfika mojej pracy. Jestem od tego, żeby informować ludzi, nawet wtedy, kiedy takie zagrożenia występują.

Misja, praca dla idei to tylko frazesy, puste słowa?

Na pewno nie. To też jest kwestia tego, czym się zajmujemy. Ja jestem dziennikarzem, który się zajmuje sprawami społecznymi. Tutaj widzę właśnie tę misję i edukację. Z perspektywy lat, które spędziłam w radiu i z perspektywy tego, kim dzisiaj jestem, matką swoich dzieci, staram się być osobą odpowiedzialną przed wszystkimi, którzy mnie słuchają. Więc to nie są puste słowa.

Podobno poza pracą zawodową dużo działasz społecznie, w czym to się przejawia?

Działam w radzie osiedla Zatorze. Złapałam tego bakcyła. Pomaga mi w tym dziennikarskie doświadczenie. Nie boję się pytać i nie ma dla mnie problemów, których nie można rozwiązać. Współpracujemy z wieloma instytucjami i organizacjami. Organizujemy zajęcia kulturalne, szereg różnego rodzaju warsztatów dla dorosłych i dla dzieci. Robimy kursy samoobrony wspólnie ze Strażą Miejską. Darmowe zajęcia aerobiku dla kobiet. Chodzi o to, aby wyciągać ludzi z domu i pokazywać, że jest takie miejsce, gdzie może się coś dziać.

Jest taka opinia, że Zatorze to takie niebezpieczne, patologiczne osiedle. Trzeba tak działać, żeby integrować społeczność, a nie ją dzielić na lepszych i gorszych. Naprawdę dużo się dzieje. Daje mi to też sporo satysfakcji.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOWSKI

Kinga Grabowska – dziennikarka Polskiego Radia Olsztyn od 2004 roku. Specjalizuje się w tzw. trudnych tematach. Na zadane pytania zawsze zdobywa odpowiedzi. Tegoroczna laureatka honorowego wyróżnienia w Konkursie SDP im. Seweryna Pieniężnego (wspólnie z Wojciechem Chromym) za programy interwencyjne. Należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Prywatnie szczęśliwa mama trójki dzieci, która poza pracą zawodową realizuje się działając społecznie.

Opuszczone miejsca



Dawna siedziba gdańskiej TVP



FOT. © PAWEŁ KRAMARZEWSKI

Z dziejów Gdańskiego Ośrodka TVP przy ul. Sobótki

6 marca 1959 roku otwarto Gdański Ośrodek Telewizyjny we Wrzeszczu, w zabytkowym budynku restauracji Zinglershöhe, przy ul. Sobótki 15. Rozpoczął on systematyczną retransmisję programu z Warszawy poprzez naziemne stacje przekąźnikowe.

Techniczny rozwój Ośrodka w latach 1967-1968 obejmował m. in. otwarcie przy ul. Sobótki studia o powierzchni 135 m kw., studia spikerskiego o powierzchni 6 m kw., pozyskanie 4 kamer typu super Ortikon, wozu transmisyjnego. Z gdańskiego studia emitowane były realizowane tu spektakle

Teatru Telewizyjnego w reżyserii wielu znanych twórców, w tym Jerzego Afanasjewa i Jerzego Gruzy.

13 grudnia 1996 roku rozpoczęła się przeprowadzka z budynku przy ul. Sobótki 15 do nowo zbudowanej siedziby przy ul. Czyżewskiego 42 w Gdańsku Oliwie.

Nieudolność czy przekręt

Sprzedawanie dawnej siedziby gdańskiej telewizji lokalnej-publicznej jest klinicznym przykładem nieudolności lub kombinowaniem przekrętu.

WGdańsku Wrzeszczu przy ulicy Sobótki był przepiękny obiekt – pałacyk, wielkie filmowe hale produkcyjne, biurowiec i zaplecze gospodarcze, garaże, magazyny. Wszystko to w otoczeniu starych bukowych drzew na wzgórzach moreny, ale dosłownie kilkaset metrów od głównej arterii przecinającej Trójmiasto. Lepiej nie można było sobie wymarzyć. Trochę na boku, w ciszy przepięknej przyrody, ale z łatwym dostępem metropolii, jaką trzy wspaniałe wybrzeżowe miasta dawno już powinny być.

Niestety „dziady”, które tu rządzą wspomagane przez wybitnych nieudaczników z Warszawy wszystko to zaniedbały, zmarnowały. Od kilkunasty lat cały obiekt

niszczyje. Zawalone dachy, wypadnięte rynny, wszystko zalane. Pałacyk zamieniono w gnojowisko. Zioną smrodem dawne hale studyjne. Syf!

Wszystko to jest nadal własnością Telewizji Polskiej. Tak, tej z Woronicza. Gnije jednak na ziemi gdańskiej słynnego „burłaka” samolotowego, prezydenta miasta Pawła Adamowicza. W TVP zmieniają się prezesi, prezydent Gdańska ciągle ten sam tkwi na stołku od lat dziewiętnastu. Jedni zwalają winę na drugich.

Raz w roku jeżdżę tam zimą, włąkę przez dziurę w płocie i robię zdjęcia (zebrała się tego już pokaźna kolekcja). Ze dwa razy dorwał mnie pies stróża i potargał portki. Ale dokumentację fotograficzną wysyłałem przez lata do wszystkich możliwych instancji kultury, Sejmu i Senatu. Wszystko psu na budę, choć ten z Sobótki takową już ma.

Niedawno TVP ogłosiła przetarg planowany na najbliższe miesiące. To już kolejny. Wszystkie poprzednie kończyły się fiaskiem. Znowu wyznaczono cenę na 7 milionów (z hakiem) złotych. Niby wszystko według praktykowanych zasad. I znowu poza ogłoszeniami w gazetach (znalazłem jedno) wszystko prowadzone

jest sztafpowo. Bo urzędnicy inaczej nie potrafią. A przecież to niszcząca własność telewizji, która ma ogromne możliwości reklamy. To ta sama instytucja, która krytykuje innych za nieudolność, niegospodarność i głupotę.

Są dwie możliwości: albo to rzeczywiście tylko skrajna nieudolność właściciela, albo próba przekrętu, by sprzedać za grosze. Sypie się i rozsypie – pójdzie prawie za darmo. Platformerskie rządy sukcesywnie niszczyły i sprzedawały na Wybrzeżu, co tylko się dało. Teraz na przykład przemysł stoczniowy wstaje jak feniks z popiołów. Niestety media karleją coraz bardziej. Ośrodki telewizyjne dla szefów z Woronicza to uprzykrzony bękart, z którym nie wiedzą co zrobić. Sobótki to przyczyn największy. Bractwo jeździ po Polsce służbowymi samochodami, marnuje środki i psuje powietrze. Czy ktoś tym wszystkim w końcu potrząśnie?

W '89 roku wierzyliśmy, że idzie nowe. I sporo teraz tego nowego się dzieje. Niestety, gdańskie Sobótki to przykład wołający o pomstę do nieba. Dziadostwo trwa tu już nie rok, dwa, ale lat kilkanaście!

STEFAN TRUSZCZYŃSKI



Książki cyfrowe i audiobooki vs. książki tradycyjne



FOT. © SPIDERSWEB.PL

Książki tradycyjne (papierowe) i książki elektroniczne, cyfrowe – e-booki współtworzą rynek książki w Polsce od blisko 20 lat. Dodatkowym uzupełnieniem oferty rynkowej są książki „mówione” – audiobooki, które na rynku pojawiły się znacznie wcześniej niż e-booki, utrwalane na nośniku CD, albo pod postacią plików MP3 lub MP4 – i w pewnym sensie są kontynuacją książek nagrywanych na kasyety magnetofonowe a jeszcze wcześniej na płyty winylowe.

Nowe formaty książek zostały przez rynek i czytelników przyjęte bardzo „ciepło”. Wydawało się, że bardzo szybko przestrzeń rynkową książki zagospodarują. Zaczęto nawet wieszczyć – po 1000 lat książki papierowej (najpierw rękopiśmiennej, a później drukowanej) – szybki koniec książki tradycyjnej. Tak się jednak nie stało. Książka papierowa nadal stanowi i zapewne przez najbliższe dziesięciolecia będzie stanowić mocny prymat na rynku. Zresztą kilkadziesiąt lat wstecz wielu wydawało się, że telewizja zniszczy radio i kino, a także mocno ograniczy ówczesny rynek książki, że kino z kolei zniszczy teatr. Ale owe media – niemal w znakomitej kondycji – przetrwały, trwają i co ważniejsze – rozwijają się. Przetrwają też zapewne gazety papierowe – chociaż jak się wydaje – w znacząco ograniczonej wielkości, będzie ich po prostu mniej.

Polski rynek książki, w poza papierowych formatach, to obecnie wartość niewiele ponad 100 mln złotych, w tym audio-

booki ponad 300 mln złotych. Ich udział w całkowitym rynku książki to mniej więcej 3-4 proc. w e-bookach i nieco ponad 1 proc. w audiobookach. Rynkowa oferta e-booków liczy niewiele ponad 40 tys. tytułów, a audiobooków 4 tys. tytułów.

Na światowym rynku książki, w sprzedaży książek cyfrowych/elektronicznych, niekwestionowaną pozycję lidera zajmują Stany Zjednoczone, gdzie udział tego formatu książek w całym rynku książki wynosi 20 proc. i co ciekawe spada. Jeszcze kilka lat temu udział ten sięgał 30 proc. Średni europejska to niespełna 7 proc., w tym Niemcy – 5 proc., Wielka Brytania i Skandynawia – 10-11 proc.

Udział e-booków w globalnej sprzedaży książek ogranicza płytkość oferty tytułowej. W Polsce cztery piąte wszystkich tytułów, które ukazały się w e-bookowym formacie stanowi wyłącznie beletrystyka. Novum jest to, że obecnie coraz więcej polskich wydawców wprowadza na rynek obie wersje książek (tradycyjną i cyfrową) jednocześnie, przy czym tytuły w wersji elektronicznej są z reguły tańsze o 15-25 proc.

Książki cyfrowe mogłyby być jeszcze tańsze, gdyby na publikacje cyfrowe obowiązywała taka sama stawka podatku VAT jak na książki tradycyjne, czyli 5 proc. Obecnie to 23 proc. Na szybką zmianę (obniżenie) obecnej stawki podatku VAT jednak się nie zanoszą, bowiem obowiązująca aktualnie unijna dyrektywa VAT nie pozwala na stosowanie obniżonej stawki podatku do wszelkich usług świadczonych drogą

elektroniczną, chociaż budzić to może wątpliwości, bowiem nabywca/czytelnik, dokonując zakupu e-booka/e-publikacji nabywa zawartą w nim treść, a nie nośnik, na którym owa treść jest zapisana.

Nasze mózgi wolą papier

Czytelnicy książek drukowanych (papierowych) lepiej odtwarzają ich fabuły i lepiej rozumieją tekst. Książki elektroniczne czytamy inaczej niż papierowe – mniej linearnie, a bardziej selektywnie. E-booki cechuje podstawowa słabość – nie mają materialnej postaci. Książka papierowa to także przedmiot, powodujący doznania emocjonalne związane np. z zakupem, posiadaniem, dotykiem okładek, kartek i stron, szelestem papieru, zapachem (dodajmy zmieniającym się w zależności od miejsca i czasu: innym w drukarni, innym w księgarni, innym w antykwariacie a nawet innym książki pożyczonej – pachnącej innym domem).

Do książki papierowej łatwiej się przyzwyczajamy, staje się częścią nas – jej posiadaczy. Dodatkową wartością jest to, że w momencie jej zakupu staje się naszą fizyczną własnością. E-book to tylko posiadanie licencji na czytanie. Książka tradycyjna buduje też więzi międzyludzkie: można ją pożyczyć, sprezentować, sprzedać, dziedziczyć itp. Umberto Eco w książce *Nie myśl, że książki znikną*, stwierdza, że książka tradycyjna przypomina mu koło, genialny wynalazek człowieka, który nie sposób jeszcze bardziej udoskonalić.

Książki papierowe wzbudzają wśród posiadaczy pozytywne emocje – mają „duszę”. Większość, i to zdecydowana, posiadaczy książek, ocenia autorytatywnie, że łatwiej się uczyć z książek tradycyjnych, np. naklejając na stronach samoprzylepne karteczki, zaznaczając lub podkreślając interesujące fragmenty, zdania i wyrazy różnymi kolorami.

Reasumując przewaga papieru nad e-bookami odnosi się do dwóch podstawowych kwestii: (1) pozytywnych (twórczych) emocji dostarczanych przez fizyczny kontakt z książką, (2) efektywniejszym przyswajaniem/zapamiętywaniem treści i informacji zawartych w książkach i tekstach papierowych.

Czytelnicy książek elektronicznych i tradycyjnych

Szacuje się, że e-bookowi czytelnicy, to społeczność licząca około 500 tys. osób. Mowa oczywiście o stałych czytelnikach książek w tym formacie – przysłowio- wych nerdach książkowych. Natomiast liczba tych, którzy sporadycznie sięgają po e-booki jest o wiele większa. Należy dodać, że znaczna część zwolenników korzystania z książek elektronicznych to także czytelnicy (i posiadacze) książek papierowych.

Druga grupa konsumentów książek, to ci, którzy odsłuchują to, co napisał autor za pośrednictwem lektora (w tej roli często występują m. in. znani aktorzy), a więc czytelnicy audiobookowi, których liczbę szacuje się na 20-25 proc. czytelników e-booków, czyli mniej więcej 100-125 tys. osób. To bardzo często np. osoby prowadzące samochody i oczywiście dzieci, które są głównym „konsumentem” książek przeznaczonych do odsłuchu.

Stojąc przed wyborem: e-book czy audiobook, trzeba mieć świadomość, że cena audiobooka będzie z reguły wyższa niż e-booka. Po prostu za luksus słuchania trzeba płacić więcej, bo koszty wersji dźwiękowej książki są wyższe niż e-booka. Należy przy tym pamiętać, że czas wysłuchania audiobooka jest często znacznie dłuższy niż tego samego tekstu w wersji papierowej, czy e-bookowej.

Rynek oferuje też książki na tzw. synchrobookach, które umożliwiają zmianę trybu czytania na słuchanie z lektorem.

Populacja czytelników książek tradycyjnych (papierowych) jest oczywiście znacząco wyższa i sięga kilkunastu milionów, mających do dyspozycji (w bibliotekach i księgarniach) kilkaset tysięcy tytułów zarówno polskich jak i obcojęzycznych.

Książka a sztuczna inteligencja i cyfryzacja

„Książka to *sacrum* – tak twierdzi (i ma z pewnością rację) dr Karol Jachymek, kulturoznawca z Uniwersytetu SWPS

w Warszawie. – *Sacrum*, które czasami zniechęca, kiedy lektura robi się trudna, ale mimo wszystko przyciąga. Jesteśmy wychowani do literatury i mamy do niej nabożny stosunek, bo to jest nasza tradycja i taką ją znamy – pod postacią zwykłej książki. Często przez pryzmat książek odbieramy inną osobę, przyglądamy się jej domowej bibliotece, bo ona coś nam mówi o człowieku. A co nam powiedzą pliki w komputerze? Tradycyjne czytelnictwo – także od czasów szkolnych i kanonu lektur – jest w nas mocno wprojektowane jako wartość nadrzędna”.

Jednak na polskim rynku (analogicznie jak na innych rynkach) w najbliższych latach zachodzić będą istotne zmiany. Maleć będzie rynek książek papierowych i audiobooków, a rosnąć rynek e-książek – chociaż nie w takim tempie jak dotychczas.

Na świecie i w Polsce postępować będą coraz szybciej procesy cyfryzacji i technologie sztucznej inteligencji (AI). Już dzisiaj ze sztuczną inteligencją mamy do czynienia np. w edytorach tekstu, poprawiających jego jakość, ewentualne błędy i braki. Zresztą AI coraz bardziej wkracza zaczyna w nasze codzienne życie, obowiązki i zachowania. Zapewne niedługo wkroczy na pole „uprawiania” literatury, gdzie cyfrowe oprogramowanie tworzyć będą „nową” literaturę – dodajmy – w kosmicznych ilościach i prędkościach.

Procesy cyfryzacji gospodarki i życia, oprócz niewątpliwych korzyści, niosą za sobą także ogromne zagrożenia. Profesor Manfred Spotzer – niemiecki psychiatra i psycholog, analizuje i przytacza liczne opracowania naukowe z całego świata, dowodzące jak procesy cyfryzacji i mediatyzacja życia wpływają na ludzi. I tak „wystawieni” od dziecka na kontakt z cyfrowymi treściami, tracimy zdolność koncentracji i lektury z uwagą dłuższych tekstów. To odbija się na rozwoju umysłowym, a jeśli proceder trwa od wczesnego dzieciństwa i tablet zastępuje rodzica podczas lektury książek, wówczas cierpi nie tylko intelekt, ale i empatia, co przekłada się np. na pogorszenie zdolności tworzenia więzi międzyludzkich (Edwin Bendyk, *Ekran i mózg*, „Polityka” nr 36/2016).

Niemiecki uczyony twierdzi, że społeczeństwom najbardziej ucyfrowionym (w szczególności USA, Korea Południowa czy Chiny) grozić może kulturowa implozja. Apeluje, aby Europa, a przynajmniej niektóre kraje, nie uległa w pełni szaleństwu i zachowała resztki humanistycznej kultury opartej na druku.

JERZY L. OKUNIEWSKI



Prezydent Olsztyna
Społeczna Grupa Inicjatywna
Warminsko-Mazurskie Stowarzyszenie Areszt Sztuki

zapraszają na odsłonięcie

TABLICY UPAMIĘTNIAJĄCEJ

WYBITNYCH ARTYSTÓW MALARZY
TWORZĄCYCH KULTURĘ OLSZTYNA I REGIONU
OD LAT 60. XX WIEKU

na frontonie budynku przy
ulicy Bolesława Limanowskiego 5 (Zatorze),
15 listopada (środa) 2017 r. godzina 12.00



Odsłonięciu tablicy towarzyszyć będzie
wystawa prac upamiętnianych artystów
w Galerii Sztuki Współczesnej BWA
– wernisaż 15 listopada (środa) godzina 17.00

PARTNERZY:

Samorząd Miasta Olsztyna,
Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego,
Biuro Wystaw Artystycznych,
Miejski Ośrodek Kultury, Remondis Olsztyn



PATRONAT MEDIALNY: BEZ WIERSZÓWKI

bezwierszówki
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NBP



Najlepsza drukarnia dziełowa w Polsce



Prezes najlepszej drukarni dziełowej – OZGraf – Piotr Ciosk, który również w 2017 roku otrzymał zaszczytny tytuł Przyjaciela Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, oprowadza gości Dni Seweryna Pieniężnego po hali produkcyjnej olsztyńskiej drukarni, 24 II 2017 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Tradycyjnie na jesieni redakcja „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI” ogłasza wyniki rankingu najlepszych w Polsce drukarni dziełowych. Już po raz czternasty poprosiliśmy wydawców o ocenę współpracy z rodzimymi zakładami drukarskimi. W odpowiedzi otrzymaliśmy 117 głosów oddanych na 28 drukarni.

Po czterech latach na miejsce lidera powracają Olsztyńskie Zakłady Graficzne OZGraf. Od początku istnienia naszego rankingu drukarnia utrzymywała się w ścisłej czołówce. W naszych zestawieniach aż sześciokrotnie zajmowała drugie miejsce (2016, 2015, 2011, 2008, 2005, 2004), pierwsze miejsce w 2006 i 2013, najniższa pozycja to 6 w 2014 roku.

OZGraf przebija pozostałych konkurentów jakością, zwłaszcza jeśli chodzi o oprawę twardą i druk kolorowy czy niestandardowe rozwiązania i skomplikowaną produkcję – do takich wniosków można dojść, analizując opinie klientów, wyrażone w ankietach. „Jakość oddanych w nasze ręce publikacji nie budzi jakichkolwiek zastrzeżeń, zarówno w kwestii użytych materiałów, jak i wykonania. Oprawa twarda na bardzo wysokim poziomie. Z naszej strony pełna satysfakcja”. „Bardzo dobra jakość pozycji wykonywanych w kolorze”. „Nasze produkcje są najczęściej bardzo trudne, a zlecając je do OZGrafu, mam pewność rzetelnej jakości”.

Klienci mają rozmaite wymagania i prośby, OZGraf – według wielu opinii – jest otwarty na wszelkie sugestie, oferuje pomoc, fachowe porady, podsuwa nowoczesne rozwiązania. „Wiele razy drukarnia poszła nam na rękę, aby wydrukować najpiękniej i zgodnie z naszymi założeniami. Czasem nawet kosztem swoich interesów”. Elastyczność na prośby i sugestie klienta to mocna strona OZGrafu. Wydawcy podkreślają otwarcie na sugestie, zrozumienie problemów zamawiającego: „Wyjątkowa jest elastyczność i odporność na niekończące się sugestie klientów. Czujemy, że drukarni zależy bardzo, aby klient był zadowolony, a książka była piękna”. Ta opinia doskonale wpisuje się w hasło reklamowe olsztyńskiej drukarni – „Wydrukujemy twój sukces!”.

OZGraf – pełna satysfakcja

W rozmowach z klientem uczestniczą nie tylko specjaliści, osoby odpowiedzialne za druk, ale i sam prezes Piotr Ciosk: „Najważniejsze jest to, że o druku, o zmianach, o ulepszeniu można rozmawiać w każdej chwili i z osobą odpowiedzialną, i z prezesem”. „Miła i życzliwa atmosfera w kontakcie z prezesem, a także osobami odpowiedzialnymi za produkcję na różnych jej etapach”. Wysoką jakość kontaktów interpersonalnych potwierdzają również takie opinie: „Kontakt z przedstawicielami Olsztyńskich Zakładów Graficznych to niewątpliwie silna strona naszej współpracy. W naszej współpracy mieliśmy przyjemność rozmawiać z przedstawicielami przeróżnych stanowisk OZGraf. Co cechuje tychże przedstawicieli? Empatia, rzeczowość, profesjonalizm, otwartość, gotowość pomocy...”. Dzięki takiemu podejściu „wydawca czuje się wyjątkowym klientem”.

Kolejna ważna dla wydawców kategoria to „terminowość”. Olsztyńska drukarnia i tu została wysoko oceniona („ani dnia opóźnienia”, „terminowość bez zastrzeżeń co do dnia i godziny”, „żadnych niemiłych niespodzianek ze strony drukarni, z góry jasno ustalone zasady, których wykonawca rzetelnie się trzyma”), ale zdarzają się i opóźnienia, chociaż klienci sami biją się w piersi, że oddają często książki opóźnione wg założonego planu lub nawet w ostatniej chwili, co jest nie lada kłopotem przy zaplanowanym procesie produkcyjnym, zwłaszcza gdy trwa high season i wszyscy śpieszą się z nowościami na targi książki. „Drukarnia stara się, aby zawsze było na czas, nawet pomimo spóźnienia z naszej strony”. „Nawet przyśpieszenie terminów jest realizowane z uśmiechem na ustach”. A jeśli termin jest zagrożony, zakład oferuje wykonanie przynajmniej części nakładu.

„Z pełnym przekonaniem, na podstawie dotychczasowego doświadczenia wystawiam najwyższe noty dla tej drukarni. Oby tak dalej” – podsumował ankietę jeden wydawców. A inny, pytany o satysfakcję z zakresu świadczonych usług, odpowiada: „Jestem szczęśliwy”.

OZGraf jest jedną z tych najbardziej utytułowanych polskich drukarni dzielowych, które dbają o nowoczesny park maszynowy w odpowiedzi na stale rosnącą liczbę zamówień ze strony odbiorców krajowych i zagranicznych.

Firma w ostatnim czasie poczyniła wiele inwestycji, zakupiono m. in. linię do oprawy miękkiej. „Inwestujemy, żeby być konkurencyjnymi na rynku, a także po to, aby nasi klienci byli przekonani, że dobrze

wybrali” – komentuje zmiany w firmie Mirosław Jachemek, dyrektor ds. produkcji, w materiale filmowym OZGrafu, dostępnym na profilu drukarni na Facebooku.

„Do kolejnej inwestycji zmusili nas niejako klienci i rynek – tłumaczył z kolei Piotr Ciosk, prezes Zarządu OZGraf w komunikacie skierowanym do mediów tuż po instalacji. Druga połowa ubiegłego roku okazała się dla nas wyjątkowo trudna. Staliśmy się ofiarami naszego sukcesu i byliśmy zmuszeni odmawiać przyjęcia zleceń nawet od stałych klientów. Teraz już się to nie powtórzy” – dodaje z uśmiechem.

Olsztyńskie Zakłady Graficzne OZGraf to jedyna drukarnia, jaka przyznaje nagrody wydawcom, i to w kilku kategoriach: „Dobra i wymagająca książka”, „Wydarzenie wydawnicze”, „Książka dla dzieci i...”, i po raz pierwszy w 2017 roku – „Książka religijna”. W tym roku wyniki ogłoszono podczas Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie.

Z kolei w trakcie Warszawskich Targów Książki drukarnia organizuje quiz wiedzy o OZGraf. W tym roku pytanie dotyczyło ilości egzemplarzy książek, jakie są produkowane w drukarni OZGraf. Prawidłowa odpowiedź to 7 mln egzemplarzy rocznie. Zwycięzcy: Publicat, Zysk i S-ka oraz Studio Emka, otrzymali bony rabatowe.

W tegorocznym rankingu drugie miejsce zajął Opolgraf, a trzecie – Mazowieckie Centrum Poligrafii. Na kolejnych miejscach uplasowały się następujące drukarnie: Abedik, Zakład Graficzny Colonel, Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Edica, Perfekt, Drukarnia Read Me i Skleniarz.

To już czternasta odsłona rankingu, laureatom gratulujemy i życzymy kolejnych sukcesów, znacznych zamówień i wyzwań oraz oczywiście płatności w terminie. Bardzo dziękujemy nieocenionym wydawcom za poświęcony czas i chęć podzielenia się opiniami!

EWA TENDERENDA-OŻÓG
Magazyn Literacki KSIĄŻKI



FOT. © OZGRAF / FB

21. Międzynarodowe
Targi Książki
w Krakowie

26-29 października 2017



Mozaika „Bitwa Aleksandra z Dariuszem”, II wiek p.n.Chr.

FOT. © MUSEO ARCHEOLOGICO NAZIONALE DI NAPOLI

Najmłodszy i najstarszy w historii



Młodziź zawsze wnosi nowy powiew, nowe spojrzenie na świat, nowe pomysły. Z drugiej strony doświadczenie i chęć zachowania aktywności ludzi w wieku powyżej średniego są często zdumiewające. Tak było w każdej epoce.

Konflikt pokoleń – na ile prawda, na ile fikcja?

Niekiedy ta sama osoba dokonywała rzeczy wielkich na przestrzeni wielu dziesiątków lat. Charakterystyczny jest tu przykład Michała Anioła. Jego trzy słynne dzieła są chlubą Watykanu, Są to Pieta, freski Kaplicy Sykstyńskiej i kopuła Bazyliki Świętego Piotra. Jednak Pieta wyrzeźbiona została przez 24-letniego artystę, Kaplicę Sykstyńską malował jako 35-latek, natomiast kopułę Michał Anioł tworzył mając lat ponad 85.

Aktywność jednego człowieka na różnych etapach życia można przedstawić też na przykładzie barwnej postaci gen. Antoniego Hedy (1916-2008). Jako 27-latek stał się jednym z najsłynniejszych dowódców partyzanckich na Kielecczyźnie (używał pseudonimu „Szary”), jako 29-latek wyzwolił kilkuset więźniów z opanowanego zbrojnie ubeckiego więzienia w Kielcach, w latach 50. był więźniem PRL-u z wyrokiem śmierci, natomiast jako 65-latek został internowany w grudniu 1981 roku.

„Dziewica Orleańska”, pomnik autorstwa Emmanuela Fremiet, Paris 1874

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Wielcy malarze Rafael, Giorgione czy Caravaggio niewiele przekroczyli 30 lat życia; Tycjan czy Picasso tworzyli wielkie dzieła mając ponad 80 lat. Ciekawym jest porównanie dwóch wielkich amerykańskich prezydentów XX wieku. John F. Kennedy został prezydentem mając 44 lata – podczas swojej krótkiej prezydentury wniósł nowy powiew do amerykańskiej polityki. Kochano go i nienawidzono. Ronald Reagan zakończył swoją ośmioletnią prezydenturę zbliżając się do osiemdziesiątki. Obecnego prezydenta Donalda Trumpa (71-latek) też należy uznać za człowieka dojrzałego, natomiast prezydentem Francji został niedawno niespełna 40-letni Emmanuel Macron, a kanclerzem Austrii 31-letni Sebastian Kurz. Wspomnijmy również naszego premiera Waldemara Pawlaka, który po raz pierwszy otrzymał misję utworzenia rządu jako 33-latek.

Niektórzy sędziwi panowie czy panie potrafią zachować dystans do swego wieku. Pewien amerykański muzyk w dniu swoich setnych urodzin podzielił się refleksją z młodszymi kolegami: „Wiecie, chłopaki... Gdybym wiedział, że tak długo będę żył to bardziej bym o sobie dbał”.

Oni rządili światem

Historia zna wielu młodych ludzi, którzy decydująco wpływali na losy swoich państw. Najsłynniejszym z nich był chyba Aleksander Macedoński. Jako 20-latek w 336 roku p.n.Chr. wraz z tronem Macedonii odziedziczył stworzoną przez ojca doskonałą armię. Przez następnych 13 lat swego krótkiego



Trzech królów Polski było koronowanych jako dziesięcioletnie dzieci: św. Jadwiga (1384), Władysław Warneńczyk (1434) i Zygmunt II August (1529). MAL. JAN MATEJKO

życia zbudował potężne imperium. Wielki przywódca, żołnierz i wizjoner z niemalą dozą szaleństwa – osobowość godna głębokich analiz psychologicznych. Po pierwszych zwycięstwach król perski zaproponował mu pół królestwa w zamian za pokój. Doświadczony wódz macedoński Parmenion radził: „Gdybym był Aleksandrem, przyjąłbym tę propozycję”, co Aleksander skomentował: „I ja bym ją przyjął gdybym był Parmenionem”. Propozycję odrzucił i został władcą większości, znanego ówczesnie, świata.

Przez całą starożytność aż po dzisiejsze dni Aleksander był i jest jedną z najsłynniejszych postaci dziejów ludzkości. Nawet 40-letni Juliusz Cezar porównywał swoje życie z życiem wielkiego króla macedońskiego zmarłego w wieku 33 lat. Porównanie wypadło niezbyt korzystnie dla Cezara – wówczas mało znanego polityka bez większych osiągnięć. Może ten właśnie wzorzec spowodował, że następnym kilkanaście lat życia ambitnego Rzymianina było pasmem sukcesów.

Nadzwyczaj interesująca była kariera Napoleona Bonaparte. Jako 17-letni podporucznik poddaje się często depresyjnym nastrojom (w jego zapiskach z tego okresu można doszukać się nawet myśli samobójczych), w wieku 25 lat zostaje generałem. Między 27 i 28 rokiem życia wygrywa kampanię włoską staczając szesnaście zwycięskich bitew, natomiast mając lat 31 zostaje Pierwszym Konsulem. Apogeum kariery to cesarska koronacja 35-letniego Korsykanina w roku 1804.

Kilku spośród jego 24 marszałków przekroczyło 80 lat życia. Wśród nich był także Gaskończyk Jean Baptiste Bernadotte – późniejszy król Szwecji. Bernadotte jako młody człowiek był republikaninem i fanatycznym jakobinem, jako król Karol XIV Jan zawsze kąpał się sam za parawanem nie pozwalając asystować służbie. Dopiero po jego śmierci okazało się co było powodem tak niety-

powego, jak na króla, postępowania. Otóż król miał tatuaż z napisem „Śmierć królom i tyranom” – pozostałość młodzieńczych uniesień ideami Rewolucji Francuskiej. Co za przekora losu, że zdeklarowany antymonarchista i jakobin został królem...

„Wybrańcy bogów umierają młodo...”

To chyba właśnie Aleksandra Macedońskiego najbardziej dotyczy powiedzenie, że wybrańcy bogów umierają młodo. Właściwie nie możemy być nawet pewni czy zmarł śmiercią naturalną czy też, być może, został otruty.

Natomiast faktem jest, że wielu młodych ludzi zginęło w sposób gwałtowny. Symbol Francji Joanna d'Arc, która potrafiła porwać swych załamanych rodaków do skutecznej walki z najeźdźcą, zginęła w 1431 roku spalona na stosie w wieku 20 lat. Tyleż lat miał król Władysław Warneńczyk ponosząc śmierć w bitwie z Turkami. Genialny matematyk francuski Ewaryst Galois był też 20-latkim

gdy zginął w pojedynku. W pojedynku zginęli również młody oficer-poeta Michał Lermontow, jak też Walery Łoziński – świetnie zapowiadający się młody autor *Oka Proroka*; powieściopisarz uważany niekiedy za „niedoszłego drugiego Sienkiewicza”. Bohaterem książki *Książę i żebrak* Marka Twaina jest 10-letni król angielski Edward VI wstępujący w 1547 roku na tron. Śmiertelna choroba powaliła go sześć lat później.

W roku 1000., podczas zjazdu gnieźnieńskiego, cesarz Otton III i Bolesław Chrobry debatowali o zjednoczonej Europie, przyjaźni i współpracy. Tematy bardzo aktualne do dziś. 33-letni wówczas Bolesław uważany był za człowieka dojrzałego, natomiast Otton III miał tylko 20 lat, zmarł dwa lata później. Nie tylko starożytni mieli podstawy uważać, że „wybrańcy bogów umierają młodo”. W XXI wieku o zjednoczonej Europie debatują politycy dwu- i trzykrotnie starsi.

W historii Polski też różnie się układało. Bolesław Krzywousty prowadzoną z niezwykłą energią walkę o przyłączenie Pomorza rozpoczął jako kilkunastolatek, mając 23 lata odparł w 1109 roku najazd cesarza niemieckiego (obrona Głogowa i legendarna bitwa na Psim Polu). Jego syn Mieszko zwany Starym po siedemdziesiątce był najaktywniejszym i najenergiczniejszym spośród ówczesnych książąt dzielnicowych zawzięcie walcząc o tron krakowski i prestiż księcia-seniora.

Trzech królów Polski było koronowanych jako 10-letnie dzieci. Byli to: św. Jadwiga (1384), Władysław Warneńczyk (1434) i Zygmunt August (1529). Większość polskich królów wstępowała jednak na tron około trzydziestego roku życia. W tej sytuacji szlachta na elekcji w 1674 roku wybierając 45-letniego Jana Sobieskiego opowiedziała się za człowiekiem wiekowo dojrzałym.



Jean-François Champollion (1790-1832) – twórca nowoczesnej egiptologii; portret autorstwa Victorine-Angélique-Amélie Rumilly FOT. © MUSÉE CHAMPOLLION

Ciąg dalszy na s. 34 →

→ Ciąg dalszy ze s. 33

Natomiast spośród polskich królów najbardziej sędziwego wieku – 88 lat – dożył Stanisław Leszczyński, a i to bezpośrednią przyczyną jego śmierci w roku 1766 był wypadek i ciężkie poparzenie.

Inny ciekawe zjawisko to tzw. genialne dzieci. W roku 1815 (i następnych) w Warszawie dwóch pięciolatek za takich uchodziło. Byli to Fryderyk Chopin i Zygmunt Krasiński. Znamy ich późniejszy wkład w kulturę polską i światową. Obaj, niestety, zmarli na gruźlicę w wieku około 40 lat.

W roku 1822 świat naukowy obiegnęła sensacyjna wieść. Odczytane zostały egipskie hieroglify. Dokonał tego, po wielu latach intensywnych analiz, 32-letni Francuz Jean Francois Champollion – genialny poligłota, człowiek o wspaniałym analitycznym umyśle. Jego wybitne talenty docenił już wcześniej Uniwersytet w Grenoble zatrudniając 19-letniego wówczas Champolliona jako profesora historii starożytnej. Do dziś Champollion uważany jest za twórcę nowoczesnej egiptologii. Jednak śmiertelna choroba powaliła go w 42. roku życia.



Mira Zimińska-Sygietyńska (1901-1997) – aktorka i pedagog, współzałożycielka i w latach 1957-1997 dyrektor Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” FOT. © LOWICZANKA.WEEBLY.COM

Byli też wybitni twórcy, którzy – pomimo wielu lat życia – swoje największe osiągnięcia mieli w stosunkowo młodym wieku. Tak było z Michałem Szolochowem (*Cichy Don*), z Rainerem Marią Rilke (młodzieńcze wiersze), a w jakiejś mierze i z Albertem Einsteinem (teoria względności). Warto wspomnieć, że najmłodszym laureatem Nagrody Nobla był 25-letni wówczas fizyk William Lawrence Bragg w roku 1915. Bragg działał później naukowo jeszcze ponad 50 lat.

Aktywność godna pozazdroszczania

Z drugiej strony obserwować możemy postacie, które największe osiągnięcia miały jako osoby już wiekowe. Mając ponad 90 lat przebiegły doża wenecki Enrico Dandolo w roku 1204 skierował czwartą wyprawę krzyżową na chrześcijańskie Bizancjum. Krzyżowcy zdobyli Konstantynopol. Weneccji w tym podziale łupów na wiele stuleci przypadły Wyspy Jońskie, Kreta i Peloponez. Niemało dzieł sztuki zdobiących do dziś Wenecję to ówczesne łupy wojenne m. in. słynne spiżowe cztery konie Bazyliki Świętego Marka (zwane niekiedy „rumakami Lizyna”) czy przebogaty ołtarz Pala d’Oro.

W trakcie rozmów w Wersalu 1918/1919 kończących I wojnę światową najaktywniejszym politykiem był dobiegający osiemdziesiątki premier Francji Georges Clemenceau. Nazywano go „tygrysem”. Zadziwiał wszystkich energią i zaangażowaniem, był przyjacielem odzyskującej niepodległość Polski i Polaków.

Również w biznesie niejednokrotnie ludzie wiekowi potrafili osiągać niemałe sukcesy. Jedną z bardziej znanych w świecie sieci

szybkich restauracji jest Kentucky Fried Chicken KFC. Jej znakiem firmowym jest podobizna starszego sympatycznie uśmiechającego się pana z bródką. To podobizna założyciela tej sieci: pułkownika Harlanda Sandersa (1890-1980), który będąc już emerytem zajął się biznesem, wykazał niezwykle upór i godnie zarobił na swoim pomysle. Amerykański „król kolei” Cornelius Vanderbilt wybudował większość swoich linii kolejowych na przełomie lat 60. i 70. XIX wieku będąc już po siedemdziesiątce.

Przypomnijmy też kilkoro wiekowych Polaków, którzy przez dziesięciolecia związani byli z filmem, teatrem czy kulturą: Danutę Szafarską (niezapomniana Halina Tokarska z „Zakazanych piosenek”), Mieczysława Ćwiklińską, Mirę Zimińską-Sygietyńską (twórczynię Zespołu „Mazowsze”), Jerzego Waldorfa czy zmarłych niedawno Andrzeja Wajdę i Wiesława Michnikowskiego. Spośród aktorów zagranicznych warto wspomnieć niezapomniane role Burta Lancastera, Roberta Mitchuma (ach, te westerny – fascynacja moich młodych lat...), Jeana Gabina czy Seana Connery, którzy swoją aktywnością aktorską imponowali nam przez kilkadziesiąt lat.

Zatem czy o przebiegu dziejów decydują najmłodszy czy najstarszy?

Chyba patrząc na te i inne liczne przykłady pytanie takie zdaje się jednak nie mieć większego sensu.

I na koniec anegdota o Winstonie Churchill, który jeszcze piastował tękę premiera mając 80 lat. Podobno na jakimś ważnym posiedzeniu dwóch polityków w średnim wieku wymieniło szeptem krótką uwagę: „Mówią, że stary Churchill ma sklerozę i mało już co kojarzy”. Churchill, siedzący dwa metry dalej, odwrócił się i dodał: „Tak, tak! I do tego mówią, że jest już całkiem głuchy”.

„Wojownik na koniu” (Aleksander Macedoński), pomnik autorstwa Walentyny Stefanowskiej, Skopje 2011 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

WOJCIECH GOLJAT



Wie ben je? A wy – kim jesteście?

Aafke Steenhuis urodzona w 1946 roku w Delfzijl była dziennikarką „De Groene” siedemnaście lat, od 1974 do 1991 roku. Fragmenty jej dzienników zebrane w wydaną w październiku książkę *Wie ben je? Dagboeken en zelfportretten* odzwierciedlają intensywność, jaka cechowała tu wtedy lewicowe środowiska intelektualne. Pochodzą z sześćdziesięciolecia (1954-2014) i zostały połączone z rysunkowymi oraz malarskimi autoportretami. Tytułowe pytanie: *Wie ben je?* – Kim jesteś? Aafke Steenhuis kieruje do siebie i do znanych lub anonimowych „innych”. To czwarta już jej książka w ekskluzywnym wydawnictwie Philip Elchers specjalizującym się w książkach o sztuce i bibliofilskich wydaniach książek-objektów.

Gdy w oczekiwaniu na autograf otwierałam książkę ot tak, przyglądając się lakonicznym, kilkunastozdaniowym zazwyczaj zapisom opatrzonym datą i miejscem, ukazał się fragment datowany: „1984 San Francisco, lipiec”. Rozpoczęło go zdanie: „Wczoraj wraz z Kiki przeprowadziłyśmy wywiad ze starym polskim pisarzem i laureatem Nagrody Nobla, Czesławem Miłoszem w jego pokoju na kalifornijskim uniwersytecie”. Po chwili dowiedziałam się, że zachowała ten wywiad i że z Czesławem Miłoszem zrobiła dwa (drugi w Paryżu).

Aafke Steenhuis i „Kiki” – publikująca również w „De Groene” Pia Maria Amsberg, znana dziennikarka radiowa i telewizyjna – często pracowały razem. Rezultatem ich zaangażowania w ruch feministyczny będą dwie książki, zbiory wywiadów: *Rozmyślania o miłości i władzy (Denken over Liefde en Macht, 1982)* rozmowy z pisarkami i działaczkami feministycznymi (osiem wydań) oraz *Een Branding van Beelden*

(1996) – w wolnym tłumaczeniu *Nasz własny obraz* – rozmowy z reżyserkami filmowymi, w tym z Agnieszką Holland i Mártą Mészáros.

Na okładce:
Autoportret Aafke Steenhuis

FOT. © AAFKE STEENHUIS.NL



FOT. © EGBERT EUSER / EEMSBODE.NL

W grudniu 1973 Aafke, absolwentka nirlan-dystyki na uniwersytecie w Groningen, współautorka przygotowywanego do druku Chilijskiego dziennika zgłasza się w redakcji „De Groene” na rozmowę wstępną. Od sierpnia 1974 roku może przystąpić do pracy. Ma się zajmować kulturą, mediami, feminizmem oraz Ameryką Łacińską.

Ogrom redakcyjnej odpowiedzialności zaskakuje Aafke, podobnie jak siła wewnątrzredakcyjnych animozji. Pochodzi ze wsi na dalekiej Północy więc czuje się w Amsterdamie północną prowincjuszka. Ponadto odkrywa, że „De Groene” to świat zdecydowanie męski. Koledzy komplementują jej pracowitość, ale krzywią się na feministyczną zawziętość. Ona chce jednak przede wszystkim pisać. Pisać, pisać, pisać.

Z Janem Joostem Teunissenem, mężem od 1968 roku, późniejszym ojcem jej dwojga dzieci, kupują przycumowany na Amstel statek żeglugi przybrzeżnej z roku 1920 z wbudowaną częścią mieszkalną. Stają się mieszkańcami Północnego Amsterdamu. Pozostają nimi do dziś.

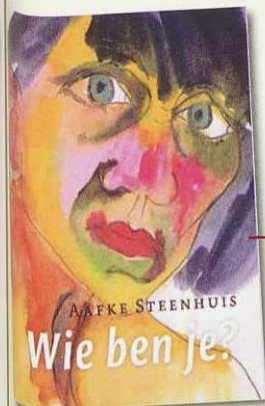
Stale podróżują. Gdy przebywali na Południu Chile za prezydentury Salvadore Allende, z początkiem 1973 roku, Jan Joost rozważał pomysł zaangażowania się w rządowy projekt reformowania rolnictwa i osiedlenia w Chile na stałe. Przypadkowo dochodzi wtedy do spotkania z prezydentem, któremu zostają przedstawieni jako holenderscy studenci.

Po wojskowym zamachu stanu z 11 września 1973 działają intensywnie w Komitecie Chilijskim. W listopadzie, podczas wielkiej amsterdamskiej demonstracji na rzecz Chile jednym z przemawiających jest ich przyjaciel, dziennikarz Koos Koster. Znajdował się

w Santiago podczas przewrotu; był jednym z pierwszych aresztowanych i pozostawał zamknięty na piłkarskim stadionie.

ciąg dalszy na s. 36 →

Przynależność niezależnego lewicowego tygodnika „De Groene Amsterdammer” do czołówki prasy holenderskiej jest bezdyskusyjna. Jego poufała potoczna nazwa „De Groene” – „Zielony” związana jest z historią pisma. Zostało założone przed 140. laty jako „De Amsterdammer” – „Amsterdamszczyk”, ale gdy powstaje drugie pismo o tej samej nazwie, nabywcya dla odróżnienia dodają „Zielony” ponieważ drukowano je i w tym kolorze. W 1925 roku nazwa „De Groene Amsterdammer” staje się oficjalną.



→ Ciąg dalszy ze s. 35

Koos Koster (z wykształcenia teolog) to postać historyczna, a zarazem nadal żywy symbol zaangażowanego dziennikarstwa. W 1980 roku powstaje najślawniejszy z jego reportaży, o terrorze „doodeskaders”, szwadronów śmierci w Salwadorze. W tym kraju zginie, zastrzelony w marcu 1982 roku podczas pracy nad reportażem. W ten sam sposób zamordowani zostają pozostali członkowie ekipy – Jan Kuiper (redaktor), Joop Willemssen (kamerzysta) i Hans ter Laag (dźwiękowiec). Śmierć czterech wysłanników stacji IKON jest dla Holendrów czymś niesłychanym, wstrząsającym.

Zgodnie z naradą, która natychmiast po pogrzebie odbywa się u Aafke i Jana Joosta, zadaniem ich obojga ma być opracowanie tekstów, które złożą się na książkę Koosa Koster. W lipcu są w Cuernavaca w Meksyku, gdzie mieszkają u Any Marii Rumayor, żony Koosa, którą poznali w 1973 roku, gdy mieszkała z nim w Santiago. Pokój Koosa wciąż jest taki, jakim go opuścił wyjeżdżając w marcu do El Salvador. Dziennikarze pracujący dla (nie istniejącej od 2016 r.) stacji IKON często przebywali na obszarach walki zbrojnej, tym niemniej istnieją opinie, że ostatnim wyjazdem Koster podjął zbyt wielkie ryzyko. Siedem lat później zginie od kuli w Salwadorze jeszcze jeden dziennikarz IKON, kamerzysta Cornel Lagrouw. Jego kamera nadal pracowała, choć on sam już nie żył... W roku 2014 powtórne odsłonięcie pomnika zamordowanych dziennikarzy w siedzibie państwowej rozgłośni NOS połączy się z dodaniem jego nazwiska.

Kontakty wewnątrzredakcyjne nie zawsze układają się dla Aafke Steenhuis harmonijnie, o czym świadczy notatka z listopada 1982 roku. Gdy wkrótce po powrocie z półrocznej podróży po Ameryce Łacińskiej prosi o wolny tydzień, słyszy zdecydowaną odmowę. W kawiarni następuje jej dalszy ciąg: „Posuwasz się za daleko! [...] I nawet nie wiadomo, czy jesteś naiwną panienką z prowincji, strasznie ciekawą jak wygląda wielki świat, czy zarozumiałcem, wokół którego wszystko ma się kręcić? Pytanie to postawi też sobie odważnie sama Afke po spotkaniu z koleżankami ze studiów, które wykaże, że to ona osiągnęła w życiu najwięcej...

Gdy zostaje matką dwójki dzieci jej energia skierowana na pracę w redakcji słabnie. W 1988 roku po raz ostatni uczestniczy w zebraniu redakcyjnym. Po zebraniu pojawiają się na stole butelki szampana, ale nikt nie pyta, co ma zamiar teraz robić. Siedzi apatycznie: jak niewiele ciepła i uczuć zdołała uzyskać!

Przez następne dwa lata będzie już tylko współpracownikiem „De Groene”, a w 1991 roku zostanie zwolniona. Dzień odebrania



Koos Koster (1936-1982), 1970

FOT. © ROB MIEREMET / ANEFO

zwolnienia ma swoje miejsce w książce. Tuż przed pójściem do redakcji Jan Joost doradza jej w kawiarni jak się ma zachować, by sobie nie przysporzyć kłopotów i odprowadza pod redakcyjne drzwi. Aafke zatrzaśnie je za sobą godzinę później.

Po półtorarocznym okresie wyciszenia znajdzie nowy sposób spożytkowania tego, co widziała, przeżyła, czego się nauczyła. Podróżuje, pisze książki. Nowe książki, które przyniosą jej sukces czytelniczy, mają formę półosobistych, nasyconych faktami opowieści. Wraca nimi

tam, skąd pochodzi, na Północ, do odebranej morzu ziemi prowincji Groningen.

Pisarstwo, z którym się zawsze utożsamiała należy do kobiet. Trzy najważniejsze nazwiska to Nathalie Sarraute, Doris Lessing i Christa Wolf. Praca dziennikarska umożliwiła jej spotkanie z każdą z nich. W książce *Wie ben je?* rozdział zatytułowany „Dziennikarz” kończy opisem pobytu w Berlinie u Christy Wolf, w grudniu 1989 roku.

Podczas spotkania Aafke dowiaduje się, że potraktowana została w sposób wyjątkowy, gdyż pisarka odmówiła dotąd spotkania około sześćdziesięciu dziennikarzom... Podczas spotkania Christa Wolf przekazała swoją gruntowną ocenę wydarzeń z 8 i 9 października. Rozmowy trwały wiele, wiele godzin. Podczas prostego posiłku przygotowanego przez męża, Gerharda Wolfa, z nastawionego radia docierały wiadomości, o przyjeździe Helmuta Kohla do Lipska i o posiedzeniu partii.

Praca nad książką *Wie ben je?* nie mogła być łatwym zadaniem. Kilkadziesiąt tysięcy stron zawartych w ponad 150. dziennikach trzeba było sprowadzić do 50. I na koniec pytanie, zawsze aktualne wobec autorów książek autobiograficznych: jak przedstawiała się sprawa autocenzury? Odnosi się wrażenie, że Aafke udało się obronić przed wybieleniem obrazu samej siebie i że świadomie nad tym pracowała.

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS



Pamięci zamordowanych holenderskich dziennikarzy i 40 tys. Salwadorczyków, Haga, 22 III 1982

FOT. © HANS VAN DIJK / ANEFO

„Pucz” i pralnie pieniędzy

Pranie pieniędzy, wedle klasycznej definicji, polega na wprowadzaniu do obrotu oficjalnego pieniędzy pochodzących z nielegalnych źródeł.

Najbardziej znaną formą prania pieniędzy jest zawyżanie dochodów płynących z legalnej działalności i w ten sposób podstawianie sum uzyskanych z przestępstw bądź też działalności haniebnej, moralnie nagannej lub niemile widzianej w danym państwie. Sam termin pochodzi z czasów alkoholowej prohibicji w Stanach Zjednoczonych, kiedy gangi, zaangażowane w nielegalne odstawy napojów wysokokowych, inwestowały środki w sieci pralni publicznych.

Dziś pranie pieniędzy nie dotyczy jedynie przestępczości mafijnej, handlu narkotykami, czy bronią, a także legalizowania środków pochodzących z handlu ludźmi i masowych wymuszeń. Obecnie termin: „pranie pieniędzy” obejmuje także tzw. „sterowanie społeczne”, czyli legalizowanie zewnętrznych funduszy z ukrytych źródeł, które mają spowodować przewroty, niepokoje społeczne i destabilizację.

Właśnie w tym ostatnim kontekście przypominam najpopularniejsze sposoby prania nielegalnych pieniędzy.

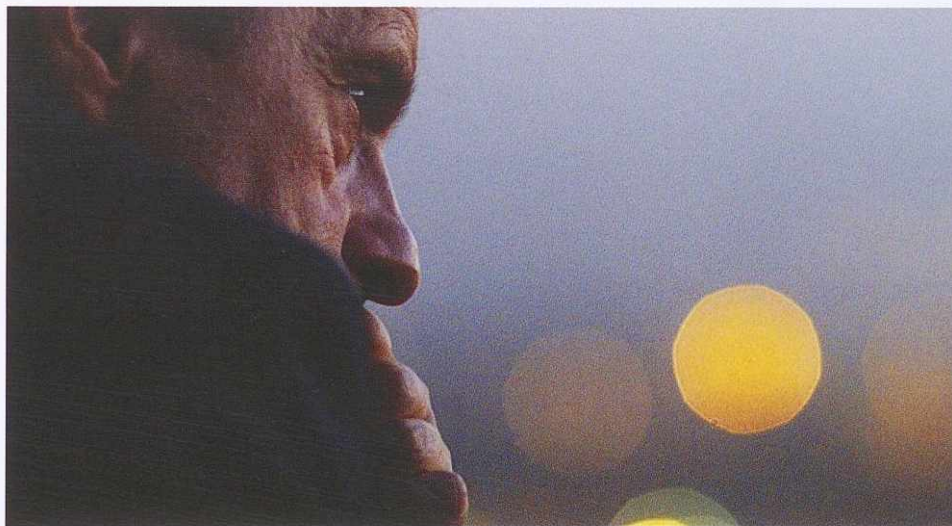
Oto kilka popularnych sposobów prania:

1. Smurfing – wpłacanie przez wielu podstawionych ludzi niewielkich sum, które nie wymagają legitymowania się dowodami tożsamości. Takie podejrzenia pojawiały się np. wobec finansowania kampanii wyborczej wobec m. in. Akcji Wyborczej „Solidarność”.

2. Manipulowanie wysokościami faktur w obrocie międzynarodowym. Zawyżone faktury służą do legalizacji przestępczych dochodów. Ten sposób specjaliści nazywają: „transferpricking”.

3. Tworzenie firm widm i obrót fikcyjnymi fakturami, które wykazują dochód i w ten sposób legalizują pieniądze mafii.

4. Dodawanie do legalnie działającego biznesu pieniędzy z nielegalnego źródła. Zwykle dzieje się to w dziedzinach, w których trudno jest precyzyjnie oszacować obroty. Na przykład Pablo Escobar, boss kartelu z Medellin, oficjalnie czerpał dochody z rewelacyjnie działających firm tak-sówkarskich.



5. Sposób kredytowy – firma zaciąga kredyt w banku i jednocześnie zawiera fikcyjną umowę pożyczki w inną firmą. Kredyt bankowy spłacany jest pieniędzmi z fikcyjnej pożyczki. W takiej sytuacji następuje cała karuzela zobowiązań i obrotów, w której wykorzystywane są także firmy z tzw. „rajów podatkowych” i miejsce na świecie, z którymi utrudniona jest wymiana informacji finansowych.

6. Mieszane stosowanie wszystkich wymienionych metod budujące skomplikowane schematy wymian finansowych i transakcji, które możliwe są do rozszyfrowania tylko przez specjalistów posiadających dostęp do informacji finansowych i dysponujących danymi ze śledztwa, oraz oryginalnymi dokumentami księgowymi.

Wymieniłem tylko najpopularniejsze sposoby oszustw, jednak kreatywność księgowych mafii i gangów sprawia, że niemal każdego dnia powstają nowe metody i ulepszone kombinacje starych.

I teraz rzecz najistotniejsza – po co o tym piszę?

Jestem przekonany, że tzw. „lipcowy pucz” oraz inne akcje mające na celu obalenie legalnie działających dziś w Polsce władz wspomagane są przez fundusze płynące zza granicy. Poczytajcie choćby o akcji CIA, która w 1953 roku doprowadziła do obalenia rządu Mohammada Mosaddeqha w Iranie.

Wspomaganie akcji wywrotowych, to zatem zwykle domena służb wywiadowczych. W przypadku dzisiejszej Polski przewrotem politycznym mogą być zainteresowane Niemcy i Rosja. Tam więc – w ich służbach – upatrywałbym organizatorów funduszy dla „puczystów” i akcji defamacyjnych mających zohydżyć polskie władze.

Gdyby tak było, to wobec organizatorów tych akcji w Polsce śmiało można postawić zarzut – zdrady. Oczekuję zatem tego, że państwowe służby specjalne prowadzą już w tej sprawie zorganizowane postępowania wyjaśniające. Odkrycie, że rosyjskie, czy też niemieckie fundusze używane są do akcji w Polsce może mieć bowiem przełomowe znaczenie.

Innym źródłem finansowania – niemal pewnym – są pieniądze pochodzące od międzynarodowego gracza finansowego George Sorosa. Tu – wnioskuje tylko na przykładzie finansowego zaangażowania Sorosa w „Gazetę Wyborczą” – sprawa wydaje się pewna. „GW” bowiem, bez wątpliwości, wykorzystywana jest do podżegania w kierunku siłowego przewrotu.

Wnioskuje dalej zastanawiam się nad zbiórkami publicznymi zapowiadanyymi właśnie przez liderów tzw. „opozycji”.

Kto jest w stanie precyzyjnie wyliczyć ile pieniędzy wpłynie do kasy „puczystów” od zwykłych zwolenników?

Czy zatem nie jest to jedynie zasłona dymna, jedna z metod prania „brudnych” – bo pochodzących od Sorosa – pieniędzy?

Kontrole finansowe już powinny wyjaśnić źródła finansowania tzw. „spontanicznych manifestacji”. Wykrycie – w tym wypadku – np. „Smurfingu” powinno natychmiast spowodować śledztwa zarówno finansowe, jak też te związane z podejrzeniem zdrady stanu. W działania są bowiem zaangażowani prominentni polscy politycy.

Oczywiście po lekturze tego tekstu zaraz pojawi się fala hejtu odsądzająca mnie od rozumu, niestety podejrzewam, że i ona będzie – w części – inspirowana przez pieniądze ukrytych płatników, którzy domagają się wreszcie realnych efektów działania od finansowanych przez siebie organizacji i osób.

WITOLD GADOWSKI

Z Paryża na Wawel



Juliusz Słowacki zmarł 3 kwietnia 1849 roku w Paryżu. Pochowany został na cmentarzu Montmartre. W 1909 roku, w setną rocznicę urodzin Słowackiego, podjęto starania o sprowadzenie jego prochów do ojczyzny i pochowanie na Wawelu. Inicjatorzy przedsięwzięcia uzyskali zgodę na ekshumację od władz francuskich, ale na przeszkodzie stanęła decyzja kard. Jana Puzyny z Krakowa, który odmówił pochówku wieszczą w krypcie wawelskiej. Ponowną decyzję o sprowadzeniu Słowackiego do Polski podjęła Rada Ministrów 7 marca 1927 roku.

Ekshumacji dokonano 14 czerwca, po czym trumnę z prochami poety przewieziono ulicami Paryża w uroczystym kondukcje i przetransportowano do kraju na pokładzie ORP „Wilia”, a dalej Wisłą, z Gdańska do Warszawy na statku „Mickiewicz”, który zatrzymywał się w licznych portach rzecznych, gdzie miejscowa ludność składała hołd wieszczowi. 27 czerwca statek przybił do przystani w Warszawie, skąd orszak pogrzebowy przeszedł ulicami stolicy do katedry św. Jana. Nazajutrz przewieziono trumnę Słowackiego na Dworzec Główny, skąd wyruszył pociąg do Krakowa.

28 czerwca na dziedzińcu zamku na Wawelu odbyła się uroczysta ceremonia pogrzebowa. Na jej zakończenie Józef Piłsudski wypowiedział wielokrotnie cytowane słowa: „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królem był równy”. Prochy poety zostały złożone obok Adama Mickiewicza na Wawelu.

ALICJA SZÓSTKA

W czerwcu minęła 90. rocznica uroczystego sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego do kraju. Z tej okazji z inicjatywy Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawiskach, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Archikonfraterni Literackiej, uczczono to wydarzenie w warszawskiej archikatedrze i przed pomnikiem na Placu Bankowym.

To dziwne, Mamo moja że ja, [...] spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereśsenki, która ocieni grób Babuni... O, gdyby tak było!...” [...] Czy na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni nie będzie mi spokojniej? [...] Ten zaś, [nagrobek] który tu wyrysowałem, zdaje mi się pięknym. [...] Chciałbym, ażeby w ściany wmieszać kilka ułamków naśladowanych z kolumn – żeby się ten grób wydawał jakby z gruzów i z kamieni ułożony”. Tak pisał Juliusz Słowacki w listach do Matki pragnąc, aby po śmierci prochy jego wróciły do ukochanego Krzemieńca.

Poeta zmarł w osamotnieniu w Paryżu, ale marzył: „Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie – a kiedy przyślą tutaj wygrzebać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą, i zaniósą do mojej ziemi”.

Po pogrzebie, jego przyjaciel Feliks Szczyński w jednym z listów donosił: „Garstka rodaków odprowadziła go do grobu. [...] tylko grudki ziemi, ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mieszając się z ponurym śpiewem kapłana”.

Rok 1927

Ogół społeczeństwa wypowiedział się, że jedynym miejscem gdzie może spocząć „Król – Duch” jest Wawel.

Uroczystości związane z ekshumacją rozpoczęły się w Paryżu 13 czerwca 1927 roku. Wieczorem, 26 czerwca, prochy wieszczą docierają do Warszawy, aby następnego dnia, po uroczystej mszy św., odprawionej w katedrze warszawskiej przez kard. Aleksandra Kakowskiego, w czasie której kazanie wygłosił ks. prof. Szlagowski – rektor Uniwersytetu Warszawskiego, podążać w ostatnią drogę do krypty królewskich na Wawelu.

Podczas uroczystości pogrzebowych w Warszawie, prezydent miasta Władysław Jabłoński mówił: „Warszawa [jest] tym miastem, gdzie poczyna się Jego twórczość mająca wznieść się na wyżyny geniuszu. [...] Myśl Jego niejednokrotnie zwracała się ku polskiej stolicy. Rozumiał Słowacki, że stolica jest ogniskiem, gdzie skupiają się wszystkie usiłowania, dobro kraju mające na celu, dlatego szukał tematu do swojego Kordiana w warszawskich wypadkach”.



90. rocznica powrotu Słowackiego do Ojczyzny



FOT. © MACIEK BOCIANKI / ML

Przemawiając w imieniu Narodu Polskiego, u stóp kolumny Zygmunta na Placu Zamkowym, prezydent Ignacy Mościcki stwierdził: „Poryw serdecznego wzruszenia, hołd jednomyślny tysięcy od Bałtyku do Karpat, od Wilii aż po rodziną dla poety Ikwę, świadczy, że Naród cały w fakcie odzyskania dla ziemi naszej najdosłowniejszych prochów widzi i czuje znamiona głębokiego znaczenia. Czyny bowiem przede wszystkim akt sprawiedliwości w stosunku do wielkiego Człowieka, którego los wydał na tułaczkę, cierpienia, wygnanie i nędzę. [...] Chwałę Juliusza Słowackiego wplatamy jak najcenniejszy brylant w diadem polskiej chwały. Dumny jestem za mój Naród, idący w potężnym odruchu zbiorowego hołdu i stwierdzający tem samym [...], że bez czei dla wielkości nie ma potęgi państwa”.

Rok 2017

90 lat później, w archikatedrze warszawskiej odprawiona została w intencji wieszczą msza, którą celebrował bp Michał Janocha – przewodniczący Rady Episkopatu ds. Kultury i Ochrony Dziedzictwa Kulturowego. W homilii mówił słowami poety z listów do Matki o związku miłości do Ojczyzny i odkrywaniu Pana Boga w czasie pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Biskup przytoczył fragment, w którym poeta pisał: „O drugiej w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą na intencję mojej kuzynki, a ja klęcząc na tym miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: «Nie ma go tu, zmartwychwstał!» słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy znużony poszedłem do klasztoru i spałem

snem dziecka, które się zmęczy łzami” (Bejrut, 19 II 1837). „Kuzynka” – w intencji której poeta modlił się przy Grobie Pańskim – była Ojczyzną, o której po Powstaniu Listopadowym nie można było otwarcie mówić.

Ta noc u Grobu Pańskiego dała owoc, o którym Słowacki pisze Matce w kolejnym liście: „Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze [ormiańskim Bethesban na górze Libanu] i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita ofiarując mi się za spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie naleganie tyle sprawiły, że wypowiadałem się z wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklękłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ra-

mieniu i rzekł: «Idź w pokoju: Twoja wiara zbawiła ciebie»” (Na morzu, 14 VI 1837).

Na zakończenie liturgii odczytano list marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, w którym znalazły się słowa: „Utwory wielkiego romantycznego poety dla wielu pokoleń Polaków stanowiły duchową inspirację w walce o odrodzenie Państwa Polskiego. [...] To romantyzm najwyższej próby, a zarazem dzieło świadczące o wielkości polskiej kultury i jej najgłębszym związku z naszymi odczuciami, doświadczeniami i czynami”.

Następnie złożono kwiaty pod tablicą Juliusza Słowackiego, wmurowaną w archikatedrze warszawskiej, a równo w południe złożono wieńce u stóp pomnika wieszczą na Placu Bankowym – znajdującym się przed kompleksem budynków, w których poeta pracował w czasie swojego pobytu w Warszawie.

JÓZEF T. BALISZEWSKI



FOT. © MACIEK BOCIANKI / ML

Camino, Światło, Łąka – ZNAKI



FOT. © ELECTATRAVELS.COM

Jeśli fani gatunku oglądali kiedyś „Konwój”, świetny film Sama Peckinpaha z 1978 roku, to może przypomną sobie wypowiedzianą przez jednego z bohaterów kwestię: „celem konwoju jest być w ruchu”. Takie było motto szalonej podróży „Kaczki”,

kierowcy wielkiej ciężarówki (w którego wcielił się Kris Kristofferson), uciekającego przez kilka stanów przed każącą ręką wrednego szeryfa. Parafrazując to powiedzonko, można powiedzieć, że celem pielgrzyma jest nie tylko być w ruchu, ale przede wszystkim podążać do celu.

Pielgrzym nie idzie przed siebie tylko, żeby iść, zapatrzony w linię horyzontu, poddając się jej złudnej perspektywie. Pielgrzym spogląda wyżej, podąża drogą wiary, będącej jego życiem i przeznaczeniem. Chce jej dotknąć, poczuć, zwłaszcza w miejscu, które w jego przekonaniu jest tej wiary źródłem. Czasami jednak po przybyciu do celu podróży może poczuć niedosyt, nawet rozczarowanie, co często się zdarza, gdy konfrontujemy marzenia i oczekiwanie z rzeczywistością i spełnieniem. Czasami jednak dar wiary dopadnie i przepelni wędrującego na długo przed dojściem do celu, gdzie całkiem w pół drogi. Nagle i niespodziewanie. Ale nikt nie zawraca. Idzie się dalej. Do celu.

CAMINO

Kiedy pada to słowo, wiadomo, że może chodzić tylko o jedną drogę – Świętego Jakuba. Rzadko które miejsce tak mocno związane zostało ze szlakiem, do niego prowadzącym. Jest tyle dróg do Composteli, a każda z nich inna – dłuższa, krótsza, łatwiejsza, trudniejsza.

Gdy rano budzę się na czwartym piętrze przydrożnego hotelu w Padron i uchylam żaluzję, do pokoju wlewa się rześkie powietrze i bladoróżowe światło poranka. Z pobliskiej szosy słychać przejeżdżające samochody. Na wprost okna ogromne drzewo z czerwonymi owocami przypominającymi kasztany, ale moją uwagę przyciąga człowiek przemierzający chodnik, tuż za ogrodzeniem. Wędrowiec z niewielkim plecakiem, ubrany sportowo, dość staroświeckim, niemarkowym stylu, szedł zwawo, wspierając się na charakterystycznym drewnianym kosturze. To pierwszy prawdziwy pielgrzym, którego zobaczyłam na szlaku do nieodległego Santiago de Compostela.

Właśnie gdzieś na brzegu w pobliżu Padron miała wylądować łódź – jak chce legenda – bez wiosła, ale za to w asyście aniołów. Inna wersja, bardziej racjonalna, głosi, że ciało apostoła Jakuba dowieźli tu jego uczniowie, prosząc lokalną władczynię o imieniu Lupa, aby pozwoliła pochować mistrza. Pamiętajmy, że śmierć Jakuba nastąpiła w Jerozolimie w roku 44. Dalším wypadkom towarzyszyły niezwykle okoliczności. Ostatecznie ciało apostoła spoczęło w Santiago de Compostela, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza, u Świętego Jakuba z gwiazdowego pola. Grób odkryto w roku 813. I wtedy się zaczęło. Miasto stało się trzecim co do liczby przybywających pielgrzymów, mam tu



FOT. © DAMIAN CORRIGAN / TRIPSAVVY.COM



na myśli chrześcijan, ośrodkiem kultu religijnego, zaraz po Jerozolimie i Rzymie.

Ciekawe, cóż tak ciągnie ludzi, aby pewnego dnia wziąć tobolek, zatrzasnąć drzwi i ruszyć w drogę. Decyzja podszyta jest w równym stopniu religijnością co romantyzmem. Niektórzy mówią o realizacji marzeń, pokonywaniu słabości, zmaganiu się z samym sobą. Dla innych to dziękczynienie, lub przebłaganie. Wszystko to prawda. Ostatecznie ważny jest cel i dotarcie do grobu św. Jakuba. A może to, co naprawdę się liczy to sama droga i wszystko, co w czasie tej wędrówki przeżyjemy. Można przestudiować setki pielgrzymich opowieści, tych zapisanych w prastarych annałach, i tych wyklikanych dzisiaj na niezliczonych blogach, opatrzonych tysiącami zdjęć, i znaleźć różne odpowiedzi. Przereklamowana powieść Coelho niewiele wyjaśni. Jeśli szukasz odpowiedzi musisz się zmierzyć z Camino sam. Co nie oznacza, że trzeba iść samotnie.

„Synowie Gromu”, Jakub zwany Większym lub Starszym i jego brat Jan, zanim poszli za Panem, byli zwykłymi rybakami znad jeziora Genezaret. Aż trudno pojąć, jak wokół św. Jakuba powstał tak głęboko nasycony wiarą kult, kiedy większość z tego, co o nim wiemy, poza przekazem z Nowego Testamentu, to nieledwie legendy, w których pełno jest o tak niezwykłym wydarzeniach, jak cudowne ożywienie niesprawiedliwie podejrzanego o kradzież i powieszonoego pielgrzyma, nie mniej cudowne przyplnięcie morzem ciała apostoła do Hiszpanii, czy wsparcie Karola Wielkiego w bitwie pod Clavijo (844), kiedy to Święty dosiadając białego rumaka miał w czasie bitwy zmusić Maurów do ucieczki. A jednak do miejsca, w którym w latach 1075-1128 wzniesiono imponującą bazylikę, od wieków, praktycznie już od VIII wieku, pielgrzymują nieprzeliczone rzesze pielgrzymów z całej Europy, aby oddać cześć apostołowi, przytulić się do jego posągu usadowionego uroczyscie w głównym ołtarzu świątyni, zyskać odpust zupełny, a przynajmniej osobistą satysfakcję, bo powiedzmy szczerze do Santiago de Compostela prowadzi ludzi nie tylko religijne pobudki.

Wprawdzie ruch pątniczy trwa przez cały rok, ale najwięcej ludzi pojawia się tu w dniu św. Jakuba, 27 lipca. Wtedy nie łatwo jest

się dostać do monumentalnego kościoła, aby być świadkiem uruchomienia ogromnej kadzielnicy, będącej jednym z symboli Santiago, którą rozkołysać musi kilku mężczyzn. Nasza grupa bezkolizyjnie zwiedziła usytuowana na wzgórzu katedrę, arcydzieło hiszpańskiej architektury romańskiej, zaliczając uściskanie św. Jakuba i zejście do miejsca pochówku apostoła w podziemiu, tuż pod ołtarzem. Nasi pielgrzymkowi księża odprawili mszę w kaplicy św. Marii Pilar.

Madonna del Pilar jest patronką Hiszpanii i wszystkich krajów języka hiszpańskiego. 12 października, dzień jej dedykowany, jest świętem narodowym Hiszpanii. Największa świątynia poświęcona jej właśnie znajduje się w Saragossie. Ale Maryja, jeszcze za swego życia, miała ukazać się, w sposób cudowny, Jakubowi borykającemu się z ewangelizacją pogan na półwyspie iberyjskim, żądając od niego wzniesienia świątyni w Saragossie. Kaplica w Composteli upamiętnia to wydarzenie.

Nie sposób wyjechać z Composteli nie nabywając słynnej muszli przegrzebka, którym oznakowany jest szlak Jakubowy. Przegrzebek to także przysmak w miejscowych restauracyjkach. Trudno sobie odmówić tej niewinnej przyjemności. Znakomicie komponuje się z wytrawnym białym winem. W końcu kraj poznajemy również poprzez nasze podniebienie.

ŚWIATŁO

Do Fatimy dojechaliśmy z Lizbony. Zdążyliśmy wrzucić bagaże do pokoju, zjeść kolację i popędzić na nabożeństwo różańcowe. Była sobota i na placu, nie tylko przy kaplicy, ale w całej niecce łączącej stary kościół na wzgórzu z nowoczesną bazyliką na przeciwstawnym krańcu falowało morze płomyków świec i lampionów.

Zmęczenie po całodziennym podróży, myśl, żeby o jakiejś przyzwoitej porze trafić do łóżka sprawiła, że nie czułam modlitewnego zaangażowania. Wokół rozlegał się chór „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo” we wszystkich nieledwie językach świata, przerywany śpiewem, a ja bardziej skupiałam się na oglądaniu otoczenia, ludzi, próbując dopasować obrazy do wyobrażeń, jakie miałam o tym miejscu.

Co jakiś czas sanktuarijni strażnicy przesuwali nas raz w prawo, raz w lewo, aby ustąpić miejsca przesuwanym się na kolanach w kierunku kaplicy ludziom. W większość były to kobiety, przeważnie młode kobiety, same, lub w asyście siostry, kuzynki bądź przyjaciółki. Matkom towarzyszyły dzieci. Trochę rozbawił mnie widok mężczyzny, pewnie męża, asystującego podążającej na kolanach niewieście. Troskliwie ścisnął jej torebkę. Zdarzały się całe rodziny wspólnie pokonujące ten szlak, wcale nie łatwy. Zdarzały się też same dzieci. Mężczyzn za wielu nie widziałam. Może pokutowali po nocy.

Kulminacyjną częścią wieczornego nabożeństwa była procesja. W pewnej chwili strażnicy sprawnie rozdzielili tłum na dwie części tworząc drogę na przejście jasnej figury Matki Boskiej. Zza ołtarza wynurzyła się grupa mężczyzn niosących na ramionach posąg Maryi spowity kwiatami. Poprzedzali ją księża, chyba wszyscy, którzy danego dnia przebywali w Fatimie. Uroczyscie niesiono flagi, w tym dwie lub trzy polskie. Największe wrażenie robił jednak imponujący gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych. Po chwili Maryja płynęła ponad tłumem w powodzi świateł. Ze schodów starego kościoła niczym połyskujący wodospad zaczęły spływać płomienie lampionów. „Ave, ave, ave Maria” i ruszyliśmy w kierunku zawieszonoego przed nową bazyliką, połyskującego matowym światłem różańca. Na pogodnym tle nieba srebrzył się młody księżyc.

Ciąg dalszy na s. 42 →

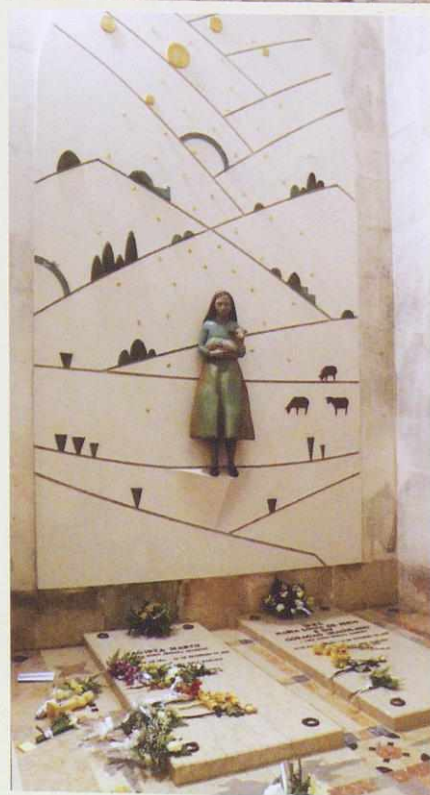




FOT. © BOŻENNA ULEWICZ, 2017



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2013



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2013

→ Ciąg dalszy ze s. 41

Wszyscy poszukują prawdy o Fatimie, zwłaszcza o jej tajemnicach. Zastanawiamy się nad sensem objawień, ich znaczeniem, usiłujemy zrozumieć dlaczego właśnie tu, dlaczego przydarzyło się tym, a nie innym dzieciom. I dlaczego Maryja dla swych objawień wybiera najczęściej dzieci, albo ludzi prostych. Dzieciństwo to nie tylko niewinność, to także ufność i przyjmowanie bez zastrzeżeń faktów, które przeciętny dorosły już by parokrotnie zważył, wymierzył i na koniec poddał w wątpliwość śpiesząc się do pracy lub świeckich rozrywek. Nie należy się zatem dziwić, że to właśnie dzieciom Matka Boża przekazuje swoje w gruncie rzeczy nieskomplikowane prośby, czasami – jak w przypadku Fatimy – dodając do tego szersze przesłanie.

Siostra Łucja, ostatnia z trójki dzieci, której dane było dożyć sędziwego wieku, umarła mając ponad 90 lat. Większość dorosłego życia przeżyła w klasztorze karmelitanek w Coimbrze, mieście słynnym



z uniwersytetu, śpiewaków fado i św. Izabeli, której grób znajduje się w ufundowanym przez portugalską królową klasztorze klarysek. Zmarła w lutym 2005 roku Łucja czeka na beatyfikację. Czy to przypadek, że niespełna dwa miesiące później odszedł do Boga papież Jan Paweł II, którego losy wprzegły się w tajemnice fatimskie. W nowoczesnym muzeum wizjonerki można obejrzeć przedmioty, których używała – habit, różaniec, maszynę do pisania, wzruszającą starutką walizeczkę, z którą przybyła do klasztoru i której pewnie nie często używała.



FOT. © K. PAKULNICKI / PRIO

Naturalnym dopełnieniem wizyty w Fatimie jest wyjazd do Aljustrel, miasteczka, a przed stu laty ubogiej wioski, w której żyły rodziny Marto i dos Santos. Pielgrzymi i turyści z trudem przeciskają się przez niewielkie pomieszczenia domostw, w których przyszli na świat mali wizjonerzy – Łucja, Hiacynta i Franciszek, dziwiąc się jak mogły się pomieścić tutaj liczni członkowie ich rodzin. Po zwiedzeniu rozpięchają się po okolicznych sklepikach. Nie można stąd wyjechać, zwłaszcza w tym roku, bez pamiątki – różańca, figury Matki Bożej czy magnesu na lodówkę z wizerunkami małych świętych. Pomysłowość producentów nie zna granic.

W 2017 roku papież Franciszek kanonizował dwójkę najmłodszych, najwcześniej zmarłych. Pochowano ich w starym kościele, bazylice Matki Bożej Różańcowej, nie epatującej przepychem, stanowiącej dobry przykład piękna i umiaru. Tu również spoczęła Łucja. Nowa bazylika pw. Trójcy Przenajświętszej to połączenie kilku stylów. Miejscami przypomina halę sportową. Zapamiętałam piękną, złocistą mozaikę, nawiązującą do tej z Ravenny, z ukrzyżowanym Chrystusem w głównym pomieszczeniu oraz poczekalnię dla oczekujących spowiedzi penitentów z elektronicznymi tablicami wyświetlającymi kolejność do poszczególnych konfesjonałów. Jak na poczie, albo lotnisku. Kaplica Najświętszego Sakramentu wyciszała wcześniejsze wątpliwości i zaskoczenie.

ŁĄKA

Nie pamiętam, ile już razy byłam w Gietrzwałdzie jako pielgrzym zbiorowy bądź indywidualny. Było tego trochę. Nie zawsze we wrześniu, kiedy w pierwszą niedzielę po 8 września z Olsztyna, Ostródy, Olsztynka na szosy wylegają idące czwórkami szeregi pielgrzymów z nieodłącznym krzyżem

i tabliczką na czele każdej grupy, oznaczającej miejscowość i parafię. Brzęczą gitary, mieszają się różne pieśni, co jakiś czas grupa wycisza się poddając rytmowi różańca.

Dla mieszkańców Warmii i Mazur Gietrzwałd to prawie codzienność. Miejsce, dokąd łatwo dotrzeć, które trudno pominąć przejeżdżając 16-tką, z której roztacza się ładny widok na miejscowość. Trzeba przyznać, że Matka Boża wybiera ładne miejsca dla swoich objawień. Tak się złożyło, że 27 czerwca 1877 roku wypatrzyła sobie Gietrzwałd, zanurzony w lasach, wmoszczony łąkami, których zieleń trawy miesza się z gorąco żółtymi mleciami. W tej małej wsi na pograniczu zachodniej Warmii dostrzegła dwie nastolatki – Justynę Szafrzyńską i Barbarę Samulowską.

W czasach coraz ostrzej wdrażanego Kulturkampfu Maryja rozmawiała z Warmiaczkami w ich, polskiej, mowie. Było to poniekąd polityczne wystąpienie, bo

objawienia gietrzwałdzkie obudziły poczucie polskości na Warmii i nadzieje na wywołanie wyzwolenia ojczyzny z zaborów. Ale i w tym objawieniu najważniejszy był różaniec, nawoływanie do modlitwy, pokuta za grzechy. Trudne wyzwanie dla ludzi XXI wieku, kiedy wszyscy z założenia czują się rozgrzeszeni z wszystkiego. Aborcja? Proszę bardzo, a cóż w tym złego? Eutanazja? Już się robi. No problem. Zdrada małżeńska? Po prostu trendy. I tak dalej. Na co komu 10 przykazań, które tylko drastycznie ograniczają wolność jednostki.

Nie jestem odosobniona w poglądzie, jak wiele świat i ludzkość zawdzięczają modlitwie różańcowej. Tej odmawianej cichutko przez ludzi starych i chorych. Tej wypowiedzianej jak mocne świadectwo wiary przez tłumy w Fatimie, Composteli, Gietrzwałdzie. 9 września 2001 roku szłam z pieszą pielgrzymką właśnie do Gietrzwałdu. Cały czas miałam przekonanie, że trzeba modlić się ze zdwojoną mocą. Wydawało mi się, że tak właśnie tego dnia się modlono. Jestem przekonana, że siła tej modlitwy sprawiła, że 11 września nie zakończył się jeszcze bardziej tragicznie. A tak właśnie mogło się wydarzyć.

I jeszcze jedno. Szkoda, że z narracji o gietrzwałdzkich objawieniach została wykluczona Justyna Szafrzyńska. Mam tu na myśli jej dalsze losy. Wiemy, że zrezygnowała z bycia zakonnicą, że wyszła za mąż, osiadła bodajże w Westfalii. Jeśli była dobrą żoną i matką, jeśli była dobrym człowiekiem, nie można jej wykluczać z tej niezwyklej historii. A nawet, jeśli zdarzyło się pobłądzić na niełatwych ścieżkach życia, pamiętajmy, że jej pierwszej ukazała się Matka Boża i to także do niej spłynęły słowa: „Życzę sobie, abyście codziennie odmawiali różaniec!”.

BOŻENNA ULEWICZ



FOT. © SANTUARIUMMARVINE.PL

Sto lat temu, 8 listopada 1917 roku, urodził się w Olsztynie. Był prozaikiem, dziennikarzem i reportażystą. Żył na emigracji; od roku 1952 pracował jako dziennikarz Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Jako były więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, często poruszał w swej literackiej twórczości problematykę polsko-niemieckich obrachunków historycznych.

Tadeusz Nowakowski rozślawił Olsztyn jako Tadeusz Olsztyński, stąd m. in. Rada Miasta 10 września 1991 roku nadała redaktorowi tytuł „Honorowego Obywatela Olsztyna”. Do dzisiaj – w odróżnieniu od Bydgoszczy – zmarły w 1996 roku red. Nowakowski nie doczekał się ulicy swego imienia w mieście, w którym przyszedł na świat. Zatem Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w bieżącym roku – ogłoszonym Rokiem Tadeusza Nowakowskiego – wystąpił z taką propozycją.

11 września br. prezes Oddziału wystosował pismo do wojewody warmińsko-mazurskiego, w którym m. in. stwierdza:

„Szanowny Panie Wojewodo, w imieniu Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zwracam się uprzejmie z prośbą o uwzględnienie w planach zmian nazw ulic w Olsztynie postaci Tadeusza Nowakowskiego (1917-1996) – dziennikarza, pisarza, publicysty, Honorowego Obywatela Miasta Olsztyna, którego 100. rocznica urodzin przypada w bieżącym roku.

Wydaje się, że najlepszą propozycją byłoby nadanie imienia Tadeusza Nowakowskiego ulicy Wyzwolenia (o ile będzie kontynuowana procedura zmiany nazwy), przy której rodzina Nowakowskich mieszkała do 1920 roku. [...] Żurnaliści Warmii i Mazur uważają, że nazwanie ulicy Jego imieniem będzie wyrazem wdzięczności za to, co zrobił dla Polski żyjąc na emigracji i pracując jako dziennikarz Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa”.

Kontynuując zamysł żurnalistów olsztyńskich przybliżenia postaci Tadeusza Nowakowskiego oraz jego twórczości, niniejszym



publikujemy tekst Piotra Lisiewicza, który przed laty ukazał się na łamach kwartalnika „Nowe Państwo”. Oryginalne spojrzenie autora tekstu na oryginalnego człowieka i dziennikarza, warte jest przypomnienia.

Redaktor naczelny

Pisarze, dzielcie się!

Myślisz, że jak twój ojciec ma jadłodajnię, to ci już wszystko wolno? Gównu ci zaś wolno! – krzyknął starszy sierżant Kaczmarek. – Gównu mi zaś wolno! – odkrzyknąłem radośnie. – Nie gadaj tyle! – Ku chwale ojczyzny panie sierżancie!” – wspominał wojenny dialog z przełożonym Tadeusz Nowakowski. Choć ojciec jego nie miał jadłodajni, wymieniona w rozmowie z sierżantem ojczyzna zaprowadzić miała go wkrótce do więziennej celi, a potem na emigrację, do Wolnej Europy i w otoczenie polskiego Papieża.

Mistrz satyry i anegdoty. Jeden z najwybitniejszych pisarzy i krytyków polskiej emigracji, znany z ostrego pióra. Człowiek skazany na karę śmierci zamienioną na 30 lat więzienia za próbę oderwania Wielkopolski od Niemiec. Milionom Polaków znany przez lata pod pseudonimem Tadeusz Olsztyński – jeden z najbardziej rozpoznawalnych głosów radia Wolna Europa. Wreszcie – osoba z najbliższego otoczenia Jana Pawła II.

Dziś pamiętają o nim tylko nieliczni. Julian Kornhauser, pisząc w „Odrze” o Nowakowskim, alarmował: „Przez długie lata nieobecny w Polsce ze względu na pracę w Wolnej Europie. Nie wznawia się jego książek, brakuje jakichkolwiek opracowań”.

Szkoła, czyli koszmarny zakład karny

Tadeusz Nowakowski urodził się 8 listopada 1917 roku w Olsztynie. Ale już mając trzy lata musiał z tego miasta uciekać. Jego ojciec Stanisław był bowiem redaktorem „Gazety Olsztyńskiej”, zasłużonym dla sprawy polskości Warmii i Mazur. Dlatego po przegranej przez Polaków plebiscycie ścigany był pod zarzutem „zdrady stanu”. Wyjechał do Bydgoszczy, gdzie zaczął pracę w redakcji chadeckiego „Dziennika Bydgoskiego”.

„Ojciec mój był «panem redaktorem». Matka – «panią redaktorową». Ja zaś – synkiem redaktora. To dawało określone przywileje” – wspominał później Nowakowski. Choćby w teatrze. „Ludziom tak znakomitym należały się, rzecz prosta, fotele w pierwszym rzędzie. Pierwszą «straszną» sztuką obejrzaną w teatrze byli «Krzyżacy». Tym bardziej, że Krzyżak zamierzył się halabardą prosto na fotel nr 8!”.

Ale bodaj jeszcze straszniejszą instytucją dla przyszłego pisarza była szkoła. „Byłem najgorszym uczniem z matematyki w dziejach naszego zakładu” – napisze. Pisarską zemstę wywrze na osobie jej dyrektora, pisząc o kierowanej przez niego placówce: „Była zakładem karnym, domem poprawy i żelaznego terroru wymyślonego przez jednego, jakże okrutnego człowieka”. A także: „to koszmarnie uczucie kontroli

policyjnej zerkającej zza pleców, nawiedza mnie w złych snach po dziś dzień”.

Pewną osłodą była jednak osoba polonisty: „Franciszek Stopa nachylał się nad najgorszym grafomaństwem z miłością, jak mądry lekarz nad kalekim dzieckiem”.

Czy generał może się urząnąć

Oprócz nauki uczniowie uczestniczyli w kursach dla podchorążych. Nowakowski obok nauczycieli wieczni także postać prowadzącego zajęcia sierżanta Kaczmarka, miłośnika wojska, wroga cywilów, który ubzdurał sobie, że Nowakowski jest synem właściciela jadłodajni. Pewnego razu sierżant usłyszał przypadkiem, jak żołnierze rozmawiają, iż pewien generał przemawiał w czasie regat wioślarskich urzęnięty w sztok. – Niech kapral sobie zapamięta, że pan generał nie urzyna się, zrozumiano? – pouczył ich. Następnego dnia podyktował żołnierzom do kajetów tabelkę „do poufnej wiadomości”, zawierającą właściwie zwroty: strzelec – uchlał się, kapral – urząnął się, plutonowy – był pod gazem, sierżant – upił się, starszy sierżant – wstawił się, panowie oficerowie – byli na „jednym”, wyżsi panowie oficerowie – podochołci sobie, pan generał – był w dobrym humorze, wódz naczelny – nie pije w ogóle.

W Bydgoszczy Nowakowski przeżył też swą pierwszą miłość. Była nią „jedynaczka najbogatszego obywatela miasta”. Uczeń Franciszka Stopy poświęcił jej swój pierwszy wiersz, w którym obiecywał dla niej „potopić starców, dzieci i kobiety”, a także „kopać grubasów, rabować ich mienie, kościół podpalić, otworzyć więzienie”.

Ukształtowało go także przedwojenne harcerstwo, w którym nauczył się maszerować w „porzundnym szyku” i które w przyszłości stało się jednym z tematów najzabawniejszych polemik z autorem stwierdzającym, że „nie ubóstwia harcerstwa, odkąd pewien 14-letni harcerz zgwałcił 70-letnią staruszkę na podchodach”. „Ale ilu nie gwałciło!” – replikował Nowakowski.

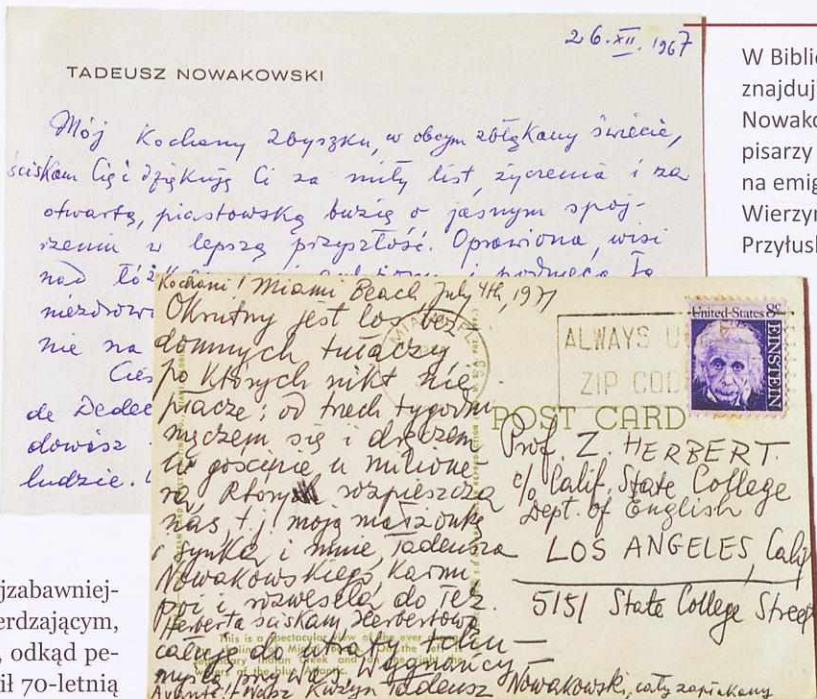
Przybyli prawdziwi Krzyżacy

W 1939 roku Nowakowski rozpoczął studia na filologii polskiej w Warszawie. Dla Bydgoszczan była to data szczególnie tragiczna. Wspominając pierwszą obejrzaną w teatrze sztukę, Nowakowski napisze: „Do miasta przyszli prawdziwi krzyżacy. Spalili teatr. Pozabijali garderobiane, bileterów i zamęczyli recenzenta. Wymordowali tych z galerii i tych z pierwszego rzędu”. W Dachau zginął jego ojciec.

We wrześniu 1939 roku Tadeusz Nowakowski zgłosił się na ochotnika do wojska i trafił do pułku stacjonującego we Włocławku. Przeszedł cały szlak bojowy aż do Warszawy. Spotkał na nim owego sierżanta Kaczmarka, od którego usłyszał, że „gówno mu wolno”, a wojna jest przegrana.

Potem zaangażował się w konspirację. W 1940 roku aresztowany został przez gestapo za „chęć oderwania Wielkopolski od Trzeciej Rzeszy”. Został skazany na karę śmierci zamienioną na 30 lat więzienia – siedział m. in. w Inowrocławiu, Zwickau, Dreźnie i Vogelsang.

Po zakończeniu wojny trafił do obozu dla dipisów, czyli ludzi wysiedlonych ze swoich krajów przez Niemców, którzy nie mogli do nich powrócić, bo wpadły w ręce Sowieców. Obóz ten mieścił się w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Papenburgu, na granicy niemiecko-holenderskiej. To ten okres życia Nowakowskiego stanie się dla pisarza kanwą jego najbardziej znanej powieści *Obóz Wszystkich Świętych*. *Leksykon powieści polskich XX wieku* wymienia ją wśród 63 największych polskich powieści stulecia. Dzieje głównego bohatera książki, Stefana



W Bibliotece Narodowej znajdują się listy Tadeusza Nowakowskiego do innych pisarzy przebywających na emigracji: Kazimierza Wierzyńskiego, Bronisława Przytuckiego, Aleksandra

Janty-Polczyńskiego, Pawła Jasienicy i Zbigniewa Herberta.

FOT. © BIBLIOTEKA NARODOWA

młodego czytelnika w Polsce, niechaj westchnie życzliwie nad nami dziwakami, którzyśmy załudniali ten ogród wiszący nad krajem, egzotyczny bo egzotyczny, ale chyba

dziwnie znajomy i bliski” – pisał. Co nie oznaczało, że był wobec emigracji bezkrytyczny. „Przypomina mi się w takich chwilach jęk tej ministrowej na zaleszczyckim moście, która zawołała: „Straciliśmy ojczyznę i wszystkie nasze meble” – pisał.

Szereg uwag Nowakowskiego poświęconych twórczości przyjaciół ma wartość uniwersalną. O Juliuszu Słowackim pisze: „Zwięzłość stylu to zaleta nieczęsto spotykana wśród rodaków. Dziedzictwo sarmackiego rozgdakania, barokowej ornamentacji, młodopolskiej rozlewności robi swoje. Nie wynaleziono u nas jeszcze penicyliny na niejasność, sztuczność, pseudouczzone mętniactwo”.

O Zdzisławie Czernańskim, satyryku, o którym ktoś wyraził się troszkę lekceważąco, że jest „mistrzem wagi piórkowej”:

„Lepsza waga piórkowa niż biurkowa”.

Gdy emigrantów spotykały brutalne ataki prasy reżimowej, nie było bardziej drapieżnego polemisty od Nowakowskiego. Czynił takie np. porównanie: „Opowiadano mi niedawno w Ameryce, że utalentowany pisarz peruwiański, Mario Vargas Llosa, który w powieści *Miasto i psy* w gwałtownych słowach skrytykował stosunki panujące w swej ojczyźnie, a więc «pokalał własne gniazdo», poniósł zasłużoną karę: rozstrzelano go in absentia. Egzekucja zbrojczy na przedmieściach Limy nosiła charakter symboliczny: oficer odpowiedzialny za wychowanie polityczne żołnierzy celnym strzałem z pistoletu przedziurawił przyklejoną do koszarowego muru podobiznę bluźniercy”. Porównanie owo dotyczyło ataków na Kazimierza Wierzyńskiego za tomik *Czarny Polonez*.

Wysoka Izba Tortur

W 1947 roku Nowakowski wyjechał do Anglii, gdzie wydał, rok później, tom opowiadań wojennych *Szopa za jaśminami*. Tom zrecenzowano w polonijnej gazecie w Buffalo. Recenzent napisał: „Dobrze się stało, że z okazji roku chopinowskiego Nowakowski napisał książkę: „Szopen za jaśminem”. Nie była to jedyna tego typu pomyłka, inny z recenzentów pochwalił z kolei książkę... „Łobuz Wszystkich Świętych”.

Nowakowski współpracował z BBC, redagował pismo „Polacy na świecie”, zaczął publikować w londyńskich „Wiadomościach”, paryskiej „Kulturze” i innych emigracyjnych pismach. Młodszy od większości najbardziej znanych postaci polskiej emigracji, stał się kronikarzem twórczości emigrantów. „Gdyby te kartki wpaść miały kiedyś w ręce

Ciąg dalszy na s. 46 →

→ Ciąg dalszy ze s. 45

Broniąc Wierzyńskiego, Nowakowski porusza ważną w jego twórczości kwestię stosunku Polaków do Żydów. „Wierzyński, wstrząśnięty haniebnym współnictwem władz PRL w burdzie politycznej przeciwko Izraelowi, pochyla głowę nad jerozolimską ścianą płaczu, Polak, który się wstydzi, to jeden z nielicznych przypadków w literaturze, kiedy wiersz poety staje się czynem politycznym. Dobrze, że Wierzyński tym związyłem, trzydziestym posłaniem od narodu do narodu przypominał światu, jakie są prawdziwe nastroje ubezwłasnowolnionego politycznie narodu” – pisze.

Nowakowski, skądinąd zdeklarowany i skuteczny krytyk politycznej poprawności, rozprawia się z rodzimymi antysemitycznymi stereotypami. Wspomina w tym kontekście emigracyjne opinie o tomiku Wierzyńskiego. „– Ależ, panie, co on tak tych Żydów broni? – mówił mi pewien rodak nad Tamizą, pod angielskim «edenem» stary polski kołtun ukrywający. – Do Jerozolimy się wybiera! Po ścianą płaczu chce się sumitować! Do czego to, panie, podobne?”. Nowakowski odpowiada: „Do najlepszych tradycji literatury polskiej podobne, swojski troglodyt”.

Obok *Obozu Wszystkich Świętych* Nowakowski jest też autorem powieści *Syn zadżumionych*, *Happy-end*, *Niestworzone rzeczy*, *Byle do wiosny*, *Wiza do Hrubieszowa* oraz *Nie umiera się w Miami*.

Stęskniony za Urbanem

W 1953 roku przeniósł się do Monachium. Od 1952 roku współpracował z rozgłośnią Radia Wolna Europa. Erudyta i znakomity mówca, Nowakowski w radiu występował pod pseudonimem Tadeusz Olsztyński. Olsztyński stał się na dziesięciolecie jednym z najbardziej znanych głosów radia. W latach 80. był zmdoną rzecznikiem rządu Jerzego Urbana, z którego kpił niemiłosiernie: „Już wkrótce ukażą się od dawna z utęsknieniem od Bałtyku po Beskidy oczekiwane dzieła zbiorowe Jerzego Urbana. Na łamach tygodnika „Polityka” można przeczytać wstęp samego autora do tego wydania, wstęp utrzymany w stylu życzliwym dla Urbana, i słusznie – bo któż potrafi bezstronnie ocenić własne sukcesy od bezpośrednio zainteresowanego? Falszywa skromność nie sprzyja teorii poznania”.

W 1966 roku Nowakowski napisał po niemiecku monografię rodu Radziwiłłów. Publikował w wielu niemieckich gazetach, m. in. „Die Zeit” i „Frankfurter Allgemeine Zeitung” oraz „Der Monat”.

Stał się ważną postacią także w niemieckim życiu kulturalnym, jako członek „Grupy 47” – najważniejszego literackiego ugrupowania powojennych Niemiec oraz Bawarskiej Akademii Literatury. W 1969 roku został nagorzony przez Konfraternię Artystyczną RFN.

Jako przedstawiciel rządu londyńskiego w RFN pomagał Polakom, których losy rzuciły do Niemiec. Jak wspominał w „Tygodniku Powszechnym” po śmierci Nowakowskiego Bronisław Mamoń, w stanie wojennym spotkał kogoś „chętnie służącego radą i niosącego pomoc, także materialną”.

U szefa obsługi naziemnej Pana Boga

„Dyrektor hotelu w Dublinie uroczyście przywitał mnie na progu, w czasie kolacji, a kapelmistrz oświadczył gościom na sali: Na cześć polskiego dziennikarza, który to-

Boga”, odwiedził. Książki pisane są językiem dalekim od kościelnego.

Nowakowski, który w swych książkach wręcz demonstracyjnie unika opowieści o swej przyjaźni z papieżem, był człowiekiem, który jak nikt inny potrafił rozśmieszyć swoimi anegdotami Jana Pawła II. Jak wspominał jego syn, gdy zamykał się z Ojcem Świętym na kwadrans, zza drzwi dochodził przez cały czas śmiech. Wielu – nie tylko komunistów, ale i hierarchów – było niezadowolonych z jego obecności przy Janie Pawle II. „Jak się pan tutaj znalazł?” – pytał niejeden, obawiając się, że obecność Nowakowskiego może zaszkodzić Kościołowi w oczach Breżniewa i... nawróceniu Rosji. „Prawem kaduka” – odpowiadał „papięski reporter”.

W książkach Nowakowski demonstruje dystans wobec towarzyszącego pielgrzymkom dyplomatycznego ceremoniału. „Nie lubię zawodowych katolików” – pisze. Dowiedziawszy się, że miejsca przed ołtarzem podczas pobytu Jana Pawła II na Filipinach kosztowały olbrzymią jak na tamte warunki kwotę 3000 pesos, Nowakowski notuje: „Jest jednak jakaś pociecha w domyśle, że na tamtym świecie miejsca nie będą już numerowane”.

Reporter papieża żartobliwie podchodzi też do kościelnej hierarchii. Komentując awans jednego z duchownych, przytacza anegdotę: „Cesarz Franciszek Józef, otrzymawszy do podpisu nominację prałata Kohna na biskupa Ołomuńca zapytał: Czy jest on przynajmniej ochrzczony?”

Sporo miejsca poświęca politycznej poprawności i atakom na papieża ze strony reformatorów Kościoła: „Oczywiście życie umysłowe zamarłoby bez prawa do krytyki. Wiemy, że Pontifex Maximus jest nieomylny tylko w sprawach wiary. A jednak teczka z pretensjami napawa mnie smutkiem: wypełniona jest uprzedzeniami”. To brak rzetelnych argumentów i powierzchowność opinii krytyków denerwują Nowakowskiego najbardziej: „Typ narkomana bożego, niebem odurzonego, ustąpił miejsca chętnie na szklanym ekranie parłującym bywalcowi w koloratce”. Pisarz przypomina, że niektórzy ważni hierarchowie o pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II mówili „oby nie zakłóciła odprężenia”.

Lepsza prohibicja niż gdyby w ogóle nie było co pić

W reportażach Nowakowskiego nie brak opowieści o tych spośród odwiedzanych przez papieża krajów, w których rządzą dyktatorzy. Brak szybkich rezultatów, gdy chodzi o poprawę sytuacji w niektórych z nich,

RADA MIEJSKA
w Olsztynie

U C H W A R A Nr XII /123 /91

Sady Miejskiej w Olsztynie
z dnia 10 .09. 1991 roku.

w sprawie nadania tytułu "Honorowy Obywatel Olsztyna".

Na podstawie art.18 ust.2 pkt 14 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie terytorialnym /Dz.U.Nr 16, poz.95 z późniejszymi zmianami/, Rada Miejska w Olsztynie uchwała, co następuje:

§ 1

Nadaje tytuł "Honorowy Obywatel Olsztyna":
Panu Tadeuszowi Nowakowskiemu

§ 2

Uchwała uchodzi w życie z dniem podjęcia.

Przewodniczący
Sady Miejskiej
mgr Roman Kupczyński

warzyszy swemu wielkiemu Rodakowi w pielgrzymce do Irlandii, zagramy więzankę melodii polskich. Po chwili nad stolikami rozległa się pieśń upojna: *Oczy czornyje* – oto fragment relacji reportera Tadeusza Nowakowskiego z jednej z pielgrzymek Jana Pawła II. „Przydałby się nam taki mówca w kościele” – tak kard. Karol Wojtyła zagał rozmowę z Tadeuszem Nowakowskim w 1974 roku po uroczystościach w Dachau. Powodem komplementów ze strony kardynała było jedno z wystąpień Nowakowskiego w „Wolnej Europie”.

Sześć książek Nowakowskiego o papieżskich pielgrzymkach to nieprzebrany zbiór anegdot, opisujących zarówno kulisy polityki Watykanu, jak i miejsca, które Jan Paweł II, „szef obsługi naziemnej Pana

pisarz komentuje w swoim stylu: „Jak mawiano w okresie „wielkiej suszy” w Ameryce: „lepsza prohibicja niż gdyby w ogóle nie było co pić”. I przewiduje, że pielgrzymki zmieniają też historię polskiego dyktatora, „żałosnej postaci, która na swój sposób wkradła się do polskiej historii”.

Do najtrudniejszych należy wizyta w Nikaragui. „Kazanie sandiniści wielokrotnie przerywają okrzykami zawczasu wywierzonymi w koszarach: „Władza ludowa zwycięży!”, „Przysięgamy bronić zwycięstwa”, „Niech żyje kościół ludowy” – notuje papieski reporter.

Oddzielny rozdział w opowieściach Nowakowskiego to rozrzuceni po świecie Polacy. „Panička w okularach dowiedziawszy się, kim jestem, oznajmia mi, że Jan Paweł Drugi nie jest pierwszym wielkim Polakiem, który odwiedza Japonię. – Wiem, byli tu Piłsudski i Dmowski. – O tamtych nie słyszałam – rozkłada małe rączki. – Ale był tutaj... Zenon Kliszko”.

Czasami nie brak i autoironii: „Pędząc na łeb, na szyję do umieszczonego w wojskowym namiocie, w Phoenix Park, telefonu, który mnie via satelita komunikacyjny łączył wprost ze słuchaczami w Polsce, pośliznąłem się gumową podeszwą na glinie i – aby nie runąć twarzą w aparat – w ostatniej chwili zahamowałem na kolanach. [...] Nazajutrz w poczekalni uniwersytetu św. Patryka w Maynooth, na ekranie telewizora ujrzałem swoją skuloną przy telefonie postać i usłyszałem następujące objaśnienie komentatora: A ten ukląkł! Polacy głęboko przeżywają wizytę Ojca Świętego”.

Do najmocniejszych należy wspomnienie o tym, jak w czasie stanu wojennego Jan Paweł II leciał samolotem nad Saharą. Jeden z dziennikarzy zasugerował, że papież musi teraz zapomnieć o nadziei. Ojciec Święty zareagował ostro. „Tyś, synu, miał odwagę z tym do mnie przyjąć?! Ja wychowany na Norwidzie, na Żeromskim, który pisał, że jest taki skarb zakopany na dnie duszy polskiej, jak wierność sprawie z pozoru przegranej... Proszę mi zejść z drogi – chwycił żelazną ręką dziennikarza”.

Nowakowski towarzyszył papieżowi w jego 33 podróżach. Wszędzie oprócz Polski – bo jak napisał „spodobał się sobie w staromodnej roli niezłomnego”. Opisał je w sześciu zbiorach reportaży literackich: *Reporter Papieża*, *W bagażniku Jego Świątobliwości*, *Volo Papale*, *Na skrzydłach nadziei*, *Boeing Świętego Piotra* i *Kwiaty dla Pielgrzyma*.

Dzielcie się!

Do Polski Nowakowski przyjechał po raz pierwszy w 1990 roku. Zdażył współorganizować Światowy Zlot Polonii Ziemi Bydgoskiej i stanąć na czele Światowego Związku Bydgoszczan.



FOT. © NAC

W 1991 roku. wziął udział w Spotkaniu Polskich Pisarzy z Kraju i Emigracji. „Najbarwniejsza postać warszawskiej imprezy, kpiarz z językiem ostrym jak brzytwa, wokół którego roilo się od ludzi chętnych wysłuchać którejs z jego anegdot” – tak wspomina obecność Nowakowskiego prof. Jerzy Jarzębski w książce *Pozegnania z emigracją*.

Jak pisze Jarzębski, wystąpienie Nowakowskiego różniło się zdecydowanie od reszty. Gdy chodzi o odpowiedzialność za PRL, nie zgadzał się z ugodowym nastawieniem niektórych emigracyjnych mówców. Apelowal, by odróżnić nieszkodliwe pracownice Związku Literatów Polskich od tych, „którzy naprawdę przyłożyli rękę do dzieła zniewolenia polskiej kultury”. Gdy chodzi o tych ostatnich, to on „nie spieszyłby się z wyciąganiem ręki”.

Kiedy wszyscy mówili o jedności, Nowakowski, „odwrócił symetrycznie hasło pozostałych przemówień”. „Pisarze, dzielcie się! Bądźcie różni!” – krzyczał. I uzasadniał: „Dzielcie się, bo to ciekawsze, bardziej płodne, bliższe rzeczywistości niż podejrzane ciepłko bijące od tych zbyt rozdętych wspólnot, w których nic poza ogólnikowym „kochajmy się” nie wiąże już uczestników”.

Nie doczekał się kronikarza

W 1996 roku powiedział synowi: „umieram, chcę do Polski”. Mimo że umierał, kazał synowi jeździć po całym kraju. Gdy czytał mu nazwy miejscowości, przez które przejeżdżali, opowiadał wszystko, co o nich

wiedział. „Ojciec nauczył mnie Polski u schyłku swojego życia” – wspominał Marek Rafał Nowakowski. Podobnie jak ojciec został dziennikarzem – m. in. prezydentem telewizyjnym amerykańskiej sieci FOX.

Tadeusz Nowakowski ubolewał, że w Polsce znany jest głównie z działalności pozaliterackiej. Godnie uczyła go rodzinna Bydgoszcz, przyznając honorowe obywatelstwo za życia, a ulicę i konkurs jego imienia po śmierci. Ale gdzie indziej pozostaje wciąż postacią małą znaną. Nie pasuje do żadnego obozu ideologicznego – jako twardy antykomunista, a jednocześnie krytyk polskich wad. „Mimo że zmarł stosunkowo niedawno (1996), jego śmierć nie odbiła się szerszym echem w kraju” – pisał w „Odrze” Julian Kornhauser. Urodzony później od Lechonia czy Wierzyńskiego, nie zdażył wyrobić sobie nazwiska przed wojną. Dla tamtych stał się kronikarzem ich emigracyjnych wzlotów. Sam zmarł jako jeden z ostatnich wielkich emigrantów. I nie doczekał się kronikarza.

PIOTR LISIEWICZ
„Nowe Państwo”
2006, nr 5



W następnym wydaniu naszego miesięcznika przypomnimy kilka fragmentów najważniejszej powieści Marka Nowakowskiego, wydanej sześćdziesiąt lat temu – *Obóz Wszystkich Świętych*.

Książka wielce osobliwa

Nigdy bym nie pomyślał, że można, pisząc biografię znanego bohatera polskiej wojny obronnej 1939 roku, na 288 stronicach formatu B5, dobrać w pierwszym z trzech zaplanowanych tomów zaledwie do końca okresu jego edukacji podstawowej, czyli gdzieś do 11-12 roku jego życia. Ten prawdziwy rekord świata w zakresie biografistyki należy do Romualda Karasia, który właśnie wydał pierwszy tom opowieści biograficznej poświęconej majorowi Henrykowi Sucharskiemu, dowódcy bohaterskiej, siedmiodniowej obrony Wojskowej Słładnicy Tranzytowej na półwyspie Westerplatte.

Warto przy tej okazji przypomnieć, że stosunek sił obu stron, jeśli idzie o liczbę żołnierzy, wyrażał się blisko dwudziestokrotną przewagą strony niemieckiej nad polską (4 000 żoł-

nierzy do 225), jeśli zaś idzie o siłę ognia (z ładu i z powietrza) to przewagę tę trzeba by wyrazić w liczbach trzycyfrowych lub nawet wyższych. Natomiast strona przegrana (po 7 dniach obrony) czyli polska, pomimo wspomnianych dysproporcji osiągnęła pięcio-, sześciokrotną przewagę, jeśli idzie o spowodowanie strat u przeciwnika (po stronie polskiej 15 zabitych i 50 rannych, po stronie niemieckiej 300-400 zabitych i rannych). A poza tym swoją heroiczną walką przez pełny tydzień podtrzymywała na duchu napadniętych podstępnie Polaków, gdy słyszeli codzienny komunikat radiowy „Westerplatte broni się jeszcze!”

W pierwszym tomie dzieła Romualda Karasia znajdujemy się jednak jeszcze z dala o tych tragicznych wydarzeń, obejmuje on bowiem w zasadzie pierwszą dekadę XX wieku. Nosi on tytuł *Klątwa i cud. Majora Sucharskiego droga na Westerplatte* i jest swoistym reportażem historycznym ze wsi rodzinnej Majora, czyli z Gręboszowa pod Tarnowem i okolic, obudowanym różnorakimi prolegomenami polskiej czy przynajmniej galicyjskiej historii tego czasu.

Co najmniej jedna trzecia książki poświęcona jest genezie *Klątwy* Stanisława Wyspiańskiego, jej relacji z odbiegającymi

w dużym stopniu od przedstawionego przez artystę dramatu (*Klątwa* nosi podtytuł *Tragedya*) – gręboszowskimi realiami, które autor opisuje z takim przybliżeniem, jak we współczesnym reportażu, racząc czytelnika różnego rodzaju przypuszczeniami i domysłami (np. co do tego, czy twórca „teatru ogromnego” w ogóle był w Gręboszowie i okolicach i czy zbierał tu materiały do

dramatu, czy też oparł się jedynie na opowieściach swojej chłopskiej małżonki, pochodzącej z niedalekiego Kantora).

Drugim ważnym motywem książki są początki ruchu ludowego i oddziaływanie czytelnego powszechnie przez oświeconą część wsi (do której należała rodzina Sucharskich) organu ludowców pt. „Przyjaciel Ludu”, redagowanego przez Marię i Bolesła-

wa Wysłouchów, współtwórców ruchu ludowego, a później przez Jana Stapińskiego, ich redakcyjnego następcę. Szczególnie że w owym czasie ruch ludowy i jego „Przyjaciel Ludu” znalazł się w ostrym konflikcie ze sferami duchownymi Kościoła katolickiego, przy czym ludowcy, a szczególnie jeden z najwybitniejszych z nich, Jakub Bojko z Gręboszowa, krewny Sucharskich, wybitny publicysta chłopski, opierając się w niemałym stopniu na tradycjach antyklerykalizmu chłopskiego, doprowadzali ten konflikt do stanu wrzenia. I miało to bezpośredni wpływ na społeczność wsi i parafii gręboszowskiej, która podzieliła się na dwie frakcje, przy czym wrogowie dwóch kolejnych proboszczów posuwali się do fałszywych oskarżeń, a nawet do krzywoprzysięstwa, by w końcu doprowadzić ks. Kahla, kolejnego proboszcza gręboszowskiego, do odejścia z parafii i do obłądu. Trzeba dodać, że przyczynił się do tego on sam niezbyt mądrymi zakazami – zabraniał na przykład płaczków na pogrzebach – i swoim niemieckim pochodzeniem przejawiającym się w podobnych próbach swoistej protestantyzacji tradycyjnych zwyczajów katolickich.

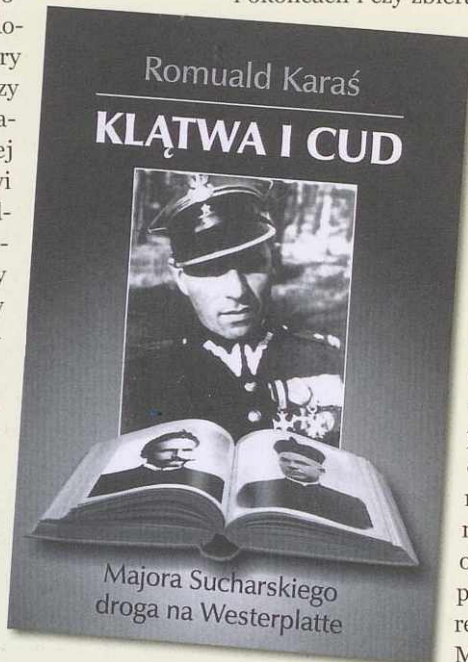
Działo się to wszystko i oddziaływało na społeczność w znacznie szerszym za-

kresie niż tylko w obrębie Gręboszowa i od pewnego czasu miało też wpływ na młodziutkiego Sucharskiego, który zaczął czytać – a wkrótce sięgał też do „Przyjaciela Ludu”, którego czytelnikiem był jego ojciec Stanisław – mając pięć lat. Karaś, mimo iż na wielu stronicach odbiega od tematu stricte biograficznego, bo opisywane postawy różnych osób i zdarzenia są materia co się zowie złożoną, dba o to, by zawsze wiązać główne nurty tego opisu z postacią najpierw dziecka, ale nad wiek rozwiniętego duchowo i intelektualnie, a potem młodzieńca, ukazując tym samym, jak się kształtuje światopogląd i charakter młodocianego bohatera.

Jest on otoczony ludźmi o nietuzinkowych zainteresowaniach i wyrazistej tożsamości, na ogół selfmademanami, jak ów Jakub Bojko (który zapewne w końcu stałby się przywódcą ludowców, gdyby nie okazało się, że jeszcze lepszy od niego był Wincenty Witos, który wkrótce to przywództwo przejmie), jak Jakub Świętek, samouk właśnie, posiadacz zasobnej biblioteki, z której korzystali także Sucharscy, a Henryk w miarę dorastania coraz więcej.

Ta szczególna edukacja, jakiej był poddawany przyszły obrońca Westerplatte, była wielowymiarowa, zarówno dlatego, że emocjom społecznym opisanym w *Klątwie* nie bez pewnej przesady, jako że w Gręboszowie realnym nikogo nie spalono na stosie (Wyspiańskiemu zależało, by sztuka uzyskała wymiar greckiej tragedii), towarzyszyła inicjacja intelektualna, o czym już wspominałem, i to bynajmniej nie jednostronna, bo Henio Sucharski czytywał nie tylko „Przyjaciela Ludu”, lecz zaglądał także do „Pszczółki” redagowanej przez ks. Stanisława Stojałowskiego. „To on pierwszy – pisze Karaś o ks. Stojałowskim – podjął próbę organizacji wsi, wydzwignięcia chłopca z upadku i oświecenia ludu”. Emocjom społecznym, którym był poddawany także młodziutki Sucharski, towarzyszyły zatem spory intelektualne, na przykład o to, „na kim ma się oprzeć Stronnictwo Ludowe, a później PSL – na bogatych czy biednych chłopach? Coś już zgrzytało zarówno w Stronnictwie, jak też w redakcji „Przyjaciela Ludu”. Groziło to rozłamem i walką o charakter pisma. Z tej atmosfery coś także przeniknęło do świadomości Heńka” – pisze dalej Karaś.

Kolejnym, niezwykle istotnym, motywem opowieści jest przysłowiowa nędza galicyjska. Rozdrobnienie gospodarstw, głód ziemi – powodowały głód prawdziwy,



zwłaszcza na przednówkach. Ciężko było je przetrwać. Do tego dochodziły długotrwałe susze (jedna z nich została uznana za ową „kłątwę” spowodowaną rzekomo przez grzech nieczystości księdza Kahla, którego w rzeczywistości nie popełnił), na przemian z długimi okresami deszczu i słońcy, prowadzących do podtopień nie tylko nisko położonych łąk i poletek (tak pięknie nazywanych przez Jacka Malczewskiego „ręcznikami galicyjskimi”).

Sucharscy doświadczaali owej nędzy galicyjskiej dojmująco, Stanisław bowiem, ojciec Heńka, gospodarujący na półmorgowym splachetku ziemi, nie mogąc z tego wyżywić licznej rodziny, wyuczył się szewstwa. Ale jako szewc też bardzo cienko przadł, gdyż ludzi często nie stać było na naprawę butów, a gdy zdarzył się obstalunek na nowe ze strony kogoś zamożniejszego, to było święto w rodzinie. Sytuacja się pogorszyła, gdy trzeba było sprzedać konia, bo na przednówku nie było go czym wyżywić.

Naturalnie, bohaterowie książki Karasia (Bojko, Świątek, ks. Halak, następca ks. Kahla, Sucharscy) czytali *Nędzę Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego* Stanisława Szczepanowskiego z 1888 roku. Karaś cytuje także Sztafetę Melchiora Wańkowicza: „I wtedy do umysłów kształconych na humaniorach, egzaltowanych przez niewolę, przekradała się świadomość, że orzelki białe, sprzedawane przez Żydów w Sukiennicach krakowskich, przewożone w bieliźnie do kraju przez rozentuzjazzowane paniusie, to jest bardzo mało wobec tego, o co się potykał pierwszy galicyjski nafiarcz, przemysłowiec i romantyk tej Polski nowej, nadchodzącej jeszcze, ledwo przeczuwanej”.

Naturalnie, nie mogło się obyć bez wspomnienia o pionierze przemysłu naftowego, Ignacym Łukasiewiczu i o jego lampie naftowej (oświetlała także skromne wnętrza domku Sucharskich) oraz o krótkim, ale niezwykle dynamicznym okresie galicyjskiego Eldorado (Borysław, Drohobycz, Gorlice). „W okręgu naftowym – pisze Karaś – tworzonym przez Stanisława Szczepanowskiego, pracowało do dziesięciu tysięcy ludzi. Produkcja ropy w pewnych okresach była nawet w Galicji wyższa niż w ropo-nośnej Rumunii. To też graniczyło z cudem. Cudem gospodarczym, tak rzadkim w Polsce”. Ale, niestety, krótkotrwałym.

Ten cud nie odmienił losu mieszkańców Gręboszowa i okolic. Nędza wciąż triumfowała. A mimo to Heniek Sucharski został wysłany do szkoły aż do Tarnowa. Pomogli dwaj księża, wspomniany ks. Jan Halak z Gręboszowa, który nie wyobrażał sobie, by Heniek nie kształcił się dalej, i ks. Piotr

Podolski z Tarnowa, który go przyjął na stancję i przeciwko któremu młodzieniec buntował się, by znów powrócić na plebanię. A więc społeczność gręboszowska, reprezentowana przez proboszcza, któremu udało się wyciszyć opisywany wyżej konflikt, nie opuściła młodego człowieka w potrzebie.

Dużo jeszcze wątków, także tych z Wesela Stanisława Wyspiańskiego, ale dotyczących bohaterów książki i to nie tylko dotychczas tu wymienionych, trzeba by jeszcze opisać, dużo wymienić nazwisk, wśród nich m. in. Ignacego Daszyńskiego, z którym również współpracował Jakub Bojko, żeby dopełnić całości.

W książce Romualda Karasia nie zabrakło także swoistej metafizyki. No, bo jak inaczej nazwać dwa listy autora do majora Sucharskiego, na początku list-inwokację, a na końcu list-raport z reporterskich dokonaniań, kończący się informacją o zamierzonym i napisanym już tryptyku, którego część pierwszą właśnie przedstawiłem, a dwie pozostałe to „Żołnierz Wielkiej Wojny” i „Zwycięzca”. Ale ważniejsze wydają mi się słowa z listu, który nazwałem inwokacją, gdzie mowa jest o znanych oskarżeniach Majora, że jako dowódca chciał poddać Westerplatte już drugiego dnia walki, że ukrył swoją chorobę, na którą zapadł po pierwszym dniu obrony, że dowództwo przejął porucznik Franciszek Dąbrowski i że właściwie to on dowodził bohaterską obroną Westerplatte. Ów pan, który po wojnie nie zrobił kariery, pracował jako kioskarz na dworcu krakowskim, być może chciał zaistnieć i wziął walny udział w nagonce na swego dowódcę. Pomijając niejasną genezę tej nagonki, faktem jest, że najchętniej rozpowszechniała te oskarżenia peerelowska czy post peerelowska lewica; ja przeczytałem o tym po raz pierwszy w periodyku „Dziś” redagowanym przez Mieczysława F. Rakowskiego. Nawiasem mówiąc, Krzysztof Kąkolewski uważał, że Janusz Roszko był zadaniowany przez SB, gdy jako jeden z pierwszych zaatakował Sucharskiego, ale szlachetny Romuald Karaś, który przyjaźnił się z krakowskim reporterem, nie przyjmuje tego do wiadomości.

„Skąd się wzięły te oskarżenia? – pyta Karaś. – Kto je pierwszy wysunął? Czy z punktu widzenia wojskowego taka sytuacja była możliwa? Jak się ma wobec tych zdarzeń sprawa honoru oficerskiego? [...] A może to wszystko jest fikcją? Czy nie mamy do czynienia z konfabulacją? Tyle pytań staje przed reporterem. Muszę na nie odpowiedzieć”.

Nie wątpię, że Romuald Karaś odpowie na te i inne pytania, zdejmie z mjr. Sucharskiego skorupę niezasłużonych, fałszywych oskarżeń i odda mu należny

hold. A przy tym odmaluje ze smakowitymi szczegółami obraz Polski z okresu Wielkiej Wojny i odradzającej się Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, dzieje Sucharskiego w dwudziestoleciu międzywojennym i podczas II wojny światowej, jak również w powojennej służbie w II Korpusie, aż po śmierć w Neapolu 30 sierpnia 1946 roku i spontaniczne, manifestacyjne uroczystości żałobne w Gdańsku i na Westerplatte 30 sierpnia i 1 września 1971 roku, związane z pochówkiem prochów bohatera przywiezionych do kraju w 25-lecie jego śmierci. Wzięło w nich udział kilka tysięcy ludzi. Imponujący fotoreportaż z tych wydarzeń, autorstwa Niny Smolarz i Stefana Figlarowicza, opublikował miesięcznik „Polska”, ukazujący się w sześciu językach i rozprowadzany w krajach Europy Zachodniej i obu Ameryk.

JERZY BIERNACKI

Popiersie mjr. Henryka Sucharskiego w Gręboszowie przed szkołą noszącą jego imię. FOT. © JAROSŁAW KRUK





Edward Ratuszyński, „Jagiello w Olsztynie, 1414”, 2017

FOT. © IRENEUZ ST. BRUSKI

Jagiello w Olsztynie 1414

W polskiej historiografii nie ma zgody co do oceny postaci Władysława Jagielly. Z jednej strony pamięta mu się sukces spod Grunwaldu, z drugiej zarzuca pilnowanie interesów litewskich na tronie polskim. Ponoć żadna z matek na Litwie nie nazwała swojego syna tym imieniem – dla Litwinów imieniem zdrajcy, który sprzedał swoją ojczyznę za polską koronę. Witold do dziś jest tam Wielki, Jogaila – zdrajca.

Jogaila, bo tak po litewsku nazywano syna Olgierda a wnuka Giedymina, walczył o władzę na Litwie z wujem Kiejstutem i kuzynem Witoldem. Pierwszy zmarł w jego lochach, drugi uciekł do Krzyżaków. Jagiello nie miał innego wyjścia jak sojusz z Polską przeciwko zakonowi krzyżackiemu. Problem polegał na tym, że Jadwiga – król Polski – była zaręczona z Wilhelmem Habsburgiem. Odbyła z nim nawet tzw. pokładziny... Jednak jej mądra matka Elżbieta Bośniacka doprowadziła do negocjacji z Litwinami na zamku w Krewie, zwanym przez nas Krewa. Tam spisano pierwszą unią w języku łacińskim, którego Litwini nie znali. Kluczowym słowem okazało się „applicare” – włączyć, przyłączyć. Litwini nie zrealizowali unii realnej i nie włączyli swojej ojczyzny do Polski, chcieli zrealizować tylko związek personalny – tak aby Jagiello był i królem Polski i Wielkim Księciem Litewskim. Trudno im się zresztą dziwić...

Po śmierci Jadwigi (1399) Jagiello mógł samodzielnie kierować sprawami obu państw. Po kolejnej zdradzie Witolda,

Litwa straciła Żmudź i nastąpiła Wielka Wojna 1409–1411. Wspólnie z Litwinami wygraliśmy bitwę pod Zielonym Lasem, z niemieckiego zwaną, do dziś, Grunwald. Ale tak jak wygraliśmy bitwy i wojnę, tak przegraliśmy pokój. Został on zawarty na wiślanej wyspie koło Torunia. Gdy Jagiello wjeżdżał do miasta, mieszczka oblała go z okna ekskrementami. Pokój zawisł na włosku. Zbyt dużo jednak sił politycznych w Europie było zainteresowanych w tym momencie pokojem, aby zakon nie wypłacił cesarzowi Zygmuntovi Luksemburskiemu 100 tysięcy florenów, które już nigdy nie wróciły do polskiego skarbcza... Za to mieliśmy przez ponad 350 lat Spisz i Orawę w naszych granicach.

Wielu mówiło, że I pokój toruński z 1411 roku był dużo bardziej korzystny dla Litwy niż dla Polski. Król Władysław Jagiello musiał o tym słyszeć, a może tak to sam czuł... Miał już przecież córkę, którą chciał widzieć na tronie polskim. Ruszył więc na kolejną wojnę z zakonem, zwaną głodową. W sierpniu 1414 roku wojska polskie – dużo bardziej liczne niż pod Grunwaldem – uderzyły w kierunku Olsztyna. Miasto istniało od niespełna stu lat, palono wszystko wokół niego. Główne siły, pewnie z Jagiellą, zajęły Olsztyn.

Edward Ratuszyński pokazuje na swoim obrazie widok miasta od strony zachodniej. Jest to dla niego kolejny pretekst do namalowania przedmieścia, przedzamcza i panoramy miasta przy zachodzącym Słońcu. Wokół dopalają się okoliczne pola.

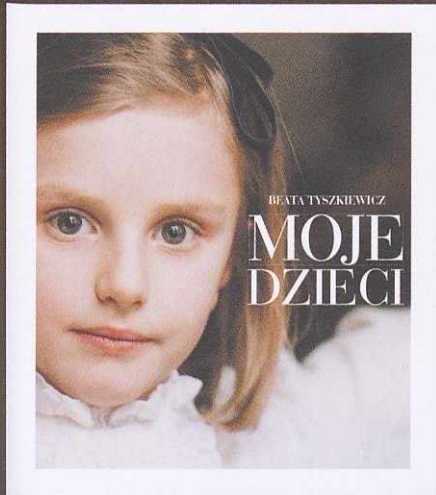
Nie jeden architekt powinien uczyć się swojego rzemiosła oglądając ten obraz. Uderza kolorystyka, zawsze przejmująca u Ratuszyńskiego. Tym razem nie jest to woda pod różnymi postaciami – mgły, śniegu, chmur. Piękny, gabinetowy, obraz. Czy te doświadczenia mieszczan wpłyną na rozbudowę murów obronnych, które staną się „nie do zdobycia” za sto lat, gdy Mikołaj Kopernik obroni miasto przed atakiem Krzyżaków? Ciekawe też jaka była postawa mieszkańców wobec wkraczającego do miasta wówczas tu obcego króla? Czy rzeczywiście był im obcy? Elita miasta była pewnie niemiecka – jak w większości miast w Polsce. Ale tu mieszkali też Staroprusowie, którzy mówili podobnym do litewskiego językiem. Może był to już „ich” król...

Jagiello przerwie wojnę głodową – w alpejskiej Konstancji rozpoczynał się właśnie sobór powszechny. Chodziło nie tylko o herezję husycką, ale również o schizmę zachodnią i antypapieży. Polska wygrała europejski spór dyplomatyczny z Krzyżakami a Jagiello związał się z kolejną żoną, która urodziła aż dwóch chłopców. Władysław Warneńczyk mógł zostać cesarzem bizantyjskim – zginął jednak pod Warną. Kazimierz, zwany Jagiellończykiem, doprowadził do unii polsko-litewskiej, w której droga do Krakowa wiodła przez Wilno. Inkorporował Prusy do Korony i na mocy II pokoju toruńskiego przyłączył Warmię z Olsztynem do Polski. To, czego nie dokonał ojciec – zrobił syn.

HENRYK FALKOWSKI



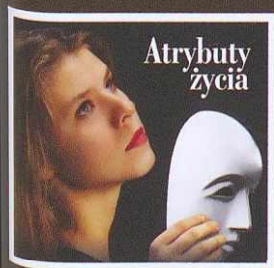
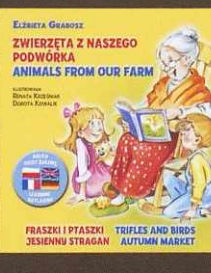
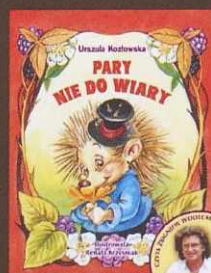
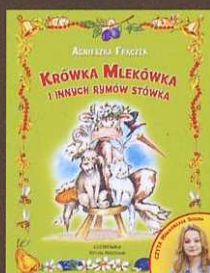
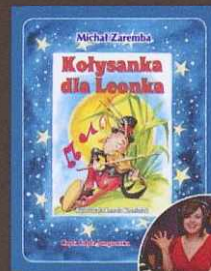
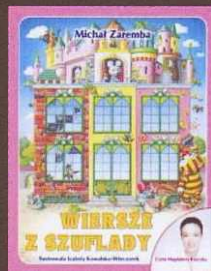
OFERTA WYDAWNICZA FUNDACJI DZIECIOM „ZDAŻYĆ Z POMOCĄ”



TYLKO U NAS!

PREMIERA KSIĄŻKI BEATY TYSZKIEWICZ „MOJE DZIECI”

ALBUM ILUSTROWANY FOTOGRAFIAMI
WYKONANYMI PRZEZ AUTORKĘ



zamówienia można składać:

telefonicznie: 881 938 055 / przez internet: www.bremo.pl

e-mailem: sklep@bremo.pl, fundacja@dzieciom.pl

Znajdź nas na Facebooku:)





FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

Małżonka Prezydenta RP na wernisażu Fundacji Sedeka

13 października, w Centrum Aktywności Społecznej Grzybowska 4 działającym w ramach Fundacji Sedeka, odbyło się otwarcie wystawy pt. „Kobieta z bliznami”. Pani Agata Kornhauser-Duda, Małżonka Prezydenta RP, objęła to wydarzenie Honorowym Patronatem.

– Bardzo bym chciała, żeby wystawa skłoniła osoby, które będą ją zwiedzały, do refleksji nad tym, jak człowiek ma sobie radzić z przykrymi doświadczeniami, by go nie złamały i nie odebrały chęci do życia – mówiła Agata Kornhauser-Duda podczas wernisażu wystawy.

– Pragnęłabym, by zwiedzający zauważyli, że najważniejsze jest wnętrze człowieka, jego dokonania, stosunek do innych ludzi i otaczającego go świata. Myślę, że wtedy oddziaływanie obecnych tu fotografii spełni swoje zadanie – wyraziła nadzieję Pierwsza Dama.

Pomysłodawczynią i bohaterką zdjęć jest Jolanta Golianek, która w 2009 roku uległa ciężkiemu oparzeniu, a później zderzyła się z samotnością w cierpieniu oraz z brakiem wsparcia ludzi i państwa. Doświadczyła ograniczeń medycznych, społecznych i urzędniczych.

Przesłaniem wystawy, którą Małżonka Prezydenta RP objęła honorowym patronatem, jest przekonanie społeczeństwa, że skutki poparzenia nie są wykluczeniem z codziennego życia.

– Głównym celem wystawy jest próba zmiany świadomości społecznej. Napawa ona nadzieją, że warto, że trzeba walczyć o siebie i o swoje miejsce w życiu – mówiła Agata Kornhauser-Duda.

Zdjęcia będące portretem jednej kobiety podnoszą szeroki problem cierpienia, wyobcowania społecznego i ekonomicznego



FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP



FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

wszystkich osób z dysfunkcjami, a także ich codziennej walki o godne życie.

Stanisław Kowalski, prezes Zarządu Fundacji Sedeka, podkreślił, jak ważna jest rola osób, które swoją postawą i działaniami wskazują innym problemy ludzi pokrzywdzonych przez los, mierzących się z traumatycznymi doświadczeniami wynikającymi z choroby lub niepełnosprawności.

Pierwsza Dama podsumowała zaangażowanie Jolanty Golianek słowami: Podziwiam panią za to, że walczy pani nie tylko o siebie, ale i o innych. Trzeba to robić, by walczyć o dostęp do leczenia i rehabilitacji. Niepełnosprawni, jak wszyscy ludzie, oczekują zrozumienia i akceptacji, ale przede wszystkim szansy, by normalnie żyć.

KS, FD



FOT. © MONIKA SADOWA



KALENDARZE WYDANE W CELU POMOCY DZIECIOM



Zamówienia można składać:

na www.bremo.pl

e-mailem: sklep@bremo.pl

telefonicznie: 881 938 055



BREMO

POMAGANIE PRZEZ KUPOWANIE

Via spei sine spe, czyli droga nadziei bez nadziei?

SALA KONCERTOWA

SALA KONCERTOWA

FOT. © GRZEGORZ ROGIŃSKI / PZPB.COM.PL

Przed piętnastu laty pisałem: „Czy ktoś myśli w ogóle o przyszłości muzyki, o jej rozwoju, o przyszłych jej odbiorcach, gotowych słuchać nie tylko Rolling Stonesów, Tangerine Teamu czy Budki Suflera, ale i muzyki poważnej, dawnej i współczesnej? Bacha, Beethovena, Chopina, Liszta, ale i Szymanowskiego, Lutosławskiego, Bartóka, Britaina, Bairda, Kilara czy Piotra Mossa? Wydaje się, że nikt, skoro w szkołach zlikwidowano lekcje wychowania muzycznego, łącząc je jedynie z elementarnym kursem przygotowującym do odbioru zdarzeń artystycznych w ogóle.

W Warszawie na przykład jeszcze jakiś czas temu w szkołach było około 35 nauczycieli wychowania muzycznego na przyzwoitym poziomie, teraz jest ich najwyżej 4-5. Uczą na ogół innych przedmiotów. Czy to oznacza, że za lat 20 na przykład Filharmonia Narodowa w Warszawie będzie organizowała koncerty jedynie dla krytyków muzycznych, kilku koneserów i nie ogłuchłych staruszków?”. Nie sądzę, by w ciągu minionych lat wiele się zmieniło, reforma tej sfery nie objęła, a interesująca próba zaradzenia tej niekorzystnej sytuacji od lat nie tylko nie doznaje wsparcia, lecz wręcz została prawie do cna unicestwiona.

Jest gorzkim paradoksem fakt, że od dawna nie miał i nie ma wstępu do Filharmonii Narodowej inicjator czwartkowych koncertów dla młodzieży, Bohdan Pilarski, b. poseł RP, który zaszył się na prowincji i zajmował hodowlą owiec gdzieś nad Pilicą, a obecnie, schorowany, prawdopodobnie nie będzie mógł przybyć na uroczysty koncert z okazji 45-lecia jego niezwyklej inicjatywy.

Zaczął się wszystko w roku 1970, dzięki amerykańskiej bezpośredniości Garricka Ohlssona, laureata VIII Konkursu Chopinowskiego, który dał się zaciągnąć do domu studenckiego, gdzie grał dla młodzieży, niezrażony faktem, że instrumentem, jakim tam dysponowano, było jedynie nie najlepsze pianino.

Zainspirowany tym wydarzeniem Bohdan Pilarski wystąpił z projektem organizowania czwartkowych koncertów dla młodzieży. Wokół nich ukształtował się cały ruch wychowania muzycznego. Najpierw wzorowane na poznańskim świetnym, działającym do dzisiaj, ruchu umuzykalnienia młodzieży szkolnej

– Pro Sinfonica, zainicjowanym przez Alojzego Andrzeja Łuczaka – powstawały kluby Młodej Filharmonii. Pilarskiemu zależało na tworzeniu więzi między artystami i młodzieżą (to nie może być jakiś sypki proszek, lecz związek chemiczny – mawiał metaforycznie), dlatego też młodzież witała artystów, podawała im kwiaty, okresami prowadziła bufet i kwiaciarnię, częstowano artystów ciastkiem i kawą, realizowano programy nazwane „Muzeion” i „Niezapominajka”. Słowem, młodzież pełniła rolę gospodarza koncertów, co miało wielkie znaczenie wychowawcze i integracyjne. Muzycy z orkiestry też szybko zmienili swój stosunek do koncertów dla młodzieży: początkowo nie dbali o ubiór, przychodzili w blezerach czy innych wdziankach, wkrótce potem – pełna gala, smokingi, fraki, ukłony itp. Zorientowali się, że przecież to jest ich przyszła filharmoniczna publiczność. Że bez tych koncertów i innych inicjatyw, o których za chwilę, filharmonia w przyszłości ziałaby pustkami. Był to również rezultat docenienia tego audytorium przez wybitnych dyrygentów – Witolda Rowickiego, Jana Krenza, potem Kazimierza Korda.

Koncerty odbywały się raz na dwa tygodnie, w pierwszym okresie grała zawsze Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej. Później zapraszano różne zespoły muzyczne, także młodzieżowe ze szkół muzycznych i wiele innych. Wobec coraz trudniejszej sytuacji Filharmonii Narodowej z czasem występy orkiestry symfonicznej stały się rzadkością, zwłaszcza że np. za dyrekcji Antoniego Wita (2002-2013) o dopieszczeniu tych akcji, oceniając łagodnie, nie można już było mówić.

Koncerty czwartkowe wyłoniły wiele inicjatyw, programów recytatorsko-muzycznych (poświęconych księciu Józefowi Poniatowskiemu, Karolowi Szymanowskiemu, poezji Baczyńskiego) oraz różnego rodzaju cyklów. Na przykład cykl „Muzyka a zdrowie”, w który zaangażowali się m. in. niezapomniani profesorowie Julian Aleksandrowicz i Józef Bogusz z Krakowa (stąd Młoda Filharmonia nosi dziś imię tego pierwszego). W 1988 roku Marek Dyżewski, jeden z najwybitniejszych muzykologów polskich, inspirował powstanie cyklu recitali organowych „ARS ORGANI” (trwał do 2000 roku), a dzięki rozlicznym kontaktom krajowym i światowym pracującej w sekcji

koncertów czwartkowych Walentynie Marii Bagińskiej wystąpili w tym cyklu liczni wybitni organiści, grając dla młodzieży na wspaniałych organach w archikatedrze św. Jana. Od kilku lat mogliby grać na równie świetnych organach zainstalowanych w głównej sali Filharmonii Narodowej, ale... o tym poniżej.

„Salon romantyczny”, oparty na koncepcji teatru lektur, cykl koncertów słowno-muzycznych wspomnianego już Marka Dyżewskiego ukazujących kolejne epoki w dziejach muzyki, cykl „Alchemia dźwięku” zainicjowany przez Stefana Wysockiego, „Pieśń ojczystej ziemi” – cykl tradycyjnej muzyki polskiej – to tylko niektóre z wielu inicjatyw podejmowanych w ramach ruchu koncertów czwartkowych i Młodej Filharmonii im. Juliana Aleksandrowicza. Do tego trzeba dodać trójpoziomowe wycieczki uczniów szkół podstawowych: poznanie FN ogólnie, poziom II – organy, poziom III – alchemia dźwięku, np. wizyta w klasie altówki itp.

Swoistym zwieńczeniem społeczno-wychowawczej pracy Młodej Filharmonii są prowadzone od 1977 roku koncerty dla młodzieży niepełnosprawnej. Jest to tzw. akcja konstancińska „Via spei” im. Tomka Szulskiego, której właśnie stuknęło 40 lat (dokładnie 27 października 2017). W tym miejscu trzeba powiedzieć, kim był Tomek Szul, młody człowiek, który zginął w wypadku samochodowym około 20 lat temu. Młoda Filharmonia wyłoniła spośród siebie wiele różnorodnych talentów. Takich, jak Józef Kucharski, bez którego decyzji (będącej na tę skalę swoistym jajkiem Kolumba), dotyczącej pierwszego przewiezienia niepełnosprawnych, razem z wózkami, autobusem MZA z Konstancina do Filharmonii i z powrotem. Było to właśnie 27 października 1977 roku. Przez wiele lat był on także motorem współpracy Młodej Filharmonii ze Stowarzyszeniem Penitencjarnym „Patronat”, polegającej na organizowaniu uczestnictwa w koncertach czwartkowych młodzieży karanej, przebywającej w zakładach poprawczych. Przez dwanaście lat trwającej akcji nie zdarzył się żaden przykry incydent, wbrew pesymistycznym przewidywaniom różnych sceptyków, którzy wolą krakać niż działać.

Ale miało być o Tomku – był on jednym z talentów największych, obdarzony

prawdziwą charyzmą, wspaniale kontaktując z ludźmi, pod względem organizacyjnym i każdym innym wart – jak mówią jego koledzy – trzech albo czterech przeciętnie uzdolnionych i pracowitych wolontariuszy. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Wzór dla wszystkich młodych wolontariuszy „*Via spei*”, takich jak działające po dzień dzisiejszy Grażyna Pietruszewska-Rosłon i Agnieszka Stępkowska.

Nie ma wątpliwości, iż całą działalność pokrótce tu przedstawioną można porównać do łańcucha, w którym brak jakiegokolwiek ogniwa może poważnie załamać całość przedsięwzięcia. Szczególnie zaś gdy chodzi o tę główną część łańcucha, gdzie niejako zawężają się wszystkie sprawy. Mowa o sekcji koncertów czwartkowych prowadzonej od lat blisko 40 przez Władysława Terleckiego. Przez 16 lat – wspólnie z Walentyną Bagińską, którą w 2002 roku zwolniono z pracy. Była ona do tego działania nie tylko wszechstronnie przygotowana, ale i szczególnie predestynowana. Absolwentka kilku uczelni muzycznych (m. in. Konserwatorium Łotewskiego w Rydze), świetna organistka (Akademia Muzyczna im. F. Chopina w klasie prof. Rączkowskiego), studiowała też na Wydziale Wychowania Muzycznego Akademii (dyplom z wyróżnieniem!). I od 1986 do 2002 roku właśnie w tej dziedzinie pracowała, będąc kluczową postacią w prowadzeniu większości przedstawionych programów i cykli. Zwolnienie pani Walentyny było wyrwaniem najważniejszego niemal ogniwa we wspomnianym łańcuchu działań, które doprowadziło do poważnego osłabienia ruchu Młodej Filharmonii, o mało go nie załamując całkowicie. Przyczyny, wbrew pozorom, w ocenie Władysława Terleckiego, tkwiły poza jej osobą. Sam fakt pozostawienia tylko jednej osoby w sekcji koncertów czwartkowych stał się poważnym utrudnieniem, ponieważ nie można jednocześnie być w biurze przy telefonie i oprowadzać dzieci po Filharmonii lub robić dziesiątków innych niezbędnych rzeczy.

Nie pomogły apele do dyrektora Antoniego Wita, który umył ręce, wymawiając się tym, że dopiero nastąpił (przejął dyrekturę po Kazimierzu Kordzie), ani do pozostałej części kierownictwa Filharmonii Narodowej, które w całości (łącznie z dyrektorem Witem, jak się okazało w następnych latach) wydaje się dramatycznie nie doceniać Młodej Filharmonii i akcji nazwanej „Drogą nadziei”, także nadziei przeciwieństwo na przyszłe audytoria FN i nie tylko. Jak można w taki sposób jeździć nie ciąć, to podłamywać gałąź, na której się siedzi – doprawdy zrozumieć niepodobna.

Władysław Terlecki, *spiritus movens* wielu akcji, nie tylko Młodej Filharmonii i „Drogi nadziei”, jest zwolennikiem działań kompleksowych i wyróżnia się w tej mierze że-

laną konsekwencją. Jest on jedynym dziś żyjącym założycielem muzycznego teatru kukielkowego „Łazienki” (bo w Łazienkach powstał jakiś, bagatela, 50 lat temu z okładem). Pomyślany był najpierw jako teatr dla dzieciaków z domów dziecka, a potem narodziła się myśl, aby wejść z nim – a zwłaszcza z „Pastorałką” Leona Schillera w okresie zbliżających się świąt Bożego Narodzenia – do... poprawczaków i więzień.

Byłem swego czasu na takim spektaklu w więzieniu i opisałem swoje wrażenia w „Naszej Polsce”. Tu tylko krótko przypomnę, że nie chodziło jedynie o wzruszenia, ale i o głębsze przemyślenia młodych więźniów, niezwykle interesujące i nie płytkie, a dotyczące rozróżniania dobra i zła oraz przyjęcia przekazu Dobrej Nowiny. Trudno o lepszą metodę resocjalizacyjną!

A jednocześnie niezwykle imponujący był entuzjazm i wytrwałość ochotników tego teatru (przeważali młodzi), którym samo składanie dekoracji i ich demontaż plus spektakl zajęły cały prawie dzień i kawał wieczoru. Spektakl zaś – muszą mi Czytelnicy uwierzyć na słowo – nie miał nic wspólnego z amatorszczyzną, a nawet były w nim momenty rewelacyjne w sferze wykonawstwa aktorskiego: zaliczam do nich całkowicie profesjonalną rolę Narratora (Władysław Terlecki) oraz dziewczynę frenetycznie grającą Diabła (czy raczej diabolicę).

Napisałem wtedy, że ów spektakl Teatru „Łazienki” zbiegł się z 80. urodzinami Józefa Kucharskiego, kierowcy autobusów MZA i kuratora sądowego, społecznika, bez którego – najkrócej mówiąc – nie byłoby ani „Drogi nadziei” ani odwiedzin u więźniów. Czterdzieści lat temu, gdy zastanawiano się, jak zacząć akcję dowożenia niepełnosprawnych do Filharmonii, on po prostu zapytał: „No, to kiedy jedziemy?”. I tak się to zaczęło i trwało długi czas, dzięki niemu, bo dobro ciągnie do dobra, i tak do Terleckiego i jego młodych wolontariuszy dobiegł Kucharski.

Na pytanie, skąd wzięła się u niego pasja społecznikowska, Józef Kucharski (kurator sądowy, członek Stowarzyszenia Penitencjarnego „Patronat” (mającego metrykę sięgającą czasów Bolesława Prusa i Stefani Sempołowskiej), honorowy krwiodawca i organizator krwiodawstwa, którego grupa oddała 5 700 litrów krwi) odpowiedział: „Nauczyl mnie tego księża, w powszechniaku, przed wojną. Mówili: szanuj bliźniego swego jak siebie samego, nie kradnij, szanuj pracę. I uczyli kochać Ojczyznę. Dzięki temu inna młodzież wtedy była. Dziś tego nie ma”.

Na resocjalizację młodych przestępców nie ma pieniędzy, nie mówiąc już o możliwości kontaktu z kulturą. No to kto miał pomagać? Młoda Filharmonia, dzięki swej współpracy z Kucharskim, który opiekował się domem poprawczym w Falenicy. Co

jakiś czas było 10 biletów bezpłatnych na koncert do Filharmonii. No i możliwość dowozu, pod opieką wolontariuszy. Mówił Kucharski: „Mam kontakt z Okręgowym Zarządem Służby Więziennej i oni dają trochę pieniędzy, a poza tym wskazali, gdzie możemy wystawić „Pastorałkę”. I tak już 11 rok z nią jeździmy. Pokażemy też „Dziady” Mickiewicza. Skazanym dajemy czyste słowo polskie, a także Boskie, i zatrudniamy młodzież, naszych wolontariuszy, dla których też jest to ważne. Myślę, że jednym i drugim, przynajmniej niektórym, wchodzi to do serca i zostaje tam, nie bez jakichś skutków duchowych i realnych. Taką mam nadzieję...”.

Tak było piętnaście lat temu. W 2013 roku zlikwidowano definitywnie czwartkowe koncerty dla młodzieży. Skończyły się koncerty orkiestry symfonicznej. Od czasu do czasu, w różne dni tygodnia, urządzało koncerty muzyki kameralnej dla dzieci i młodzieży, ale brakowało w nich poprzedniej konsekwencji, różnorodności i bogactwa form. Obecnie jest kłopot z zebraniem wolontariuszy, a pan Kucharski odszedł już jakiś czas temu na wieczną wartę.

Dzięki uporowi Władysława Terleckiego, zarazem szefa „Solidarności” w Filharmonii Narodowej, który będąc już od dawna na emeryturze, nie stracił z Filharmonią kontaktu, i dzięki gromadzącym się wokół niego nielicznym już wolontariuszom, „*Via spei*” i Młoda Filharmonia jeszcze trwają, ale w formie, rzekłbym, szczątkowej.

26 października, we czwartek, oczywiście, w przeddzień 40. rocznicy pierwszego koncertu czwartkowego, Filharmonia dała uroczysty koncert dla młodzieży. W pierwszej części zaprezentowano fragment „Koncertu f-moll” Fryderyka Chopina w wykonaniu Lidii Grychtolówny z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej FN. W części drugiej została wykonana „Symfonia Reformacyjna” Felixa Mendelssohna-Bartholdy.

Dyrektor Wojciech Nowak, który przez lata raczej nie wspierał Młodej Filharmonii i „*Via spei*”, załatwił nawet dwa autobusy w MZA, dzięki czemu można było na ten raz wznowić akcję konstancińską i przywieźć na wieczór niepełnosprawnych. Kierownictwo FN musiało tym razem stanąć na wysokości zadania, by móc pochwalić się młodym audytorium...

...którego przyszłość stoi wszakże pod znakiem zapytania. Ze strony kierownictwa Filharmonii Narodowej zadziwiający jest brak zainteresowania kontynuacją tych przedsięwzięć. Obecny dyrektor artystyczny, Jacek Kaspzyk, tak jak jego poprzednik, jest zajęty jedynie troską o poziom artystyczny orkiestry. Wobec tego przyszłość „Drogi nadziei” – a pod tą nazwą rozumiem tutaj całość przedsięwzięć Władysława Terleckiego i jego pomocników – rysuje się zgola beznadziejnie.

Maria Callas *in memoriam*

Kilka lat temu, po krótkich wakacjach w Grecji, płynęłam promem z Patras do włoskiej Ancony. Robiłam wiele zdjęć, jak każdy zachłanny na piękne widoki turysta. Zdjęcie oddalającego się portu było moim pożegnaniem z Grecją.

To właśnie tu w Patras, na północnym Peloponezie, kilkadziesiąt lat wcześniej, z pokładu włoskiego statku „Saturnia”, trzynastoletnia Maria Callas po raz pierwszy ujrzała Grecję. W marcu 1937 roku, apodyktyczna i konsekwentna Evangelia Kalogeropoulou, po kilkunastu latach emigracji postanowiła wrócić do Grecji, gdzie – jak sądziła – jej niezwykle uzdolniona córka Maria, będzie miała o wiele lepsze warunki kształcenia głosu niż w Nowym Jorku.

Maria Kalogeropoulou

Maria (właściwie: Cecylia Sophia Anna Maria) urodziła się w Nowym Jorku, na Manhattanie. Rodzina wyemigrowała do Ameryki, w poszukiwaniu lepszych warunków życia na kilka miesięcy przed jej urodzeniem. W Nowym Jorku chodziła do szkoły. „Przyjemna, dobrze wychowana i bardzo zrównoważona dziewczynka – wspomina ją jedna z nauczycielek – miała doskonale stopnie” (S. Galatopoulos, *Callas. Prima donna assoluta*, Warszawa 1983).

Matka Marii – Evangelia – pochodziła z tzw. dobrej, arystokratycznej rodziny, która wydała na świat kilku znakomitych muzyków. Bardzo się tym szczyciła. Chwaliła się swoją wiedzą muzyczną i znajomościami w świecie artystycznym. Swoje niespełnione ambicje i marzenia przeniosła na dwie córki – Iakinthy (ur. 1917) i sześć lat młodszą Marię oraz jedynego syna – Vassiliosa (1919-1922), który zmarł na tyfus w wieku trzech lat.

Maria będzie wspominać po latach: „Żal mi wszystkich, którzy dorastali w latach dwudziestych i trzydziestych, w tej epoce cudownych dzieci, kiedy rodzice prześcigali się w pomysłach na to, jak zdobyć sła-



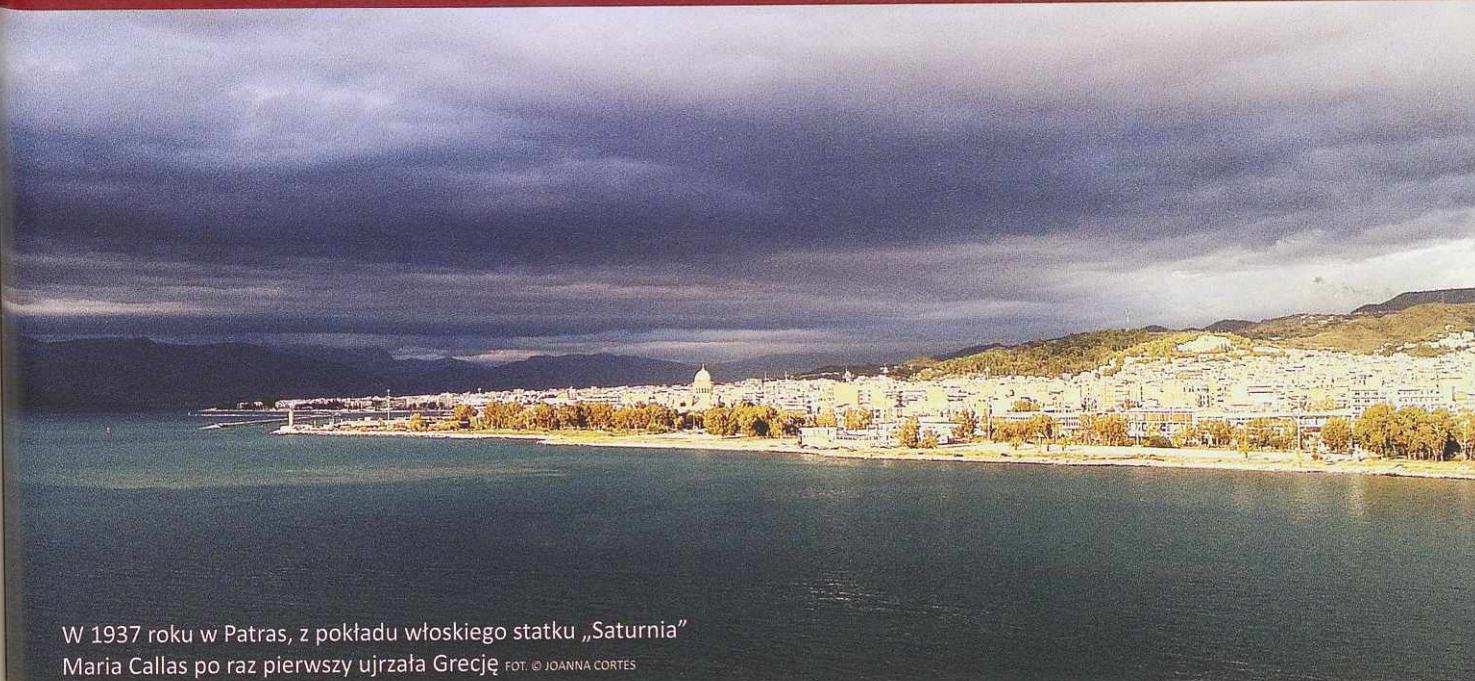
Maria Callas jako Violetta w „Traviacie”, 1958 FOT. © HOUSTON ROGERS

wę i bogactwo. [...] Tym, co pamiętam, nie jest jakaś szczególna zabawka, lalka czy gra, ale utwory wokalne, które musiałam wciąż ćwiczyć, czasem do upadłego, po to, żebym mogła zabłysnąć na zakończeniu roku szkolnego. Dziecku pod żadnym pozorem nie wolno odbierać młodości – to prowadzi do przedwczesnego wyczerpania” (A. Edwards, *Maria Callas. Primadonna stulecia*, Kraków 2015). Starsza siostra, Iakinthy, doda: „Nigdy nie bawiłyśmy się lalkami. Czy zresztą mogło być inaczej, skoro jedynym przykładem macierzyństwa, jaki znałyśmy, była kobieta bez przerwy biadająca, że wyszła za mąż za naszego ojca?” (Tamże).

Największą przyjemność sprawiało Marii słuchanie płyt gramofonowych z muzyką operową, bo tylko takie były w domu oraz pianoli, wygrywającej melodie ze znanych

oper. Evangelia kupowała wyłącznie rolki z zapisem fragmentów oper, głównie Verdiego i Belliniego. Maria, w każdą sobotę chodziła z matką i siostrą do jednej z bibliotek na Manhattanie, gdzie w dziale muzycznym można było słuchać nagrań. Domową pianolę zastąpił wkrótce fortepian.

W wieku siedmiu lat Maria śpiewała już „La Palomę”, „A Heart That’s Free” – przebój filmowy tamtych lat, „Habanerę” z opery „Carmen” czy też „Ave Maria” Schuberta. Pięć lat później była to już aria „Je suis Titania” z „Mignon” A. Thomasa oraz „Un bel di vedremo” z „Madama Butterfly” G. Pucciniego. Maria uświetniła swoim śpiewem wszystkie szkolne imprezy. Evangelia, z ogromną determinacją popisywała się utalentowaną córką wszędzie gdzie to było możliwe, mimo jej



W 1937 roku w Patras, z pokładu włoskiego statku „Saturnia”
Maria Callas po raz pierwszy ujrzała Grecję FOT. © JOANNA CORTES

częstych protestów. Musiał to być repertuar wyłącznie klasyczny.

Maria Trivella, oczarowana głosem i osobowością Marii, była jej pierwszym pedagogiem śpiewu w Konserwatorium Ethnicon Odeon w Atenach. Po latach powie: „Przyjęłam Marię jako swoją uczennicę z wielką przyjemnością, bo zachwycały mnie i wtedy, i potem, jej możliwości głosowe”. Później profesorką Marii i jej wiernym przyjacielem zostanie słynna hiszpańska śpiewaczka, sopran koloraturowy – Elwira de Hidalgo, z którą Maria utrzymywała kontakt prawie przez całe życie. Będąc u szczytu sławy, Maria oświadczyła publicznie: „Raz jeszcze, z sercem pełnym wzruszenia, oddania i wdzięczności, chciałabym podkreślić, że ukształtowanie mego muzycznego i artystycznego życia zawdzięczam wielkiej artystce Elwirze de Hidalgo”.

Piętnastoletnia Maria zadebiutowała na scenie (występ studencki) w kwietniu 1939 roku w partii Santuzzy w „Rycerskości wieśniaczej” w ateńskim Teatrze Olympia, rok później – w partii Beatrice w „Boccaccio” na scenie Opery Ateńskiej. W sierpniu 1942 roku wystąpiła w partii Toski. Po debiucie Marii w prasie ateńskiej ukazała się recenzja: „Niezależnie od doskonałego wykształcenia młodą śpiewaczkę cechuje głęboka, przyrodzona muzykalność, wycucie i zrozumienie sceny, czyli walory, których nie mogła się nauczyć, przynajmniej nie w jej wieku. Są one darem niebios. Nic więc dziwnego, że jej śpiew publiczność elektryzował” (A. Lalaouni).

Śpiewała coraz więcej. W Arena di Verona zadebiutowała w roli Giocondy pod dyrekcją – oczarowanego jej głosem – Tullio Serafina. W Weronie poznała też swojego przyszłego męża – Giovanniego

Battistę Meneghiniego, który stanie się jej menedżerem.

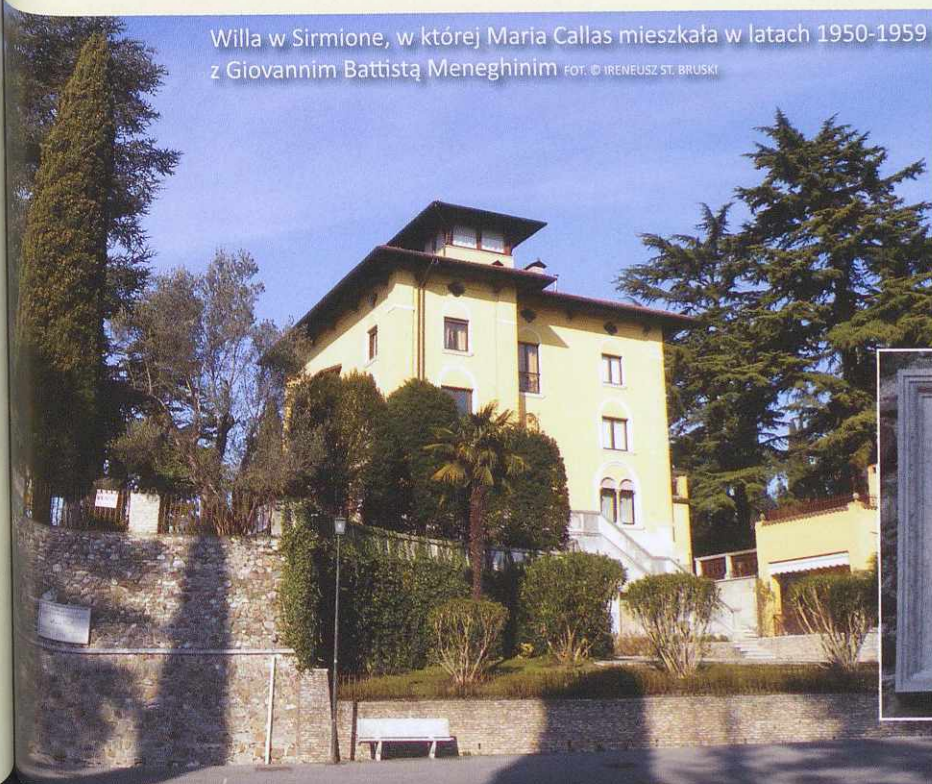
Kiedy w grudniu 1951 roku wystąpiła na scenie mediolańskiej La Scali w partii Heleny w „Nieszporach sycylijskich”, w repertuarze miała już ponad 20 wielkich partii operowych, m. in. Aidę, Turandot, Traviatę, Toscę, Giocondę, Normę, Leonorę w „Trubadurze”, Izoldę w „Tristanie i Izoldzie”, Brunhildę w „Walkirii”, Elwirę w „Purytanach”, Kundry w „Parsifalu”, Abigaille w „Nabucco”. Ktoś dobrze zorientowany w specyfice pracy śpiewaka operowego określiłby ciężar gatunkowy tej ogromnej ilości partii operowych, wykonywanych perfekcyjnie wokalnie i aktorsko przez dwudziestoosmioletnią śpiewaczkę, jako zjawisko bezprecedensowe.

Pracowała bez wytchnienia

Śpiewała we wszystkich największych teatrach operowych świata, partnerowali jej najlepsi śpiewacy, dyrygowali najlepsi, reżyserowali najlepsi. Nowojorska Metropolitan Opera, mediolańska La Scala, Arena di Verona, londyńska Covent Garden, Opera Paryska, Opera Wiedeńska, Teatro Colon w Buenos Aires, Palacio de Bellas Artes w Meksyku, Teatro Municipal w Rio de Janeiro...

Ciąg dalszy na s. 58 →

Willa w Sirmione, w której Maria Callas mieszkała w latach 1950-1959
z Giovannim Battistą Meneghinim FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI





FOT. © ECULESFM.OVER.BLOG.COM

→ Ciąg dalszy ze s. 57

Hy Gardner, dziennikarz „Herald Tribune”, o swym spotkaniu z Marią, po jej pierwszym spektaklu „Normy” Vincenza Belliniego w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, napisał: „Spodziewałem się spotkać zimną, porywczą, choć utalentowaną kobietę – monstrum, a ujrzałem osobę serdeczną, szczerą, przystojną i rzeczową, prawdziwe chodzące bóstwo”.

Stała się piękną kobietą, ubieraną przez największych kreatorów mody, uwielbianą przez tłumy na całym świecie. Udało jej się stracić w stosunkowo krótkim czasie ponad 30 kilogramów nadwagi.

Bardzo trudno było w niej dostrzec dawną Marię. A. Edwards powie o niej: „Były zawsze dwie Marie: jedna skrępowana i nieśmiała w życiu prywatnym, druga – pełna ekspresji wspaniała artystka sceniczna. Te dwie kobiety istniały nadal, lecz teraz ta «wewnętrzna» Maria znalazła sobie tarczę, którą osłaniała się przed światem”. Sama Maria ujmowała to następująco: „Są we

mnie dwie osoby: Maria i Callas. Chętnie myślę, że idą one w parze, bo Maria jest zawsze obecna w moim śpiewaniu. Różnica polega tylko na tym, że Callas zdobyła sławę” (S. Galatopoulos, *Callas...*).



FOT. © MANANITOUKRONOU.GR

W czerwcu 1959 roku, po przedstawieniu „Medei” w londyńskiej Covent Garden, grecki armator Arystoteles Onassis wydał niezwykle wystawne przyjęcie na cześć Marii. Kilka tygodni później zaprosił ją wraz z mężem na swój luksusowy jacht „Christina”. Po latach Maria będzie wspominać: „Gdy spotkałam Onassisa i jego przyjaciół, czarujących i pełnych życia, stałam się zupełnie inną kobietą. Tak, zakochałam się, jak osiemnastolatka i nie wstydzę się tego wyznać. Dlaczego go pokochałam? Bo to pierwszy mężczyzna, który mnie traktuje, jak kobietę, a nie jak maszynkę do robienia pieniędzy”...

Alfonso Signorini w swojej bardzo reklamowanej książce *Troppo fiera, troppo fragile. Il romanzo della Callas* (2009; tłum. polskie 2010) podał do wiadomości, że 30 marca 1960 roku Maria urodziła syna Arystotelesa Onassisa-Omero, który żył tylko dwie godziny. Książka ta, bardziej powieść beletrystyczna z zacięciem poetyckim niż rzetelna monografia, zawiera wiele informacji dotyczących nieznanymi lub wręcz kłócących się z powszechnie znanymi. Pozostaje jednak faktem, według kroniki Steliosa Galatopoulou, że po „Medei” w Dallas, 21 listopada 1959 roku, kolejny spektakl – „Norme” Maria zaśpiewała dopiero 24 sierpnia 1960 w Grecji, w Epidauros.

W porównaniu z dotychczasowym tempem pracy i ilością przedstawień, od tego momentu zaczęła śpiewać coraz rzadziej, miała coraz więcej problemów z głosem, ze zdrowiem. Rozstała się też z Onassisem, choć jeśli wierzyć biografom, nie na długo. W rzeczywistości cały czas pozostawali ze sobą w kontakcie. Miał to być bardzo przemyślany krok Onassisa, którego morskie interesy w Stanach Zjednoczonych zaczęły podupadać, a antidotum na te problemy miało być właśnie spektakularne małżeństwo z Jacqueline Kennedy.

W zbeletryzowanej autobiografii Marii Callas autorstwa Almy H. Bond, czytamy: „Miałam 43 lata i odkąd opuściłam «Christinę», poza hotelowymi pokojami nigdy nie miałam własnego miejsca. Chciałam mieszkać w Paryżu, a skoro Ari nie chciał przenieść się tam razem ze mną, zdecydowałam, że to odpowiednia pora żeby kupić własne mieszkanie przy Avenue Georges Mandel 36 i urządzić je po swojemu. Po raz pierwszy w życiu mogłam nazwać siebie *head of the household* – głową domu jak to mawiają w Ameryce” (*The Autobiography of Maria Callas: A Novel*, BBP 1998; tłum. JC).

Onassis w ciężkich chwilach wciąż wracał do Marii. Gdy w 1973 roku, w katastrofie lotniczej, stracił swego jedyne go syna – Aleksandra oraz w 1975, gdy był już ciężko chory i wkrótce zmarł.

Maria była bardzo przygnębiona, czuła się osamotniona. Kiedy głos odmawiał jej posłuszeństwa, żaliła się: „Czy samotny ptak, lub raczej ptak nieszczęśliwy, może śpiewać?!”. Dwa miesiące przed śmiercią, w lipcu 1977, w rozmowie ze Steliosem Galatopoulosem, stwierdziła: „Jestem trochę przybita. Miałam grype, a nie mogłam zażywać antybiotyków. [...] Na jesieni będzie już wszystko w porządku. Wie pan przecież, że w lecie mój głos zawsze cierpi z powodu suchego powietrza”.

Wymarzona rola

We wrześniu minęło 40 lat od śmierci tej jednej z największych śpiewaczek operowych ubiegłego stulecia. Zmarła nagle 16 września 1977 roku w Paryżu.

Dziś Maria Callas miałaby 94 lata. Byłaby prawdopodobnie najpiękniejszą Maestrą, *très élégant* Madame, odbierającą wciąż hołdy od melomanów na całym świecie, wciąż udzielającą konsultacji młodym adeptom sztuki operowej.

Madame w długiej aksamitno-jedwabnej sukni, na głowie i ramionach miałaby zarzucony jakby od niechcenia koronkowy, srebrny szal, pasujący do koloru włosów, siadywałaby w swoim ulubionym fotelu przy kominku, w salonie paryskiego mieszkania przy Avenue Georges Mandel...

Stary, poczciwy Ferruccio pilnowałby, aby Madame nie zakłócano popołudniowego wypoczynku, a ukochana, wiekowa Bruna, wnosilaby na srebrnej tacy ulubione ziółka Marii z codzienną, obowiązkową porcją leków. Za Bruną odważnie kroczyłby kolejny kudłaty potomek Pixi'ego i Djeddy, zaznaczając od czasu do czasu ważność sytuacji ostrożnym szczeniakiem.

Kilka lat przed śmiercią, w jednym z wywiadów Maria Callas stwierdziła: „Małżeństwo jest cudowne, jeśli tylko znajdzie się właściwego partnera, a szczęśliwe życie rodzinne z dziećmi jest na pewno ideałem”.



FOT. © NIKANTOURNOU/GR

Gdy zapytano ją, czy dla tego ideału potrafiłaby zrezygnować z kariery, zawahała się, by po chwili odpowiedzieć: „Chyba tak”. Po chwili dodała, że bez wątplenia wybrałaby właśnie szczęśliwe życie rodzinne z dzieć-

mi. Niestety, ta jedna jedyna wymarzona rola, prawdziwej i kochanej *head of the household*, pozostała dla niej do końca życia niedostępna...

JOANNA CORTÉS

IV Festiwal Sztuki Czytania

Dobre Miasto 2017

22.11.2017 /środa/

godz. 18:00 Krystyna Czubówna czyta Swietlanę Aleksijewicz

23.11.2017 /czwartek/

godz. 9:00 Przegląd konkursowy sztuki czytania dla młodzieży szkół podstawowych, średnich, warsztaty i ogłoszenie werdyktu jury
godz. 18:00 Wujek Ziuniek monodram Zbigniewa Waszkielewicz

24.11.2017 /piątek/

godz. 11:00, 12:30 Warsztaty czerpania papieru
godz. 18:00 Spotkanie z pisarką Edytą Świętek

25.11.2017 /sobota/

godz. 11:00 Przegląd konkursowy sztuki czytania dla dorosłych, warsztaty i ogłoszenie werdyktu jury
godz. 18:00 Premiera w Teatrze przy stoliku – *Boże Mój* w wykonaniu: Joanny Fertacz, Grzegorza Jurkiewicza
wprowadzenie: Elżbieta Lenkiewicz

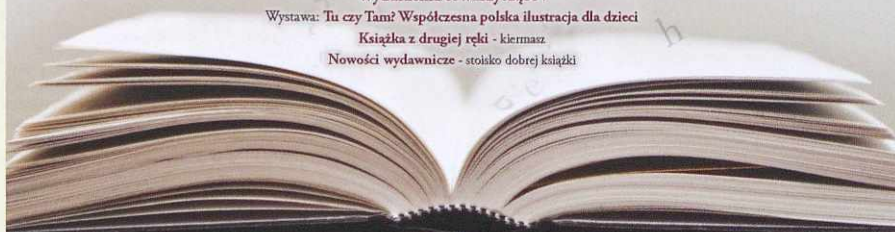
Na wszystkie wydarzenia obowiązują bezpłatne zaproszenia do odebrania w sekretariacie CKB, ul. Górna 1a, w godzinach 9:00 - 17:00

Wydarzenia towarzyszące :

Wystawa: *Tu czy Tam?* Współczesna polska ilustracja dla dzieci

Książka z drugiej ręki - kiermasz

Nowości wydawnicze - stoisko dobrej książki



Miejsce: Salon Artystyczny CKB w Dobrym Mieście, ul. Górna 1a

Informacje: www.ckbdobremiasto.pl, tel. (89) 616-15-91, sekretariat@ckbdobremiasto.pl



GRAND PRIX - JAKUB WAWRZAK
„PSEUDOLOGIA FANTASTICA”

Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie zaprasza na galę finałową
13. OTWARTYCH MISTRZOSTW FOTOGRAFICZNYCH
pod honorowym patronatem Prezydenta Olsztyna



FINAŁ 10 listopada 2017 | 18:00

Galeria Amfilada MOK, ul. Dąbrowszczaków 3



ZŁOTE SZKŁO W KATEGORII ARCHITEKTURA - Jerzy Safijański „Punkt widzenia 1-3”



ZŁOTE SZKŁO W KATEGORII CZŁOWIEK - Jakub Wawrzak „Pseudologia Fantastica No. 1 – No. 6”



ZŁOTE SZKŁO W KATEGORII NATURA - Irma Kamińska „Śniegi I”, „Śniegi II”

Róża „Król Stanisław Leszczyński”

Wbieżącym roku w Węgorzewie zaprezentowano kopię róży „Król Stanisław Leszczyński”.

Wykonała ją z jedwabiu Alina Podberezna w Pracowni kwiatów artystycznych i plastyki obrzędowej tamtejszego Muzeum Kultury Ludowej.

Król Polski Stanisław Leszczyński po raz pierwszy przyjechał do Węgorzewa (ówczesnego Angerburga) 20 lipca i przebywał do 6 sierpnia 1734 roku, podczas podróży do Królewca. Drugi pobyt króla w Węgorzewie datowany jest od 6 do 12 maja 1736 roku, gdy udawał się do Lotaryngii. Monarcha sporą część swego życia spędził na emigracji w Szwecji, Turcji, Palatynacie, w Alzacji i w Lotaryngii.

Na początku XXI wieku narodził się pomysł, by wykorzystać wątek emigracyjny z życia Leszczyńskiego w celu ożywienia współpracy miast europejskich, w których historię się wpisał. W planach jest m. in. utworzenie europejskiego szlaku stanisławowskiego. W związku z tym już od ponad 10 lat w Zweibrücken w Niemczech ulicami miasta przejeżdża powóz zaprzężony w kasztankę Flori (Flori urodziła się w Polsce) i bryczkę (również z Polski). W powozie zasiada Werner Euskirchen w barokowym stroju; z zawodu jest sędzią, a z zamiłowania dziennikarzem telewizyjnym, animatorem kultury i jak mawia „samozwańcym wysłannikiem księcia Zweibrücken”, którego swego czasu reprezentował polski król Stanisław Leszczyński. W mieście zachował się egzotyczny kompleks wybudowany przez Leszczyńskiego o nazwie Tschifflik. Wokół niego, w ogrodzie różanym wśród dwustu europejskich



Prezentacja róży „Król Stanisław Leszczyński”, 21 VII 2017 FOT. © ROKSANA BUTRYM / MKL



odmian róż, w 2006 roku wyhodowano nową odmianę i nadano jej imię „Król Stanisław Leszczyński”. Rośnie ona już w Nancy, w Lesznie, Wrocławiu i w Forst.

KRYSTYNA JAROSZ

Werner Euskirchen jako „samozwańczy wysłannik księcia Zweibrücken” i jego powóz z obowiązkową różą „Król Stanisław Leszczyński” FOT. © WERNER EUSKIRCHEN / FB

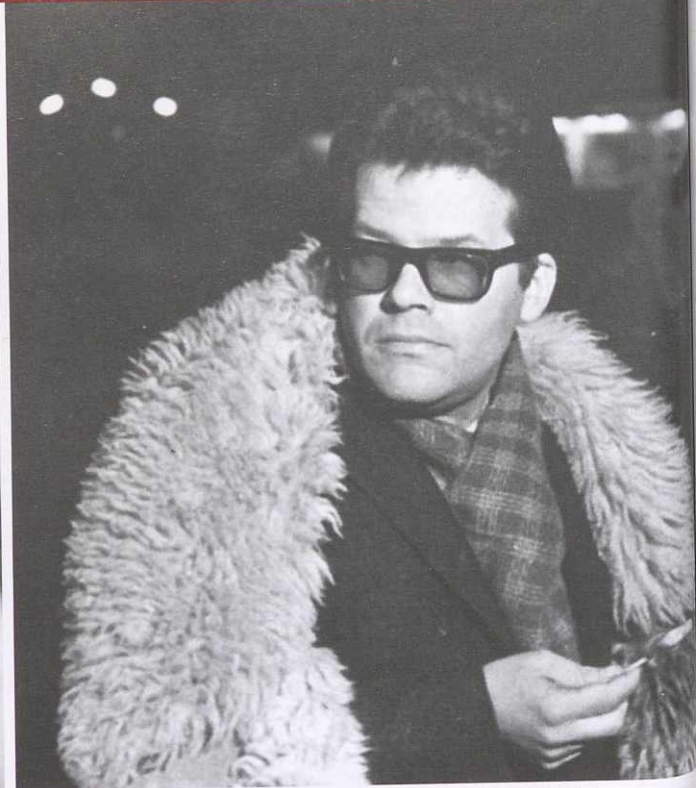


Antoine Pesne, „Portret króla Stanisława Leszczyńskiego”, ok. 1731 FOT. © SP5G.DE

Stanisław Bogusław Leszczyński h. Wieniawa urodził się 1677 roku i był synem wojewody poznańskiego. Dwa razy w czasie swojego życia obejmował koronę polską. Po raz pierwszy przyjął ją z rąk szwedzkich w 1704 roku, jednakże utracił po klęsce króla szwedzkiego Karola XII w bitwie pod Połtawą w 1709 roku. Po tej klęsce udał się do Francji, gdzie po ślubie córki Marii z Ludwikiem XV rezydował wraz z żoną, Katarzyną z Opalińskich i matką Anną z Jabłonowskich, w zamku Chambord nad Loarą, a potem w Meudon. Po śmierci Augusta II Mocnego został ponownie wybrany na króla Polski (1733). Nie został jednak dopuszczony do rządów

przez wojska rosyjskie, którym nie zależało na mocnej władzy królewskiej. Królem został syn Augusta II – August III. Leszczyński we Francji otrzymał księstwo Lotaryngii i Bar, a do końca swojego życia używał tytułu królewskiego. Na swym dworze w Luneville przyjmował m. in. ludzi nauki i filozofów, jak Monteskiusz, Wolter, Stanisław Konarski. Tam miał także napisać (według hipotezy E. Rostworowskiego) traktat: *Głos wolny, wolność ubezpieczający* (1733). Po śmierci Augusta III, po raz trzeci próbował zostać królem Polski (miał wówczas 86 lat), jednakże i tym razem nie było mu to dane. Zmarł w 1766 roku.

AG, KJ



Z licznych artykułów, dokumentów i informacji na temat Cybulskiego, wynurza się obraz sympatycznego chłopaka, a później mężczyzny, któremu przyszło dźwigać na barkach brzemie popularności, o zbyt kochliwym sercu i skrywanym za ciemnymi okularami pędzie do życia.

Zbigniew Cybulski (1927-1967)

Życie w biegu

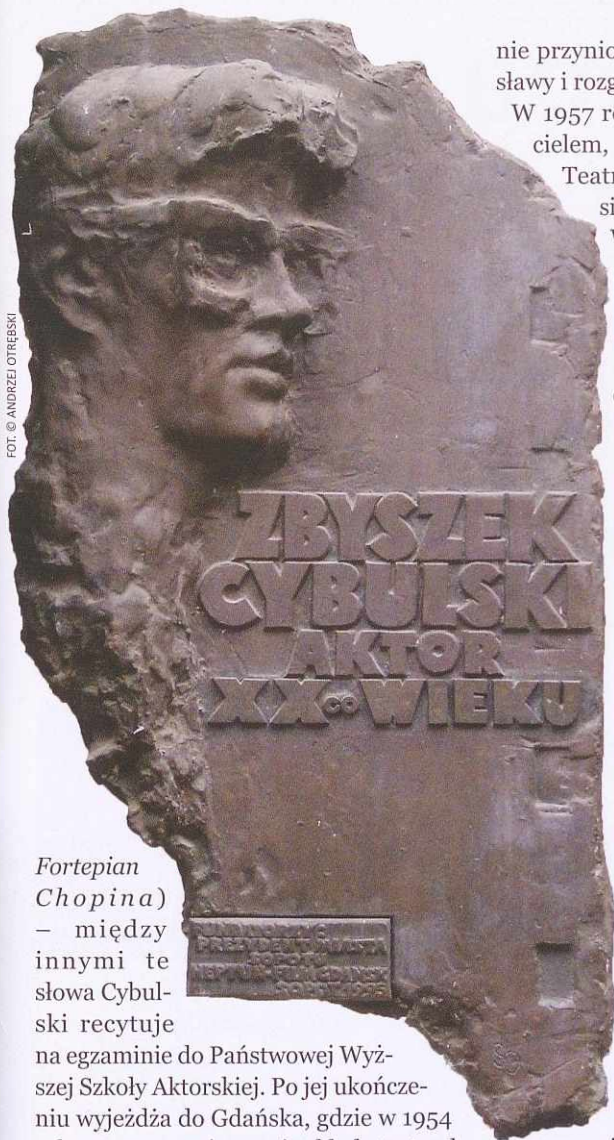
Ciemne okulary, kozuch, chlebak i szkaplerz – oto atrybuty polskiego Jamesa Deana, atrybuty Żyjącego Na Krawędzi, Alfy i Omegi, od życia przesyczonego nieprzeciętnością. W tym roku mija 90. rocznica urodzin i 50. rocznica śmierci człowieka, który nie godził się na nijakość.

Powiedzieć o Cybulskim, że był tylko aktorem, to nie powiedzieć nic. Wszak on sam mówił, że „aktorstwo to piękny zawód, ale nie chciałbym się do niego ograniczać”. Nietuzinkowa osobowość, charyzma, pasja i talent wystawiły Cybulskiego na piedestał. Choć na pięciolinii jego życia melodie majorowe przeplatały się z tymi minorowymi, to nigdy nie było

w nich pauz. Cybulski chłonał codzienność każdym nerwem, każdą komórką ciała i każdym mrugnięciem oczu.

Pierwszą stacją na aktorskiej drodze Cybulskiego jest założenie „teatru na strychu”, który mieścił się na Żoliborzu. Miał wtedy zaledwie dwanaście lat. Bezlitosna wojenna zawierucha odebrała mu rodziców. Po latach okupacji aktor zdaje maturę w Dzierżonowie i rozpoczyna studia na Akademii Handlowej oraz na Wydziale Dziennikarskim Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Krakowie.

„Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie / Niedocieczonego wątku / Pełne jak mit, / Blade jak świt” (Cyprian Kamil Norwid,



Fortepian Chopina – między innymi te słowa Cybulski recytuje

na egzaminie do Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej. Po jej ukończeniu wyjeżdża do Gdańska, gdzie w 1954 roku wraz ze znajomymi zakłada teatrzyk o wdzięcznej nazwie Bim-Bom.

Aktora z nadmorskim miastem połączyła nierozzerwalna nić sentymentu i rozmilowania w teatralnym bycie. „Bim-Bom był wszystkim. I matką, i bratem, i naszym nauczycielem. Był naszym chlebem. Czy był teatrem czy zabawą, snem czy książką – nie wiem. [...] Gdybym umierał, co brzmi pompacyjnie, ale wierz mi, że wszystkie moje filmy i sztuki [...] to wszystko nic – myślałbym tylko o naszym teatrze. Przez Bim-Bom zbliżyłem się do człowieka. Do swego zawodu” (J. Afanasjew, *Sezon kolorowych chmur*, 1968).

Rok 1954 otwiera rozdział filmowej kariery Cybulskiego. W „Pokoleniu” Andrzeja Wajdy wciela się w rolę Kostka. Jednakże bezsprzecznie to postać Maćka Chelmieckiego w dramacie „Popiół i diament” zapewniła artyście zaszczytne miejsce w historii filmografii. I to właśnie wtedy na ulicach zaczęły pojawiać się Cybulscy. Nawet sam aktor został niegdyś wzięty za swojego sobowtóra. Nastąpił czas prawdziwej Cybulskomanii. Jednocześnie rola w tym filmie stała się ciężarem, który Cybulski musiał dźwigać do końca życia. Bowiern nigdy później żadna z odgrywanych postaci

nie przyniosła już aktorowi tak wielkiej sławy i rozgłosu.

W 1957 roku Cybulski wraz z przyjacielem, Bogumiłem Kobielą, zakłada Teatr Rozmów. Wcześniej wciela się również w kilka ról w Teatrze Wybrzeże. Duch jego aktorstwa zagościł także na deskach Teatru Ateneum w Warszawie oraz Teatru Kobra. Pojawiał się w kabarecie Wagabunda oraz w programie „Poznajmy się” Jerzego Gruzycy.

Warszawa – to kolejne miasto, w którym osiedlił się artysta. Ale już nie w pojedynkę – w 1960 roku w Sopocie wziął ślub z Elżbietą Chwalibóg. Warto w tym miejscu podkreślić, że huczne weselisko w Chmielnie trwało aż trzy dni. Rok później na świat przyszedł ich jedyny syn – Maciej.

Pobyt w stolicy Cybulski wspomina bardzo cierpko. Nie mógł odnaleźć się w świecie „cwaniactwa i pogoni za karierą”, jak sam określił Warszawę. Zarówno życie aktorskie, jak i rodzinne nie układają się w tamtym czasie najlepiej. Cybulski mimo wielu odegranych ról filmowych i teatralnych nie sprawdza się w tej najważniejszej – roli ojca. „Zbyszek był człowiekiem bardzo trudnym we współżyciu” – wspominała jego małżonka. W domu przebywał bardzo rzadko, nie poświęcał czasu jednemu

potomkowi, a gdy Maciej miał 6 lat – aktor ginie w tragicznych okolicznościach.

„Wierny mąż” to w przypadku Cybulskiego czysty oksymoron. Pośród tłumy wielbicielek, w gąszczu ofiarowanych kwiatów i stosie nadesłanych listów, pewne dwie damy zagościły w sercu aktora na dłużej. Mowa tu o Édith Piaf – francuskiej śpiewaczce, u której Cybulski często gościł w Paryżu i o której powiedział, że „była samym urokiem i wdziękiem”.

Kolejną platoniczną miłością była Marlena Dietrich. Poznali się podczas drugiego tournée niemieckiej aktorki po Polsce. Wzajemna fascynacja suto zakrapiana była alkoholem. Po spotkaniu pisali do siebie listy. Cybulski przyjechał później do Paryża, aby zobaczyć się z kobietą, jednakże jego starania zakończyły się fiaskiem.

7 stycznia 1967 roku Cybulski otrzymał telefon zza oceanu z informacją, że został wybrany spośród stu pięćdziesięciu innych aktorów do roli Kowalskiego w sztuce „Tramwaj zwany pożądaniem” Tennessee Williamsa.

Dzień później, 8 stycznia, również został wybrany spośród innych, aby zakończyć ziemską wędrówkę i już na zawsze zejść ze sceny. A właściwie z niej zeskokczyć.

Cybulski wraz ze swoim przyjacielem „Alfą” – Alfredem Andrysem, śpieszyli się na pociąg „Odra”, który odjeżdżał o 4:20 z peronu trzeciego wrocławskiego dworca. Wskakując do pociągu, noga Cybulskiego zablokowała się między stopniem a brzegiem peronu...

Śmierć aktora stała się dopełnieniem jego sposobu życia, bowiem żył w biegu i tak też umarł.

MARTA NOWAK



Ile? Było, nie ma, trochę zostało...

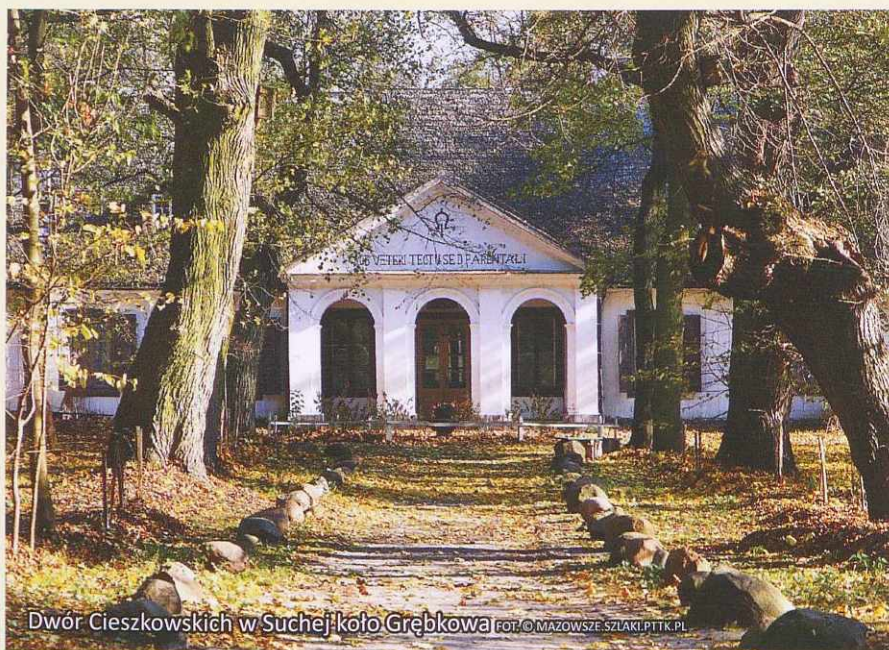
Obiecałam wytłumaczyć się z tytułu tego cyklu... „Powracanie ziemian” – dlaczego? Po kolei.

Wydobywanie się spod propagandowej interpretacji świata potrafi trwać długo. Niby już wiesz, że było inaczej niż wcisnęli ci do głowy w szkole czy w mediach. Niby już jesteś po drugiej stronie cienkiej czerwonej linii, a jednak wciąż nie zadajesz pytań, które są podstawowe. Tak i ze mną było.

To prawda, od małego lubiłam wszystko, co pałacowo-dworskie. Moja śp. Mama zamęczała mnie (tak wtedy myślałam) wyprawami z konserwatorami, którzy opowiadali o tych wszystkich iluś osiowych ryzalitach, traktach, mansardach i boniowaniach. Wyszukiwała te spotkania w jakichś Towarzystwach Wiedzy Powszechnej, a ja wtedy widziałam to wszystko jako zabytki. Coś, co jeszcze jest, co da się opisać w kategoriach historii architektury i sztuki, ale co już jest tylko przeszłością, o której trzeba pamiętać, bo pięknie wyglądała i tyle.

W latach 80. plątałyśmy się z mężem po starych kościołach i muzeach w starych pałacach. Zwykle koleją, potem na piechotę. Raz chyba nawet stopem. To wtedy zakochałam się w Tylmanie z Game-ren, ponoć synu krawca z Utrechtu, który nasycił polski krajobraz budowłami na niezmiernym styku baroku i klasycyzmu.

Na początku lat 90. Stowarzyszenie Historyków Sztuki zaczęło robić dworskie seminaria i wydawać referaty w kolejnych tomach. A kiedy profesor Jaroszewski wydał nie za duży – ale za to z rysunkami – przewodnik po pałacach i dworach Mazowsza, z radością, metodycznie, co sobotę, jeździliśmy z zaprzyjaźnionym reżyserem po bocznych drogach wokół Warszawy i odkrywaliśmy kolejne domy albo tylko ich fundamenty. To wtedy dotarło do mnie, że póki we dworze była szkoła czy PGR – jakoś trwały. Po likwidacji pegeerów wiele z nich, nieremontowanych, traciło dach, a potem błyskawicznie przestawało istnieć. Opowiadałam wtedy znajomym, że w promieniu 150 kilometrów od miasta jest tych dworów prawie tysiąc – nie wierzyli.



Dwór Cieszkowskich w Suchejkoło, Grębkowa. FOT. © MAZOWSZE.SZLAKI.PTTK.PL

Scenariusza dużego dokumentu o tej naszej bolącej wyrwie, zaprzyjaźnieni „nasi” w telewizji jednak nie chcieli. Mogliśmy dostać „zamówienie” na pięciominutowe pocztówki krajoznawcze. A myśmy chcieli pokazać całość. Utratę i konsekwencje.

Marek Kwiatkowski do dworu po Cieszkowskich, w Suchej, zwoził już wtedy stare organistówki i karczmy z okolicy. Z nim i z kilkoma właścicielami mazowieckich dworów, którzy je od Państwa sprzedającego „zabytki” kupili i nawet założyli jakieś swoje koło przy PTTK, uknuliśmy wtedy spiszek pod nazwą „Ziemiański szlak wokół Warszawy” i pracownie planowaliśmy nigdy nieureczywistnioną trasę dla licealistów.

Wtedy – widziałam to wciąż jako dramat pięknych miejsc i pięknej formy, choć już zaczynałam dostrzegać ludzi, którzy się w tych odebranych majątkach kształtowali. Bo Marek Miller wydał już swoją *Arystokrację* (1993), pokazująca „podszewkę” trwania pałacu nieborowskiego, z którego całą zebraną tam, nie wiedząc czemu, wierchuszka arystokracji wywieziono do Krasnojarska. A spotkany w Suchej Zdzisław Morawski naopowiadał mi już ile się dało o tym, jak srogo wychowywano ich, dzieci, w Małej Wsi, żeby przypadkiem nie czuły się ważniejsze i żeby potrafiły dobrze służyć innym. Fakt, w jego rodzinnym dworze wciąż był ośrodek URM-u, ale nie mieszkała już w nim, jak fuksem przez lata, Nina Andrycz. Taka to była miara postępu.

Z roku na rok, pojawiała się coraz więcej poszukiwaczy rodzinnych śladów, pomagał im Minakowski ze swoją genialną „Genealogią potomków Sejmu Wielkiego”. Ale wciąż widywałam w portalach turystycznych sformułowane bez potrzeby jakiegokolwiek wytłumaczenia frazy: „Dwór oddany na Skarb Państwa”. A na mosiężnych tabliczkach – informacje: „W posiadaniu muzeum od 1946 roku”. No, dobrze, czasem muzeum podawało trop nieco dokładniejszy, choć wciąż pełen niespotykanej dyskrecji, jak na przykład: „Z kolekcji Potockich w Krzeszowicach”, które to Krzeszowice można było sobie obejrzeć w stanie lekko zrujnowanym w sieci i dośpiewać resztę.

Czytałam, oglądałam, już widziałam w tym i ludzi, i rolę, jaką obywateli ziemscy pełnili przez stulecia. A jednak dopiero rok temu zadałam sobie pytanie, od którego wszystko powinno się zaczynać.

Ile?

Ile majątków zabrał obywatelom ziemskim w 1944 roku dekret PKWN, podpisany przez Bieruta, Osóbkę-Morawskiego, Wasilewską, Berlinga?

Do tej pory wiedziałam, że dużo, widziałam szczegóły tej nienazwanej w historiografii oficjalnej opowieści. Ale nie zapytałam siebie o skalę. A skala stała się oczywista, kiedy tylko wyciągnęłam po nią rękę. Ciotka Wiki, od czci i wiary często odsądzana, podała mi ją tacy.

Prawie dziesięć tysięcy majątków ziemskich zabrano ludziom tu, w tych granicach, które narysowała dla nas Jałta. Kolejne piętnaście tysięcy pozostało za grubą kreską mapy, zaproponowaną przez Curzona jeszcze w negocjacjach ryskich. Kresowe piętnaście tysięcy opisał jeden niezwykle człowiek, który przyjechał ze Lwowa wraz z Ossolineum. Roman Atanazy (o nim będzie osobno, bo to postać szczególna). Dziesięć tysięcy majątków odebranych wewnątrz granic pojałtańskich opisują przez ostatnie lata w najróżniejszych miejscach najróżniejsi ludzie. A ja, mogę o tym wszystkim czytać. I dlatego to jest dla mnie czas... powracania ziemian.

Nie „przemijania”, nie „kresu epoki” jak nazywa to „Karta”, która ponad rok temu wydała numer ze wspomnieniami ziemian z czasu, kiedy dwory wpadały w ręce nowych okupantów. Jestem z „Kartą” zaprzyjaźniona, bo robiłam ją dawno temu, w podziemiu, kiedy nie była jeszcze kwartalnikiem historycznym tylko zwykłym „tolstym żurnalem”, jak się wtedy mówiło. Po '89 „Karta”, przez trop Sybiraków i wielkie Archiwum Wschodnie siłą rzeczy musiała zaprzyjaźnić się ze środowiskiem ziemiańskim. Współpracował z nią śp. Janusz Przewłocki, który z pasją zbierał zdjęcia dokumentujące historię polskich ziemian. Część była pokazywana w warszawskim Domu Spotkań z Historią, część została opublikowana w albumie przez „Kartę” wydanym, a wszystkie leżą dziś w magazynie Muzeum Narodowego i czekają.

Ale „ziemiański” numer „Karty” (87/2017) miał piekielną okładkę. Żadna tam nobliwa matrona w żabotach czy ogródkonący w promieniach słońca z dziewczynkami w anielezach. Na zimowym chyba zdjęciu stoi Juliusz Tarnowski, obok niego Władysław i Adam Zamoyscy. Każdy ze strzelbą, z lufą skierowaną ku ziemi, po polowaniu. Przed nimi, równo ułożone, trzy martwe wilki. A w mojej głowie od razu te tropy z Kaczmareckiego. Coś zniszczyliście, a teraz jesteście sami jak te wilki? To wy byliście jak obława, a teraz „wszyscy wyginiecie”? I tytuł numeru: *Przemijanie ziemian*. Wewnątrz: *Temat numeru – ziemiaństwo – kres epoki* i wstępniak Zbyszka Gluzy z jednej strony czuły wobec dziedzictwa, z drugiej ze stalową ostrością akceptujący to, co jest. Kres, przemijanie, zostało po nich...

No a do mnie oni właśnie powracają.

Są jak ten wilk Kaczmareckiego, co jednak przetrwał i nawołuje, że trzeba się bronić. „Wyrwałem się z oblawy tej, schowałem w obcy las,

Lecz ile szczęścia miałem w tym, to každy chyba przyzna.

Leżałem w śniegu jak nieżywy długi, długi czas.

Po strzale zaś na zawsze mi została krwawa blizna!”

(„Obława”, 1974, IV zwrotka).

Blizna została, ale przetrwali. Skąd w nich siła do trwania?

Pisze o tym Jałowicki, o którym się dowiedziałam na blogu Coryllusa, a teraz przepisuję i podaję dalej.

„Requiem dla ziemiaństwa”, relacja z września '39.

Wpadł do hotelu jakiś wojskowy wołając: – Uciekajcie, panowie, bolszewicy są już w pobliżu Wilna. [...]

Była godzina druga nad ranem, gdy przed hotelem zawarzały głucho jakieś pojazdy. [...] W świetle latarni stały dwa czołgi. Ujrzałem charakterystyczne czapki z wielkimi czerwonymi gwiazdami. To nie było złudzenie, to byli bolszewicy.

Tym razem ogarnęła mnie rozpacz. „Wiec po to wyjechaliśmy z Kamienia, na to przeszliśmy całe to piekło ucieczki, aby na końcu wpaść w łapy bolszewickie i zakończyć życie gdzieś w łagrach dalekiej Syberii”. – Zaczęłam się modlić, z trudem panując nad nerwami. W końcu dobiegły do mnie słowa mojego [nieżyjącego] Ojca: „Kiedy jesteś słabszy, to jedyną obroną jest desperacki atak na przeciwnika”.

Wyskoczyłem na ulicę. Byłem w długich butach i nocą nie miałem wyglądu burżuja.

Podszedłem do żołnierzy stojących obok czołgów. Poczęstowałem ich papierosami. *A gdzie naszi?* – spytałem.

– *Naszi wsio jeszcze tam* – jeden z żołnierzy wskazał w kierunku Niemenczyna.

– *A tam jeszcze naszych niet?* – pokazałem ręką w kierunku kościoła św. Rafała i szosy wilkomierskiej.

– *Niet, naszych tam jeszcze niet, oni nie-skoro budut.*

Szybko wróciłem do hotelu. Co prędzej wzięliśmy nasze walizki i chyłkiem, wzdłuż murów domów okalających plac Orzeszko-

wej dostaliśmy się do naszego samochodu. Zosia znalazła jakiś czerwony szalik. Naprędce uwiązałem jego część jako opaskę, a resztą udekorowałem samochód [...] i wyjechaliśmy na pierwszą ulicę mającą wylot na szosę wilkomierską.

W pobliżu szosy samochód zanurkował przednim kołem. Ulica przekopana była rowem, a przed nami na szosie wilkomierskiej stały znowu dwa czołgi sowieckie. Poczujęm w sobie siłę desperata. Westchnąłem do Matki Bożej o pomoc. Wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do żołnierzy. Spojrzeli na moją czerwoną opaskę, a ja na ich poczciwe, tak mi znane tępe twarze rosyjskich żołdatów.

– *Riebata* – krzyknąłem, jakbym był komisarzem – *pomagitie. Domkrat [lewar] u was jest?*

– *Jest, no nie rabotajet* – odpowiedział jeden z żołnierzy. Czułem, że zadziałał u nich przez zaskoczenie odruch bezmyślnego wykonywania rozkazów. Należało się spieszyć.

– *Nu kakije u was poriadki. Chaditie bystro wytianut maszynu, a patom zakurim.*

Wspólnymi siłami wyciągnęliśmy samochód.

– *Spasiba, bratcy* – zawołałem, rzucając parę paczek papierosów przy wjeździe na szosę. – *Spasiba* – powtórzyłem.

Droga na Litwę stanęła otworem.

Więc i ja dziś mam poczucie, że otworem stoi droga do przywrócenia obywatelom ziemskim ich miejsca w naszej wciąż toczącej się historii. Jasne, parlamentarzyści będą przez kolejne dwadzieścia lat przygotowywać kolejne dwadzieścia projektów (tyle już było) ustawy reptrywatyzyjnej i nigdy jej nie uchwalą. Wpływu na nich nie mam. Mogę za to namawiać „Kartę” i ziemian do pewnego wspólnego działania (ale to na razie tajemnica więc o tym za trochę). Mogę pisać o tym, co było i co – w zmienionej formie – wciąż, na szczęście, jest. To piszę.

CDN.

ANNA MIESZCZANEK



Pałac w Krzeszowicach, proj. Karl Schinkel, 1823 FOT. © SAE



FOT. © KATARZYNA GAJDA-BATOR / IPN

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Instytut Pamięci Narodowej dla Łyczakowa

Lwów, 27-28 października 2017



Cmentarz Łyczakowski i wielka historia lwowskiego dziennikarstwa

Wdwudziestolecu międzywojennym we Lwowie ukazywało się tysiąc tytułów prasowych, a miasto było jednym z najważniejszych ośrodków kultury i nauki w Polsce. Nad treścią gazet pracowały setki dziennikarzy. Od ośmiu lat ich groby na Cmentarzu Łyczakowskim odszukują dziennikarze z Podkarpacia. A przed Wszystkimi Świętymi wyrusza z Rzeszowa specjalna ekipa porządkowa, by oczyścić mogiły. W tym roku do Lwowa pojechała grupa 20 osób wsparta przez rzeszowski oddział Instytutu Pamięci Narodowej.

Wszystko zaczęło się od Jolanty Danak-Gajdy, dziennikarki Radia Rzeszów. W 2009 roku przygotowała audycję o akcji polskich prawników, którzy zebrali pieniądze na remont znajdującego się na Cmentarzu Łyczakowskim grobu Juliusza Makarewicza, autora Kodeksu karnego z 1932 roku. Grobowiec prawnika był jednym z tysięcy polskich grobów niszczących na najsłynniejszym lwowskim cmentarzu. To wtedy wymyśliła i od razu wprowadziła w czyn akcję opieki dziennikarzy nad grobami niezjących kolegów po fachu, którzy spoczywają na Cmentarzu Łyczakowskim. Z pomocą archiwistów odszukała mogiły około 50 żurnalistów i z paroma przyjaciółmi pojechała do Lwowa, by je uporządkować.

Od 2009 roku wyjazdy są kontynuowane. Organizuje je Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, a w tym roku wyprawie patronował Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie. Kilkunastu dziennikarzom towarzyszyli z ramienia IPN – dr Piotr Szopa i Katarzyna Gajda-Bator. Byli reprezentanci radia i prasy, a równolegle Telewizja Rzeszów przeprowadzała swoją akcję „Światelko dla Łyczakowa”, w ramach której dowiodła do Lwowa zebrane wcześniej tysiące zniczy, by 1 listopada zapłonęły na lwowskim cmentarzu, stając się świadectwem pamięci Polaków o tym miejscu.

– Cieszy mnie, że ekipa dziennikarzy, którzy jadą przed listopadowym świętem sprzątać groby rozrasta się – mówi Jolanta Danak-Gajda. – Jeżdżą już nie tylko dziennikarze z Podkarpacia, ale także Warszawy i Tarnowa. A jeden z kolegów zaproponował, że za rok namówi druhów z ochotniczej straży pożarnej do wsparcia naszych wysiłków. W tym roku udało nam się odnieść mały sukces. Nasza koleżanka z Radia Rzeszów, Ewa Koch, odnalazła grób dziennikarza, którego nie mieliśmy na naszej mapie – Leszka Wiśniowskiego. Już z nagrobnej tablicy można

się dowiedzieć, że była to postać nietuzinkowa. Był powstańcem węgierskim z 1948 roku, przebywał na emigracji w Szwajcarii, po powrocie walczył w powstaniu styczniowym, a wcześniej założył „Gazetę Krajową” we Lwowie.

Przy okazji poszukiwania i upamiętniania miejsca spoczynku lwowskich dziennikarzy, można trafić na wiele ciekawych historii.

– Grób Henryka Rewakowicza ucierpiał we wrześniu 1939 roku – opowiada Jolanta Danak-Gajda. – Trafił w niego pocisk. Rodzina po wojnie starała się szkodę naprawić. Odezwał się do mnie potomek tego dziennikarza, który mieszka we Wrocławiu i odkrył tajemnicę swojej rodziny. Ten pan nazywa się Krzysztof Urbański. Jego dziadek Urbański był leśniczym w okolicach Łańcuta. Okazuje się, że w leśniczówce Budy Łańcuckie, gdzie przez lata mój tato był leśniczym i gdzie ja też mieszkałam. Nazwisko Urbański było mi znane. W tej leśniczówce była siedziba przedstawiciela rządu londyńskiego na powiat łańcucki. Są też inne związki. W tej leśniczówce w czasie wojny ukrywał się lwowianin Bolesław Opalek, szef Towarzystwa Przyjaciół Lwowa i Kresów Południowowschodnich, który niegdyś pracował w Radiu Rzeszów.

Wiele rodzin pamięta o swoich potomkach spoczywających na Cmentarzu Łyczakowskim, ale obawiają się wyjazdu na Ukrainę. Taką osobą jest Ewa Guski, praprawnuczka Ludwika Inlendera. – Za sprawą męża, który był Niemcem, trafiła do Düsseldorfu i tam obecnie mieszka – opowiada Jolanta Danak-Gajda. – Wciąż szuka grobu swojego pradziadka, ponieważ według rodzinnego pamiętnika, jest on pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim. Nie udało się tego na razie potwierdzić. W grobie Inlenderów, który odnaleźliśmy, jest pochowany brat jej dziadka Władysław. Wciąż więc szukamy grobu Ludwika. W tamtym roku próbowaliśmy go znaleźć na innym cmentarzu Lwowa – Janowskim. Na razie bez powodzenia.

– W latach 1918-1939 we Lwowie ukazywało się tysiąc tytułów prasowych. Pod tym względem Lwów wyprzedzał Kraków – przypominał dr Piotr Szopa. – Swoje periodyki wydawało każde stowarzyszenie, uniwersyteckie wydziały. Tak wielkie środowisko dziennikarskie tworzyli wybitni ludzie. Ich teksty wybijały się ogólnopolskim środowisku. Była nie tylko prasa. Polskie Radio Lwów, które zaczęło nadawać 15 stycznia 1930 roku, z niewielkiej rozgłośni stało się jednym z najpopularniejszych w Polsce.

Audycja pt. „Wesoła Lwowska Fala” ze słynnym Szczepciem i Tońciem miała 6 milionów słuchaczy.

Dr Piotr Szopa nakreślił obraz przedwojennego lwowskiego środowiska dziennikarskiego podczas spotkania w Klubie Galicyjskim, które odbyło się w ramach wyjazdu do Lwowa. Historyczny wykład był wstępem do dyskusji o roli dziennikarza w kształtowaniu stosunków polsko-ukraińskich.

– Klub Galicyjski to pomysł, który zrodził się przy redakcji „Kuriera Galicyjskiego”, polskiej gazety wydawanej we Lwowie – mówi zaangażowany w działalność Klubu Galicyjskiego i współorganizujący wyjazd do Lwowa Andrzej Klimczak. – Ta inicjatywa trwa już od kilku lat. To polsko-ukraiński klub dyskusyjny, któremu przyświeca hasło, głoszone przez redaktora naczelnego „Kuriera Galicyjskiego” Mirosława Rowickiego: „Wolni z wolnymi, równi z równymi”. Dyskusje dotyczą różnych tematów, najczęściej powracają te historyczne. Celem jest poszukiwanie dróg pojednania pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Dzieje się to poprzez środowisko dziennikarskie i ma dzięki temu szerszy oddźwięk społeczny. W Klubie Galicyjskim poruszamy temat, w których obie strony twardo trwają przy swoich stanowiskach i nie widzą tu rychłej poprawy i przekonania do kompromisów. Widocznie nie nadszedł jeszcze od tego czas. Ale trzeba o te dobre relacje dbać.

– Kiedy wędrujemy między grobami, poszukując dziennikarskich grobów, uświadamiam sobie, jak wielokulturowe i różnorodne było to środowisko – mówi Jolanta Danak-Gajda. – Przedwojenni dziennikarze Lwowa prezentowali różne poglądy społeczne i polityczne. Jakoś udawało im się żyć w jednym mieście i dyskutować, razem budować polską społeczność. Warto o nich pamiętać.

ALINA BOSAK
biznesistyl.pl

PS. W połączeniu z wizytą we Lwowie dziennikarzy rzeszowskich, którzy tradycyjnie w przededniu 1 listopada odwiedzają Cmentarz Łyczakowski i porządkują groby spoczywających tam przedwojennych dziennikarzy, 28 października odbyło się także spotkanie Klubu Galicyjskiego. Poświęcone było dziennikarstwu i zagadnieniom tego zawodu, rozmawiano o jego misji, o wypaczeniach współczesnego dziennikarstwa i o współpracy dziennikarzy polskich i ukraińskich. Relacja ze spotkania w kolejnym wydaniu „Bez Wierszówki”.

ISB

Lech Ordon od aktorskich Perełek

Wpodwarszawskich Załuskach zmarł 21 października Lech Ordon (ur. 24 listopada 1928 w Poznaniu). Tak naprawdę sam nie wiedział, kiedy się urodził, bo podczas wojny ojciec zmienił mu datę urodzenia, aby w ten sposób uchronić syna przed niemieckim nakazem pracy. Nakazu nie uniknął, młody Lech pracował przy produkcji niemieckich myśliwców, ale zamieszanie z datą urodzin pozostało. Prawdopodobnie więc dożył 90. roku życia.

Należał do cenionych aktorów komediowych, chociaż zdarzały mu się role poważne i to grane z sukcesem jak groźny Schulz w „Niemcach” Leona Kruczkowskiego, telewizyjnym spektaklu Kazimierza Dejmka (1969). Ale jego żywiołem była komedia.

Obdarzony naturalną *vis comica* wzmocniał tę siłę biegłością warsztatową. Uważał się za ucznia Zelwerowicza i Schillera, cenił tzw. starą szkołę. Grywał zwykle role drugiego planu albo epizody, tworząc wspaniałe tło dla głównych protagonistów. Czasem wychodził na czoło jak choćby w popularnym swego czasu cyklu telewizyjnych „Bajek dla dorosłych”, gdzie występował w roli Króla.

Zawsze budził żywiołową sympatię, doprowadzał publiczność do płaczu jako niezrównany Perełka z „Zemsty”. Życzliwi ludziom, uśmiechnięty, nie opuścił w swoim ukochanym Teatrze Polskim żadnej premiery. Widać było, że nie umie żyć bez teatru. Jeszcze dziesięć lat temu można było go spotkać jako aktora na scenie w tym Teatrze. Zaczynał w Łodzi, ale od 1949 roku związał się z Warszawą, kolejno z Narodowym, Współczesnym, Ateneum i właśnie Polskim.

Chętnie brał udział w rozmaitych zdarzeniach wspierających Dom Aktora w Skolimowie, spotkaniach artystów, jak choćby w zorganizowanym przez Klub Krytyki Teatralnej przed 15 laty „Złocie Hamletów” w warszawskim Domu Dziennikarza.

– Czego ja nie grałem! Poza rurą od pieca grałem chyba wszystko – mówił przed laty w rozmowie z Krzysztofem Lubczyńskim. Rzeczywiście zagrał bardzo wiele – w około 100 filmach, m. in. w „Żonie dla Australijczyka” czy „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”. Jego ostatnim filmem były „Listy do M” (2011). W teatrze wystąpił w ponad stu wcieleniach, kilkadziesiąt razy w Teatrze Telewizji i kilkaset razy w Teatrze Polskiego Radia. Dorobek imponujący, któremu zawsze towarzyszyła życzliwość widzów. Marzył o zagranici, Colasa Breugnon z powieści Rolanda.



FOT. © MARIA WILMA-HINZ / ZASP

Ale to marzenie się nie ziściło. Chociaż... był Colasem w życiu codziennym – zawsze pełen optymizmu i nadziei, już nie tak silnej po śmierci ukochanej żony. Brakować będzie jego wyrozumiałego uśmiechu.

– Niech pan napisze, że pierwszą rolę Fredrowską zagrałem ponad 60 lat temu [to był Lokaj w „Panu Jowialskim” w reżyserii Henryka Szletyńskiego, 1947]. Perełka to mój dziesiąty Fredro. Ja jestem z Fredry – mówił do mnie zachwycony, że Jarosław Kilian obsadził go w swojej „Zemście” (2008).

TOMASZ MIŁKOWSKI

O Lechu Ordonie...

Jego obecność w zespole powoduje złagodzenie obyczajów. Pogodny, uśmiechnięty, rozmieszczaający wszystkich i życzliwy ludziom. On się nigdy nie spóźnia, ale też nigdy się nie śpieszy. Wszystko robi powoli, spokojnie, w ogóle się nie denerwując. Wszystkich to niesłychanie uspokaja. Ma niezwykle łagodzący stresy sposób bycia. Bardzo kocha swój zawód. [...] Leszek bardzo lubi radio i dużo tam gra, a to dlatego, że mikrofon nie znosi kłamstwa, fałszu. W teatrze można nadrobić miną, gestem... Mikrofon wyłapie każde oszustwo. On jest w radiu niesłychanie prawdziwy, co świadczy o jego znakomitym aktorstwie.

Barbara Horawianka

Garderoba nr 4, to było miejsce w Teatrze Polskim specjalne. Kiedy Kazimierz Dejmek był dyrektorem, a właściwie nawet potem, kiedy był już ministrem, to zawsze do tej garderoby zaglądał. Siadał, miał tam specjalny fotel, często nie rozbierając się z płaszczem, papierosy swoje palił i właściwie nie tyle on opowiadał, co myśmy od razu śpieszyli z różnymi nowościami, dowcipami, anegdotami, opowiadali co się dzieje w Teatrze... W tej garderobie to siedzieliśmy: Ordon, Kalenik, Bogdan Potocki i ja. No i główną postacią w czasie tych spotkań, co tu dużo gadać, był Leszek Ordon. W garderobie zawsze królował, był ze względu na swoją i fizyczną wagę, i wagę jakiejś swojej lojalności, i sposobu bycia, osobą w tej garderobie ważną. Powiedziałbym – najważniejszą.

Bogdan Baer

Ordon poprzez swą jasność i poczucie humoru miał zawsze zbawienny wpływ na byłego dyrektora obu teatrów [Narodowego i Polskiego], w których razem byliśmy – Kazimierza Dejmka. I jest to wpływ szalenie cenny, rozładujący sytuację, likwidujący napięcia. A poza tym oczywiście, poza wszelką konkurencją jest jego wspaniała *vis comica*, niezaprzeczalnie cudowna – na scenie i za kulisami.

Ignacy Gogolewski

Lech Ordon o...

O pracy

Nie znoszę słowa kariera... Naprawdę nie lubię jak czytam gdzieś: „...no i wtedy rozpocząłem moją karierę”. To mi się zawsze kojarzy z czymś bufonowatym...

Zacząłem pracę – normalnie, bo przecież my aktorzy po prostu pracujemy. Łapię się na tym, że im jestem starszy tym rzadziej używam określenia – idę grać. Mówię – idę do pracy. Po prostu, tak jak każdy.

Naprawdę nie umiem mówić o sobie. To nie jest kokieteria... Jak słyszę, gdy aktorka czy aktor mówi: bo moja kariera... Ojej! Niedobrze mi się robi... Nie znoszę tych określeń: kariera, artyzm itd... Przecież w tym naszym życiu aktorskim to bardzo różnie jest, wiele rzeczy się składa na to, w jaki sposób ten zawód uprawiamy i jaki mamy stosunek do tej pracy, do zawodu. Kiedyś z Dejmkiem o tym rozmawiałem. Mówię: „Kazik, a powiedz mi, kiedy ty wiesz, że to przedstawienie, które robisz to będzie dobre przedstawienie?”. On mówi: „Słuchaj... ja wiem, jak się z tego ciasta piecze chleb, co trzeba wziąć, jakie proporcje, jak to trzeba pomieszać, żeby nie było zakalca, żeby nie siadło. Ja to wiem. Ale zaczynam próby i wiem już, że nic... że to będzie owszem, poprawne, ale to nie będzie to, czego chciałem. To nie będą moje oczekiwania. A jest też tak, że nie wiadomo kiedy, w trakcie pracy, raptem coś zaczyna się z tych klocków układać. Czuję, że fundamenty tego domku jakąś dobrą zaprawę dostały i czuję, że coś się tworzy... I powstaje coś takiego... nie tyle niepowtarzalnego, co... świeżego, nowego, innego. Tak było w przypadku «Dziadów» z 68 roku”.

[...] O dziwo przyjęli mnie! A ja co? A ja miałem na plecach olbrzymi worek miłości do teatru i... nic poza tym. No, bo co ja o świecie w ogóle wiedziałem? Ja byłem młodym smarkaczem, który chciał być aktorem. Czasem ludziom zdającym do szkoły teatralnej zadają takie banalne pytanie Dlaczego chce pan/pani być aktorem/aktorką?... Bo kocham teatr! – mówią. To jest banalna też odpowiedź, ale ona zawiera w moim przekonaniu dużo prawdy, ponieważ w tym niby banale zawiera się wszystko! A przepraszam, a jak się zakochujemy w kobiecie, to co? Dlaczego ją kochamy? Bo ją kochamy!

O Schillerze

Ostatni raz spotkałem Schillera na Dworcu Głównym [...] czekał na swoją żonę Irenę Schiller (z d. Filozofównę), a ja czekałem na swoją żonę. [...] Podszedłem, przywitałem się i pamiętam, że Schiller mnie wtedy zapytał, czy jak byłem u nie-

go w teatrze, w Łodzi, to czy z tego coś wyniosłem, czy coś mi to dało... Ja wtedy powiedziałem: „Panie dyrektorze, przecież ja panu wszystko zawdzięczam!” – tak, bo przecież mógł mnie wyrzucić z teatru, ze szkoły, w ogóle... i może byłbym dzisiaj biznesmenem?

I miałbym pieniądze?...

O Mistrzach

Moim ulubionym aktorem i wzorem był Jan Kurnakowicz. To był mój ukochany aktor. [...] Kto tak grał Księcia Konstantego, [w „Kordianie”], jak on? Kto tak grał Horodniczego? Nikt! Nie mówiąc o innych wspaniałych rolach... To był znakomity aktor. To był mój wzór. Moim mistrzem był także Zelwerowicz... Bo to taki trochę mój typ. Miałem szczęście ich znać. Węgrzyn... to była znakomitość. To było niepowtarzalne zjawisko...

Bo są dwa rodzaje aktorów. Jedni, którzy odchodzą ze swoim czasem i drudzy, których sztuka jest uniwersalna. Do tych pierwszych należał na przykład Adwentowicz. Znakomity w rolach romantycznych, miał głos z charakterystycznym zaśpiewem. A Węgrzyn, gdyby dzisiaj grał, byłby taką samą doskonałością, jak za swoich czasów.

Wielu ludzi znałem... miałem ten zaszczyt, że obcowałem i pracowałem z najlepszymi. Miałem ten z a s z c z y t.

O zawodzie

Poza rurą od pieca grałem wszystko... Grałem role różne, duże, małe, średnie, tak jak aktor powinien... Lepiej, gorzej, jak to w teatrze. Bo przecież to nie jest tak jak to się pisze o niektórych – zawsze dobrze... bo tak wypada.

Aktor, jeżeli przez całe swoje życie zagrał trzy, cztery, pięć wybitnych ról – to jest już dobrze. Bardzo dobrze.

A te pięć dla mnie najważniejszych? Nie wiem, nie umiem chyba powiedzieć.

Marzę o tym, żeby zagrać Colasa Breugnona [bohater tytułowej powieści Romaina Rollanda]. To jest mądra literatura. Colas Breugnion to człowiek, po którym się wszystko przejeżdża... I dobro, i nieszczęście, i chałupa mu się spaliła, i był chory, i złamał nogę. Żona mu umarła. A ożenił się akurat z nią, a nie z tą jedyną, bo nie był zdecydowany, gdy należało ukochaną wziąć w ramiona... Ona na to czekała – a on był wstydlivy... Jakież to piękne i mądre. Grałem przed laty Pickwicka w telewizji. [...] W „Śnie nocny letniej” grałem Spodka. [...] Grałem Czkawkę w „Wieczorze Trzech Króli”, grałem w „Rozbitkach” Blizińskiego, to była świetna rola. Dużo tego nagrałem. To nie są „Kordiany” ani „Hamlety”, ponieważ ja jestem aktorem charakterystycznym, a poza Falstaffem nie ma w repertuarze charakterystycznych ról prowadzących. Są świetne, pierwszoplanowe role, ale oczywiście nie takie, jak Hamlet, czy Król Lear, czy Ryszard III.

Wykorzystano tekst Aktorstwo jest moim zawodem Doroty Buchwald (powstały na kanwie rozmowy z Lechem Ordonem oraz w oparciu o wypowiedzi koleżanek i kolegów z zespołów teatralnych). Tekst był zamieszczony w publikacji jubileuszowej: Lech Ordon – 50 lat pracy artystycznej (1946-1996), wydanej w sezonie 1995/1996 przez Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie.

Wyboru dokonała MONIKA WOJTCOWICZ

Lech Ordon i Nina Andrycz podczas uroczystości odznaczenia złotym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, 2008. FOT. © MARIA WILMA-HINZ / ZASP



Patrzę na miasto

fragmenty

*Stoję w bramie miasta
jedynej która ocalała
w burzliwej historii
pół wieku tak stoję*

*przybyłem tu za młodu
by uczyć się tej ziemi
pisanej gotykiem
poznać Kajkę, Lengowskiego
Gębika, Zientarównę
ciemne lasy jeziora głębokie
miejsca gdzie przez wieki
przechodziły wojny i pomory
ginęli ludzie rosły cmentarze
groby i kurhany*

[...]

*w mieście z każdym rokiem
przybywa ludzi ubywa znajomych
podzieliła nas wiara i solidarność
ta linia biało-czerwona
której zasypać nie sposób*

*wielu opuszcza tę ziemię
piękną i samotną
gdzie forty i zamki wysokie
stróże burzliwej historii
i osierocone jeziora
jak wielkie oczy dziecka
i szare oczy biedny*

[...]

*Chrystus w dzień ukryty
w szeptach mrocznej katedry
nocą wychodzi na ulice
by wsłuchać się w oddech miasta
w jego sny i płacz bezgłośny*

*chyba to On mi wyznaczył
to miejsce na ziemi
bym spełnił jakąś misję
jam sługa nieużyteczny*

*Czas wzrok mi przyćmiewa
choć miasto pięknieje
przybywa samochodów świateł i blasku
życie przyśpiesza
i po latach znowu ruszyły tramwaje*

*stoję w bramie i patrzę
niby kronikarz niby strażnik
obok mnie poeta
Mazur
żywy nadal kamień...*

Zenon Ziakowski
Olsztyn, 2016

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

...na ulicach coraz więcej ludzi, ale coraz mniej znajomych twarzy

FOT. © BARBARA DUKSZTA

...to z wiersza Zenona Żłakowskiego. Bardzo trafne to spostrzeżenie. W ogóle wokół nas coraz więcej ludzi, niestety wielu z tych, których wspominamy wspaniale, odeszło. W ciągu ostatnich trzech lat, naszej upływającej kadencji, zmarło kilkadziesiąt koleżanek i kolegów ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Chciałbym by pamięć o nich trwała jak najdłużej.

Można w tym pomóc, pisząc wspomnienia, przytaczając różne epizody z czasu, który spędziliśmy razem. Dobrze by było, by koleżanki koleżanek i koledzy kolegów, albo i na krzyż, zechcieli to robić. Myślę, że naczelny redaktor „Bez Wierszówki” ks. Ireneusz St. Bruski i naczelny redaktor „Forum Dziennikarzy” Piotr Legutko z atencją przyjmą te teksty i wydrukują na łamach swoich poczytnych periodyków.

Pozwolę sobie tylko dziś napisać o dwojgu z naszych przyjaciół stowarzyszeniowych, dziennikarskich i przyjaciół w ogóle.

26 września zmarła Maria Karłowicz

Dożyła 94 lat. Była w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich nie tylko kochaną przez nas nestorką, ale i depozytariuszką wiedzy o tradycji naszej organizacji. W ciągu ostatnich dziesięcioleci zmieniały się zarządy i pracownicy biura, a Pani Maria cierpliwie i kompetentnie uczyła, przypominała, a nawet nakazywała wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że się uda. Bo sukces zależy od nas samych.

W trudnych chwilach, gdy SDP-owi i w ogóle dziennikarstwu polskiemu groziła dyktatorska zagłada, Pani Maria była dobrym duchem i bardzo konkretnym pomocnikiem. Wszechstronnie wykształcona według najlepszych zasad, anglistka, koneserka sztuki i po prostu sprawiedliwa znawczyni życia. Na Foksal zawsze była



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

oczekiwana i słuchana. Kochana Pani Mario, smutno nam dziś bardzo. Dziękujemy.

I jeszcze jedno – wspomnienie zupełnie osobiste. Otóż kariera wojskowa mojego ojca, krótka i gwałtowna związana była również ze służbą w garnizonie w Lidzie. Właśnie od Pani Marii sporo dowiedziałem się o tym naszym przedwojennym, wspaniałym mieście, o jego mieszkańcach, topografii. I o żołnierzach, którzy tam stacjonowali wysłani na wschodnie rubieże.

Dziękuję ci Marysiu i za to. Czasem żałuję, że tak mało nagrywamy wspomnień naszych kolegów. A przecież polskie życiorysy są bardzo ciekawe, no bo zagmatwane i trudne.

Maria Karłowicz zostawiła po sobie wspaniałą księgę wspomnień, na którą składają się zapiski i zdjęcia ze spotkań Zespołu Seniorów Dziennikarzy SDP.

Ciąg dalszy na s. 72 →

→ Ciąg dalszy ze s. 71

Odbywały się od 1997 roku i nazywały się „Wtorki na Foksal”. Wymyśliła te spotkania, organizowała i pozostawiła nam wspaniałą księgę ku pamięci. Właśnie Maria Karłowicz. Zabrakłoby stron „Bez Wierszówki, gdybym chciał to wszystko opisać. Gośćmi spotkań byli najwspanialszy polscy dziennikarze, piękne kobiety i przystojni mężczyźni, co udokumentowane jest na zdjęciach. Leży ta księga teraz wyłożona w biurze Zarządu Głównego SDP. Zapraszamy, poczytajcie.

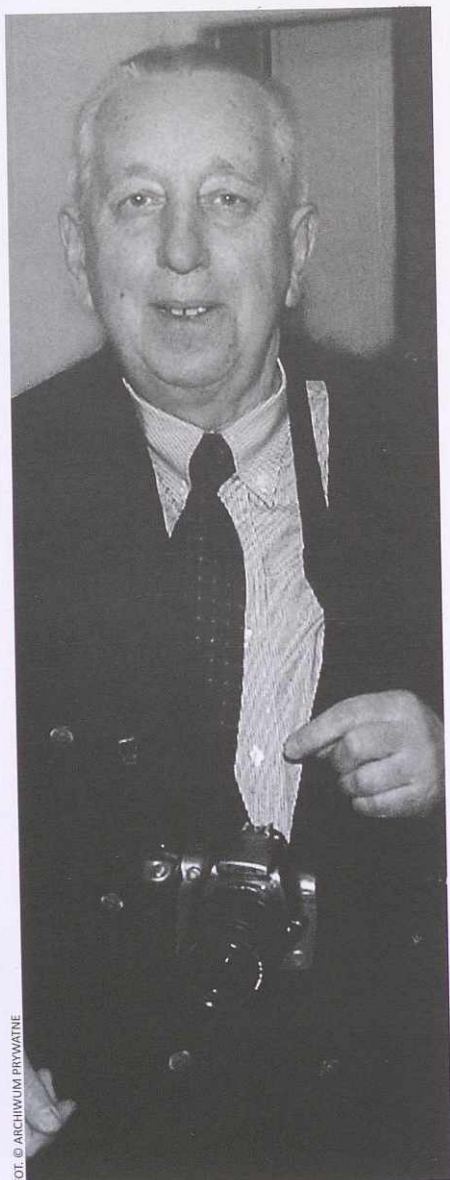
14 września zmarł Jacek Grelowski

Mówiliśmy w redakcji STUDIA 2 na niego „Greluch”. Ale ta ksywa zupełnie nie oddawała istoty charakteru Jacka. Zresztą on raczej się śmiał niż złościł. Choć zezłościć się potrafił szybko i nawet z byle czego. Ugodowy nie był. Walił prosto z mostu i nie owijał w bawełnę.

Jacek był jednak lubiany i to nawet bardzo. Miał zaraźliwy śmiech i szybką ripostę. To, że narzucał swoje zdanie udawało mu się, jeśli słuchacz choć przez chwilę przyjął siłę jego argumentów. Pierwsze rzeczywiście zwykle było: „nie-nie”, ale zaraz potem żwawy wykład, lawina faktów przypominanych na podnoszony temat. I już wtedy uważnie go słuchano. „Greluch” mówił i już mu nikt nie przerywał.

Świętej Pamięci Jacek Grelowski, „Lew”, rocznik '44, rodem z Żabna, gdzie dziad jego był burmistrzem i właścicielem większości kamienic w rynku, których oczywiście wcześniej się dorobił niż otrzymał insygnia herbowe podtarnowskiego miasteczka. To nie tak, jak jest dzisiaj – „obszczy murka” wybierają partyjni koledzy, a ten zaraz kupuje sobie za państwowe pieniądze mercedesa, albo inną wypasioną brykę.

Grelowscy to był ród co się zowie. Znany w Małopolsce – cegielnie to był ich znak rozpoznawczy. Oczywiście wszystko to zostało po wojnie najpierw złodziejsko



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

upaństwowione, a potem już pod państwową łapą – zmarnowane. Matka, kobieta niezwykle dzielna i bezkompromisowa (to po niej miał charakter) walczyła przez lata o ojcowiznę. Daremnie. Jacek z bratem podjęli dzieło, ale nasz kolega – choć „wojownik” – sprawiedliwości się nie doczekał. Lwie serce przed kilkunastoma dniami nie wytrzymało. Zmarł nagle w swoim domu w Milanówku. Żona nie mogła mu pomóc, bo sama była w szpitalu.

Pierwszą miłością reportera Jacka Grelowskiego było radio. Łatwość mówienia, opowiadania predysponowała go do pracy z mikrofonem. Bogate słownictwo, no i to wszystko, co wynosi się – lub nie – z domu stanowiły kapitał. Gdyby ktoś zechciał poszukać w radiowych archiwach, znalazłby perełki reporterskie. Oczywiście, jeśli tego jeszcze nie rozkradziono lub sprzedano. Tak, jak „Polskie Nagrania”, za psie pieniądze, przez samą Głowę kultury, a obecna Głowa jakoś nie kwapi się z odkupieniem.

Radio pozbyło się Jacka załatwiając mu pracę w telewizji, w publicystyce. Oczywiście w nowym medium dał sobie radę. Brał udział w przygotowaniu najbardziej popularnych programów. A widownia wtedy była wielka, bo TVP miało monopol. Robił też znakomite reportaże. Ale wkrótce zaczęły się schody – jego propozycje tematyczne zaczęły być odrzucane – jako takie, które nie miałyby szans przejść przez coraz bardziej ostrą cenzurę. Wiadomo, że na babcynych drutach reportażu filmowego się nie wysztrykuję. Więc coraz mniej było Jacka dokonań na małym ekranie.

Wreszcie 13 grudnia, jak wielu, to on powiedział basta i przez długie lata stanu wojennego publicznie zamilkł. Działal potem w Telewizyjnym Studiu „Solidarność” i innych redakcjach. Na emeryturę odszedł stanowczo za wcześnie.

Jacek miał rzadki dar bardzo łatwego nawiązywania kontaktów z ludźmi. Robiliśmy wspólnie programy i obserwowaliśmy, jak szybko potrafił pozyskiwać sympatię, jak chętnie rozmowy się przed nim otwierali. Na planie bardzo szybko robiło się sympatycznie, a potem ciekawie i szczerze. To dar. Trzeba go umieć dostrzec u reportera, czego dzisiejsi dysponenti mediami nie potrafią. A słuchać doświadczonych nie chcą.

Drogi Jacku odszedłeś i patrzysz teraz na to wszystko z góry. Zapewne się śmiejesz, swoim „che-che”, a nie złośliwie, tak z wyrozumiałością. A tu się wszyscy strasznie uganiają. Szkoda bardzo, że nie można pogadać, a jest o czym.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

W minionym roku odeszli z dziennikarskiej wspólnoty...

ODDZIAŁ KUJAWSKO-POMORSKI SDP – Krzysztof Derdowski (ur. 1957)

ODDZIAŁ LUBELSKI SDP – Jerzy Jędrejek

ODDZIAŁ WARMIŃSKO-MAZURSKI SDP – Erwin Kruk (ur. 1941)

ODDZIAŁ WARSZAWSKI SDP – Jerzy Włodzimierz Roman • Helena Kozicka (ur. 1929) • Jolanta Klimowicz-Osmańczyk (ur. 1930) •

Zuzanna Czajkowska (ur. 1930) • Joanna Horodecka (ur. 1929) • Zdzisław Pietrasik (ur. 1947) • Wiktor Osiatyński (ur. 1945) •

Marta Piszczatowska (ur. 1942) • Bogdan Łopieński (ur. 1934) • Grzegorz Miecugow (ur. 1955) • Jacek Grelowski (ur. 1942) •

Maria Karłowicz (ur. 1923)

Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace. Amen.

Maria Karłowicz (1923-2017)

Pod koniec września dowiedzieliśmy się, że Marysia Karłowicz nie żyje. Umarła 26 września 2017 roku, całkiem niespodziewanie. Widziałyśmy się w każdy pierwszy wtorek miesiąca na spotkaniach Klubu „Akapit”. Wprawdzie ostatnio nie pojawiała się na Foksal, ale często do siebie telefonowałyśmy. Na pytanie, kiedy nas odwiedzi, odpowiadała, że „trochę słabuje”. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, elegancka, życzliwa – dama w każdym calu... Spodziewałam się, że pokona niedyspozycję.

Urodziła się 94 lata temu w Lidzie na Litwie, darzyła wielkim sentymentem miejsca, gdzie spędziła szczęśliwe dzieciństwo; odebrała staranne wychowanie w inteligenckiej rodzinie. Ukończyła dziennikarstwo w Uniwersytecie Jagiellońskim. Po studiach, razem z mężem zamieszkała w Warszawie, pomagała w budowie naszego Domu Dziennikarza, uczestniczyła w powołaniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

W Oddziale Warszawskim SDP pracowała do emerytury: opiekowała się klubami twórczymi, wprowadzała młodych dziennikarzy w arkana zawodu, każdemu służyła pomocą.

Marysia interesowała się życiem kulturalnym Warszawy, była koneserką sztuki, melomanką, wielką miłośniczką Festiwalu Mozartowskiego, organizowała naszym koleżankom i kolegom bilety darmowe, tzw. wejściówki do Opery Kameralnej. W radiu najchętniej słuchała francuskiej stacji muzycznej Mezzo. Kochała podróże, z których przywoziła zdjęcia, a po powrocie z każdej wyprawy redagowała osobne albumy. Najlepiej czuła się w Afryce, mówiła, że jej dusza krąży po Czarnym Lądzie. Do końca życia utrzymywała kontakt z francuskimi przyjaciółmi, codziennie do nich telefonowała, podczas wakacji gościła ich w Polsce, często na Mazurach, gdzie z całą rodziną wyjeżdżała na wakacje.

Marysia była niezwykłą Osobą: poliglotką, ciekawa świata i ludzi. Uwielbiała taniec, gimnastykę, pływanie, długie spacery. Prawie do końca życia przychodziła pieszo z ul. Grzybowskiej, gdzie mieszkała, do Domu Dziennikarza.

Kochana Marysiu, bardzo będzie nam Ciebie brakowało, na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci!

ANNA MALINOWSKA



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

26 września 2017 roku zmarła
MARIA KARŁOWICZ

Dożyła 94 lat.

Była w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich nie tylko kochaną przez nas nestorką, ale i depozytariuszką wiedzy o tradycji naszej organizacji.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci zmieniały się zarządy i pracownicy biura, a Pani Maria cierpliwie i kompetentnie uczyła, przypominała, a nawet nakazywała wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że się uda.

Bo sukces zależy od nas samych.

W trudnych chwilach, gdy SDP-owi i w ogóle dziennikarstwu polskiemu groziła dyktatorska zagłada, Pani Maria była dobrym duchem i bardzo konkretnym pomocnikiem.

Wszechstronnie wykształcona według najlepszych zasad, anglistka, koneserka sztuki i po prostu sprawiedliwa znawczyni życia.

Na Foksal zawsze była oczekiwana i słuchana.

Kochana Pani Mario,

Smutno nam dziś bardzo.

Dziękujemy.

Koleżanki i koledzy ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Promocja z despektem

Powiedziałbym, że wydawnictwo Editions Spotkania, którego dyrektorem jest nasz kolega Piotr Jegliński, trzyma rękę na pulsie III Rzeczypospolitej – zanim minie kilka miesięcy od powstania nowej konfiguracji politycznej (a w polityce wrze od ponad dwóch lat), już z jego oficyny trafia na rynek książka publicystyczna komentująca nowe układy.

Właśnie ukazało się ponad czterechset stronicowe dzieło *Resortowe togi* Macieja Marosza, dotychczasowego współautora cyklu publicystycznego o współczesnych działaniach progenitury pracowników wiadomo jakiego resortu. Książka ukazuje aparat (nie)sprawiedliwości i jego służę od zarania Polski pojałtańskiej do dzisiaj. Jej prymicyjna promocja odbyła się 5 października br., w dużej sali wypełnionej po brzegi Naczelnej Organizacji Technicznej.

Oczywiste, że przez noc nie mogłem tej publikacji przeczytać, zdołałem ją jedynie „przekartkować” i przekonać się, że treść (językowo ujęta bez zarzutu) jest tak ważna, iż każdy publicysta zajmujący się problemami współczesnego sądownictwa i sporu, który wywołuje, powinien ją przyjąć jako kompendium wiedzy czy przedmiotu ewentualnej polemiki.

Nie poznawszy rozprawy, nie piszę o niej, a o jej promocji. Była wcześniej zapowiadana również na naszej stronie esdepowskiej. Oprócz daty i miejsca podawano wiadomość, że w dyskusji nad książką wezmą udział m. in. koleżanka posłanka Joanna Lichoćka i kol. Wiesław Johann, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku.

I poszedłem do NOT głównie, żeby przywitać się z koleżanką poseł i kolegą sędzią TK w st. spoczynku. Znam go bez mała 50 lat;

ze swą żoną, nieodżałowanej pamięci Olgą, wyświadczyli mi wiele dobra, gdy od 1980 do 1990 roku nie pracowałem w zawodzie i z trudem się utrzymywałem. Radości wywołanej myślą, że uścisknę mu dłoń, nie powstrzymała rześnista ulewa deszczu.

Promocja, wedle anonsu, miała się zacząć o godzinie w pół do szóstej wieczorem. Przyszedłem nieco wcześniej i ledwo znalazłem wolne miejsce. Czekałem wśród przybyłych na promocję do godziny szóstej. Nikt nas za spóźnienie nie przeprosił ani wcześniej, ani później.

Spotkanie prowadził kol. Marcin Wolski – sprawnie, wypowiadając się głośno i wyraźnie, jak na radiowca przystało. Daremnie wodziłem oczami po osobach zasiadających w prezydium, zapowiadanych Lichoćkiej i Johanna nie było. Za to w miarę upływu czasu dosiadali się do stołu prezydiального osoby nieprzedstawiane przez prowadzącego spotkanie. Jeden z przybyłych nieoczekiwanie zabrał głos na dość długo, mówił do rzeczy i interesująco. Lecz nie wiem, kto to był.

Dyskusja była raczej anemiczna, nie osobliwego, chyba nikt z obecnych na promocji nie znał książki, tu dopiero kupowanej nieco taniej niż w księgarniach. Dyskutanci mówili natomiast o tym, co nas trapi i co naturalnie korespondowało z tematem książki – współczesnym sądownictwem porażonym piętnem komunizmu. Z siedmiu rozdziałów dwa ich tytuły stanowią chyba kwintesencję tej rzeczywistości: „Nauczanie prawa w czerwonej kuźni kadr Uniwersytetu Warszawskiego” oraz niejako suplement: „Pro memoria. Sędziowskie układy personalne nadal są przesiąknięte duchem PRL-u”. Postanawiam sobie przeczytać tę książkę od deski do deski...

Ale na promocji czułem się oszukany. Przecież rozprawę Macieja Marosza mógłbym kupić w księgarni płacąc o kilka złotych więcej. Na cenie mi tak bardzo nie zależało. Natomiast, jak napisałem, przyszedłem do NOT nade wszystko powodowany chęcią – radosną – zobaczenia wspomnianych Lichoćkiej i Johanna, którzy według anonsu, mieli być, że tak powiem, „dyskutantami z urzędu”; byłem ciekaw ich opinii o nieprzeczytanej jeszcze książce, bardzo bowiem cenię sobie ich zdanie. Jednak nie przyszli. Rozumiem, że jako osoby publiczne mają nader dużo przeróżnych zajęć i mogło się zdarzyć coś, co uniemożliwiło im przybycie. Lecz czy główny organizator, kol. Jegliński, nie powinien wytłumaczyć ich nieobecności i przeprosić za nią?

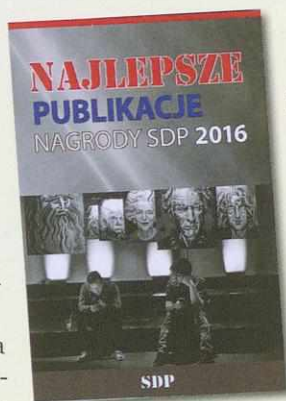
Jest on nie tylko biznesmenem-edytorem, należy także do naszego Stowarzyszenia. A my wszyscy jesteśmy, czy tego chcemy, czy nie chcemy, elitą, na naszą wszelką aktywność publiczną patrzy społeczeństwo, od nas czerpie wzory zachowań – *noblesse oblige*. Nieszalanckie niespełnianie obietnic, zapowiedzi, niepunktualność bez zadość uczynienia to antywzory świadczące o braku kultury osobistej i społecznej, kultury tej najłatwiej zauważalnym przejawem jest kurtuazja. Kiedyś miałem zajęcia w dziennikarskiej uczelni licencjackiej, nikt z prawie 50 słuchaczy ani nie znał słowa „kurtuazja”, ani nie stosował jej zasad w zachowaniu wobec siebie i mnie. To nasza wina...

Niespełnienie zapowiedzi i nieprzepraszanie za nie, niepunktualność są nietaktem, despektem, antykurtuazją. Dlatego czuję się po tej promocji zlekceważony przez kol. Jeglińskiego.

JACEK WEGNER

Otrzymaliśmy

Najlepsze publikacje.
Nagrody SDP 2016,
Warszawa 2017, ss. 293.



Już po raz szósty oddajemy w Państwa ręce pokonkursową książkę *Najlepsze publikacje. Nagrody SDP 2016*.

Konkurs Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich obejmuje wiele różnych kategorii: od dziennikarstwa śledczego, publikacji w obronie demokracji i praworządności,

poprzez materiały dotyczące ekonomii, historii, cywilizacji i kultury, społeczeństwa, ochrony środowiska, sportu. Bez względu na tematykę, staż pracy i rodzaj medium, tegoroczni laureaci podkreślili uczciwość, empatię, dążenie do prawdy, poczucie społecznej misji i odpowiedzialności za drugiego człowieka. Ich materiały udowadniają, że na co dzień kierują się

tymi właśnie zasadami, że mają je – niejako – w krwiobiegu.

Niniejsza książka umożliwi Państwu zapoznanie się z najlepszymi, nagrodzonymi przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich publikacjami 2016 roku. Ale nie tylko. To, poniekąd, spotkanie z osobowościami dziennikarskiego świata. Ludźmi, dla których uważne przyglądanie się współczesnej rzeczywistości stało się nie tylko zawodem, ale przede wszystkim pasją i sposobem na życie.

DAGMARA DRZAZGA

Tabu w mediach

Tabu – wartość czy antywartość, czyli o pojęciu tabu w polskich tygodnikach opinii – to tytuł artykułu Laury Polkowskiej zamieszczonego w najnowszym wydaniu „Studiów Medioznawczych” (nr 3/70/2017).

Artykuł omawia użycie tego pojęcia w publikacjach, które ukazały się na łamach tygodników konserwatywnych („Do Rzeczy” i „W Sieci”) oraz liberalnych („Newsweek”, „Polityka”). Uniwersalny Słownik Języka Polskiego podaje dwa główne znaczenia tego wyrazu: pierwsze antropologiczne i drugie potoczne. Oznacza ono, w skrócie, „zakaz stykania się z pewnymi przedmiotami, osobami, zwierzętami”; „przedmiot, osobę, zwierzę, słowo, miejsce, itp. objęte tym zakazem”; „nietykalną świętość”; „to, o czym się nie mówi lub co jest zakazane w danym społeczeństwie”.

Autorka zauważa, że w prasie konserwatywnej w wypowiedziach odnoszących się do seksualności czy śmierci termin „tabu” wartościowany jest dodatnio. Z tabu śmierci drwić czy szydzić nie należy. Negatywnie wartościowane jest nieprzestrzeganie, łamanie tego tabu. Ktoś, kto łamie to tabu jest we wspomnianych publikacjach „Do Rzeczy” i „W Sieci” deprecjonowany. Publicyści prawicowi – pisze autorka – w celu obrony wartości jaką stanowi dla nich tabu regulujące stosunki społeczne wykorzystują często argument wyprowadzania negatywnych konsekwencji z nieprzestrzegania tabu. Jednak we fragmentach dotyczących omówień historyczno-politycznych termin „tabu” funkcjonuje odmiennie, to znaczy jest antywartością, z którą należy walczyć, bo jest szkodliwa społecznie. Tabu w tym przypadku (np. gdy dotyczy historii) oznacza ukrywanie prawdy, a nawet kłamstwo czy też pomijanie czegoś milczeniem. Na marginesie zauważmy, że również myślenie liberalne mogłoby się



zgodzić z tym argumentem, tyle że inne wydarzenia z naszej historii uznane zostałyby za „przemilczane”. Konserwatywne tygodniki piszą na przykład o „środowiskowym tabu” czy „lustracyjnym tabu”, i w tym przypadku naruszenie tabu jest nacechowane pozytywnie.

Odmienny jest obraz użycia pojęcia „tabu” w tygodnikach liberalnych. Tylko raz (na 40 razy) w badanym okresie (od lipca 2013 do czerwca 2014 roku) rzeczownik „tabu” był tutaj nacechowany pozytywnie – w pozostałych negatywnie. W liberalnym obrazie świata tabu stanowi jedną z głównych antywartości. Tabu w kulturze „hamuje postęp”, tradycja „ogranicza ludzką wolność i swobodę

myślenia”, a kultywowanie tabu – pisze Polkowska – „sprzyja według publicystów prasy liberalnej zacofaniu, przeciwstawiając je edukacji”. Tutaj także, to znaczący w prasie liberalnej, wykorzystywany jest argument „wyciągania konsekwencji”, tylko że odwrotnie niż w tygodnikach prawicowych nie z łamania, lecz z podtrzymywania tabu.

Autorka dokonała przeglądu użycia, znaczeń i kontekstów w jakich pojawiał się rzeczownik „tabu” w omawianych tygodnikach. Zwróciła uwagę, że w ani jednym przypadku tabu nie oznaczało „nietykalnej świętości”. W tygodnikach prawicowych pojęcie „tabu” używane było do walki politycznej; w liberalnych do dyskredytowania pewnych działań społecznych i tradycji.

W artykule nie podano jakich właściwie tematów unikały cztery tygodniki. Badania dotyczące tego zagadnienia nie byłyby trudne, lecz nie stanowiłyby przedmiotu zainteresowania autorki. Otrzymaliśmy ciekawą analizę posługiwania się pojęciem „tabu” i sposobu oceny tego pojęcia przez dziennikarzy pism o przeciwnych światopoglądach. Polecam lekturę tego artykułu, jak i innych zawartych w najnowszym numerze „Studiów Medioznawczych”, w tym m. in. rozprawy Jacka Sobczaka i Kseni Kakarenko o gatunkach dziennikarskich, Marka Kochana o retoryce, czy Jacka Wasilewskiego *Gdyby Szekspir pisał disco polo...* Odpowiedź na pytanie, czy byłyby wtedy czytane, pozostawiam już czytelnikom „Studiów”...

MAREK PALCZEWSKI

Okiem satyryka

Wolna niedziela

Po marketach człowiek ganiał,
Wkrótce koniec już biegania.
Cieszą się obywatele,
Kończy handel się w niedzielę.
To kolejna dobra zmiana.

Walka o hotel

Prezydentem być stolicy...
Marzą o tym politycy.
Chociaż czasu jeszcze sporo,
Myślą ile głosów zbiorą.
Każdy swoje szanse liczy.

ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Drodzy Czytelnicy, „Bez Wierszówki” znajdziecie...

Placówki Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

SDP Dom Dziennikarza przy Foksal (Warszawa, ul. Foksal 3/5)
 Dom Pracy Twórczej SDP (Kazimierz Dolny, ul. Małachowskiego 17)
 Siedziby oddziałów SDP w całym kraju

Redakcja Śląskiej Telewizji Miejskiej

STM Świętochłowice, ul. Kubiny 5

Księgarnie „Książnicy Polskiej” oraz księgarnie partnerskie

Olsztyn, pl. Jana Pawła II nr 3/5 (Centrum Książki)
 Olsztyn, ul. Jagiellońska 33/82 (Orion)
 Olsztyn, ul. Kołobrzaska 5 (Logos)
 Bartoszyce, pl. Konstytucji 3 Maja 8 (Wena)
 Bolesławiec, Rynek 28 (Agora)
 Działdowo, ul. Mickiewicza 27 (ABC)
 Elk, pl. Miejski 1 (Melanż)
 Elk, ul. Mickiewicza 19 (Mentor)
 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 128 (Edukacja)
 Giżycko, ul. Warszawska 2 (Odeon)
 Gorzów Wielkopolski, ul. Hawelańska 9/10 (Versus)
 Hawa, ul. Niepodległości 2 (Metis)
 Kętrzyn, ul. Sikorskiego 20/1A (Verso)
 Korsze, ul. Mickiewicza 12 (Merkuriusz)
 Kraków, al. Tadeusza Bora-Komorowskiego 41 (Centrum Serenada)
 Lidzbark Warmiński, ul. Powstańców Warszawy 14
 Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 39 (Tales)
 Mińsk Mazowiecki, ul. Kościuszki 2 (Bajka)
 Morąg, ul. 3 Maja 4 (Wiedza)
 Mrągowo, ul. Ratuszowa 4 (Współczesna)
 Nidzica, ul. 30-lecia 4 (Errata)
 Nowy Sącz, ul. Węgierska 170 (Galeria Sandecja)
 Oborniki Wielkopolskie, ul. Piłduskiego 19 (Akapit)
 Ostrołęka, ul. Gorbatowa 28 (Jantar)
 Ostróda, ul. Czarnieckiego 25 (Popularna)
 Ostróda, ul. Czarnieckiego 32 (Impuls)
 Ostróda, ul. Zamkowa 2 (Lexica)
 Poznań, ul. Baraniaka 8 (CH Malta)
 Poznań, al. Marcinkowskiego 21 (Jedynka)
 Przasnysz, ul. Rynek 14 (Pegaz)
 Siedlce, ul. Piłsudskiego 6 (Świt)
 Szczecin, ul. Hołdu Pruskiego 8 (Zamkowa)
 Szczytno, ul. Polska 1 (Fraszka)
 Świdnik, ul. Wyszyńskiego 17 (Bumerang)
 Tarnów, ul. Słoneczna 29-33 (Planeta)
 Tomaszów Mazowiecki, pl. Kościuszki 26 (Czytaj-Cafe)
 Warszawa, ul. Górczewska 212/226 (Sylabus)
 Warszawa, ul. Świętokrzyska 14 (Na Świętokrzyskiej)
 Warszawa, ul. Zamieniecka 80 (Orbita)
 Wrocław, ul. Świdnicka 49 (Pod Arkadami)
 Zabrze, ul. Wolności 299 (Victoria)

Warszawskie placówki Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

Warszawa, ul. Łomianańska 5 (Biuro Zarządu Fundacji)
 Warszawa, ul. Grzybowska 4 lok. 9A (Ośrodek Rehabilitacji CEMICUS)
 Warszawa, ul. Grzybowska 4 lok. 210 i 211 (Hostel dla Podopiecznych)
 Warszawa, ul. Klauudy 6 lok. 119 (Hostel dla Podopiecznych)
 Warszawa, ul. Pańska 96 lok. 201 (Ośrodek Rehabilitacji BIOMICUS)
 Warszawa, ul. Pańska 96 m. 36 (Hostel dla Podopiecznych)
 Warszawa, ul. Pańska 98, lok. 201 (Biuro Obsługi Beneficjenta)
 Warszawa, ul. Słowackiego 12 (Ośrodek Rehabilitacji AMICUS)
 Warszawa, ul. Żelazna 41 lok. 12 (Hostel dla Podopiecznych)

bezwierszówki

Miesięcznik społeczno-kulturalny
 Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

ISSN 1732-7237

REDAKTOR NACZELNY

Ireneusz Stanisław Bruski
 tel. 531 507 527
 e-mail: bezwierszowki@wp.pl

WSPÓŁPRACA AUTORSKA

Jerzy Biernacki (Warszawa)
 Tadeusz Brzeski (Olsztyn)
 Andrzej Zbigniew Brzozowski (Olsztyn)
 Małgorzata Chomicz (Perugia)
 Henryk Falkowski (Olsztyn)
 Witold Gadowski (Kraków)
 Wojciech Goljat (Olsztyn)
 Anna Grelewska (Warszawa)
 Jerzy Jachowicz (Warszawa)
 Krzysztof Kłopotowski (Nowy Jork)
 Bogdan Krawczyk (Warszawa)
 Elżbieta Królikowska-Avis (Londyn)
 Wojciech Piotr Kwiatek (Warszawa)
 Anna Mieszczanek (Warszawa)
 Jerzy Leszek Okuniewski (Olsztyn)
 Marek Palczewski (Łódź)
 Joanna Paszkiewicz-Jägers (Groningen)
 Ewa Pustelnik (Warszawa)
 Monika Sadowa (Warszawa)
 Marek Sokołowski (Olsztyn)
 Błażej Torąński (Łódź)
 Stefan Truszczyński (Warszawa)
 Jacek Wegner (Warszawa)
 Zenon Żłakowski (Olsztyn)

DTP

Marcelina Gorzka

ADRES REDAKCJI

(do korespondencji)
 11-041 Olsztyn
 ul. Hozjusza 12 m. 3

WYDAWCA

Warmińsko-Mazurski Oddział
 Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
 10-162 Olsztyn
 ul. Nowowiejskiego 5
 Rachunek bankowy: Bank Pekao S. A.
 nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164

DRUK

Przedsiębiorstwo Poligraficzne HAKUS
 Maria i Andrzej Kuśmierczyk S. J.
 11-041 Olsztyn
 ul. Hozjusza 11
 www.hakus.pl

Nakład – 5 000 egzemplarzy
 Numer zamknięto 31 października 2017 roku

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- 130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych
- Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)
- Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking

Zapraszamy:

*uczestników kongresów,
szkoleń, konferencji
i gości indywidualnych.*

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com



*Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.*





MI